

Dallas Schulze

Na całe życie

PROLOG

- Nie rozumiem, jak ludzie mogą tu mieszkać. Przecież tu zupełnie nic nie ma. - Sylvie Lassiter siedziała na obitym kremową skórą fotelu pasażera, z niechęcią spoglądając przez przyciemnione szyby jaguara na ciągnącą się w nieskończoność prerię. - Czy tu wszędzie trawa jest taka przeraźliwie brązowa?

Duncan na moment oderwał wzrok od pustej czarnej szosy i uśmiechnął się do żony.

- W Wyomingu nie jest zbyt zielono. Za mało opadów.

Sylvie włączyła radio, lecz rozległy się tylko trzaski. Nieco nerwowo zaczęła kręcić gałką, szukając po całej skali, ale odbiór był słaby. Ledwo dawało się usłyszeć jakieś strzępy melodii i niewyraźne głosy. Gniewnie wyłączyła radio.

- I nawet nie ma żadnej porządnej rozgłośni!

Do tego deszcz chyba nie jest potrzebny, prawda? A może się mylę?

- Deszcze nie, ale słuchacze tak, a ten stan jest dość słabo zaludniony.

- Trudno się dziwić - mruknęła z najwyższą dezaprobatą. - Tu jest buro, brzydko i smutno. I jakoś tak strasznie... pusto. - Wzdrygnęła się, jakby nagle zrobiło jej się zimno.

- Nie zgadzam się. To znakomite miejsce dla chłopca - odparł głośno Duncan, równocześnie rzucając żonie ostrzegawcze spojrzenie.

- Dużo przestrzeni, swoboda. Można jeździć konno i łowić ryby, ile dusza zapagnie. Ja to uwielbiałem.

Sylvie zreflektowała się i czym prędzej odwróciła się do tyłu.

- Nie zwracaj uwagi na to, co powiedziałam, Ryan. Tata ma rację. Dla dziesięcioletniego chłopca to miejsce jest prawdziwym rajem.

- Jasne - mruknął ponuro, nie odwracając głowy od okna.

- Będziesz się wspaniale bawił na ranczu dziadka. Jak zobaczymy się następnym razem, będziesz już pewnie prawdziwym kowbojem!
- zaśmiała się perliście.

Mąż przyłączył się do jej śmiechu, lecz wyraz twarzy syna nie zmienił się ani na jotę. Sylvie wcale się to nie podobało. Nie pojmowała, jak

ktoś może ją ignorować i pozostawać obojętny na jej urok. Jako jedyne dziecko nie najmłodszych już rodziców przywykła, że nieustannie znajduje się w centrum uwagi. Los obdarzył ją nieprzeciętną urodą i wdziękiem, które z powodzeniem wykorzystywała do owijania sobie wokół palca zachwyconych nią ludzi.

Zawsze dostawała, czego chciała, a gdy do osiągnięcia celu nie wystarczał czarujący uśmiech i słodkie słówka, robiła się smutna, roniła łezkę lub dwie i sprawa była załatwiona. Cóż, nikt nie mógł znieść myśli, że sprawił przykrość Sylvie Marie Winthrop Lassiter, słodkiej kruszynce, którą wszyscy kochali. W rzeczywistości nie była wcale słodką kruszynką, tylko twardą i dość bezwzględną kobietą, lecz nikt się tego nie domyślał, ponieważ skrzętnie ukrywała ten fakt.

Do niedawna syn otaczał ją podobnym bezkrytycznym uwielbieniem jak pozostali, co zresztą stanowiło dla niej jeden z głównych uroków macierzyństwa. Niestety w ciągu ostatniego roku coś się popsuło. W spojrzeniu chłopca zagościła pewna niechęć, jakby matka przestała być w jego oczach ideałem. Próby przekonania go do siebie rozbijały się o niewidoczną ścianę, jaką Ryan wznosił między nimi.

Ta sytuacja coraz bardziej irytowała Sylvie. Jej

syn coś skrycie myślał na jej temat, oceniał ją i znajdował w niej jakieś wady.

- Twój ojciec był kowbojem, gdy go poznałam - ciągnęła. - Był taki przystojny w tym pięknym kapeluszu i kowbojskich butach. - Posłała mężowi kokieteryjne spojrzenie. - Prawie ścięło mnie z nóg.

- I to dosłownie - przytaknął ze śmiechem Duncan. - Nie patrzyłem, gdzie jadę, i wjechałem prosto na ciebie.

- Specjalnie stanęłam ci na drodze.

Duncan położył rękę na udzie żony.

- Na moje szczęście.

Ujęła jego dłoń, uniosła do swego policzka i przytuliła na moment.

- I moje też.

Powtarzali historię swojego poznania tyle razy, że mieli ten dialog opanowany do perfekcji.

Kątem oka zerknęła na syna. Nadal siedział ze wzrokiem wbitym w okno.

- Ryan, jestem przekonana, że będzie ci tu bardzo dobrze.

Tylko wzruszył ramionami.

Nie przyzwyczajona do takiego traktowania spytała nieco ostrzejszym tonem:

- Nie cieszysz się, że jedziesz na ranczo dziadka?

Dopiero wtedy obrócił ku niej głowę i spojrzał

na matkę wzrokiem zbyt poważnym i mądrym jak na swój wiek.

- Jakie to ma znaczenie? - spytał z rezygnacją, wprost zdumiewającą u dziesięciolatka.

- Jak to? - krzyknęła, lecz opanowała się szybko i kontynuowała już o wiele spokojniej: - To ma ogromne znaczenie. Największe. Przecież wiesz, że oboje z tatą robimy wszystko dla twojego dobra.

Ponownie wzruszył ramionami i wrócił do obojętnego wyglądania przez okno, za którym przesuwiał się monotonny krajobraz. Sylvie już miała zażądać, by przynajmniej jej odpowiedział, lecz w ostatniej chwili rozmyśliła się. Przecież mogłaby usłyszeć coś, co wcale by jej się nie spodobało. Gwałtownie odwróciła się od syna.

Stał się naprawdę niemożliwy! Co za brak wdzięczności! I to po wszystkim, co dla niego zrobiła! Przekonanie Duncana do ponownego nawiązania kontaktu z ojcem kosztowało ją wiele tygodni umizgów i starań. Jej teść poróżnił się z synem tuż po ich ślubie, wszelkie kontakty zostały zerwane, toteż Duncan nie palił się zbyt- nio, by po dziesięciu latach wyciągnąć rękę na zgodę. W końcu zdołała go namówić.

Tyle trudu dla tego małego niewdzięcznika! Mogli go po prostu oddać do dobrej szkoły z internatem, gdzie spędzały wakacje dzieci

znajomych. Ale ja nie jestem wyrodną matką, pomyślała z dumą, zapominając o tym, że tak naprawdę chciała po prostu zaoszczędzić nieco pieniędzy. Widziała wyłącznie swoje poświęcenie. Znosiła wielogodzinną jazdę przez ten okropny bezludny stan, byle tylko jej dziecko mogło spędzić wakacje z rodziną. A Ryan się dąsał, jakby to on miał powody do niezadowolenia, a nie ona!

- Daleko to jeszcze? - spytała niechętnie.

- Nie, już niedaleko. - Duncan chciał pogłaskać żonę po ramieniu, lecz odsunęła się.

- Nienawidzę tego miejsca. Nie rozumiem, czemu musimy odbywać całą tę drogę. Ktoś mógł go odebrać z Denver, byłoby prościej.

- Ojciec prosił, byśmy sami go przywieźli.

Prosił? Sylvie parsknęła z furją. Jej teść nie zniżył się do prośby, lecz po prostu zażądał ich obecności. Ściągnęła brwi. Przez te jego fanaberie tylko tracili cenny czas.

- Mogliśmy teraz opalać się na jachcie Dicka i Jilly - rzuciła z urazą.

- Dołączymy do nich już pojutrze - przypomniał uspokajającym tonem.

- A czemu nie jutro? Nie mogę się już doczekać powrotu do cywilizacji. Zostawimy Ryana i natychmiast jedziemy do Denver.

- Ale przecież ojciec chciał, żebyśmy przemocowali.

- Po co? Chyba nie stęskniliście się za sobą, prawda? Nie będziecie przecież siedzieć na werandzie, oddając się wspominkom, bo nic dobrego z tego nie wymknie. Nienawidzicie się.

- Nigdy nic takiego nie powiedziałem - zaproponował pospiesznie, z niepokojem zerkając we wsteczne lusterko. Nie miał pojęcia, czy Ryan ich słucha czy też pograżył się we własnych myślach.

- Owszem, nie dogadujemy się, ale to co innego.

- Wszystko jedno - ucięła.

Sięgnęła do torebki, wyjęła puderniczkę i przejrzała się w lusterku. Jak zwykle wyglądała nieskazitelnie, nawet długa i nużąca podróż nie odbiła się niekorzystnie na jej wyglądzie. To poprawiło humor Sylvie. Z satysfakcją zamknęła puderniczkę i posłała mężowi najbardziej czarujący uśmiech ze swego repertuaru.

- Naprawdę zależy mi na tym, by wracać jak najszybciej. Oni i tak zaczęli rejs bez nas, to już wystarczająca strata.

- Kochanie, rozumiem, ale przecież...

Ryan przestał słuchać. I tak doskonale wiedział, jak to się skończy - matka postawi na swoim. Ojciec trochę będzie się opierał, a potem ulegnie. Zawsze tak było.

Wspaniałe wakacje, akurat! Tak naprawdę chcieli się go pozbyć. Odkąd pamiętał, podrzucali go krewnym, przyjaciółom, znajomym. Swego

czasu spędził bite pół roku w Milwaukee u kuzynki mamy. Trzy tygodnie u innej kuzynki na Florydzie. Przez dwa miesiące w kółko oglądał telewizję u wiekowej cioci. Prawie dwa miesiące mieszkał u dawnej przyjaciółki mamy, choć miało to trwać tylko dwa tygodnie. Przyjaciółka wreszcie zagroziła oddaniem go do domu dziecka, jeśli rodzice nie wrócą z Europy i natychmiast go nie zabiorą. Tych ludzi było znacznie więcej, ale oczywiście nie pamiętał wszystkich.

Ciekawe, czy dziadek wiedział, co go czeka? Rodzice na pewno nie zjawią się pod koniec lata w Wyomingu, prędzej polecą do Paryża albo skorzystają z zaproszenia przyjaciół i popłyną z nimi na greckie wyspy. Mama zadzwoni po paru tygodniach, tłumacząc ze wzruszeniem, że chociaż straszliwie tęskni za swoim ukochanym synkiem, to nie mogli przecież zmarnować takiej wyjątkowej okazji. W każdym razie nie wróci po niego, a tymczasowy opiekun Ryana będzie uziemiony przez kilka kolejnych tygodni lub nawet miesięcy.

Zauważył, że konwulsyjnie zaciska dłonie na kolanach. Z trudem rozwarł palce, zmusił się do spokoju. Nie będzie tego tak przeżywał, to bez sensu. Nie zależy mu. Nieważne, że go nie kochają.

Naraz jaguar skręcił w boczną drogę, wzdłuż

której rozciągały się wielkie pastwiska ogrodzone drutem kolczastym. Stada krów leniwie przeżuwały trawę, nie zwracając uwagi na samochód. W oddali jechał konno jakiś człowiek. Ryanowi przypominało to scenę z westernu, więc nieoczekiwanie poczuł przypływ zainteresowania. Może tu wcale nie było aż tak źle? Ta odludna i rozległa kraina, tak irytująca jego matkę, nagle wydała mu się piękna i dziwnie... znajoma.

Miał ogromną ochotę otworzyć okno, wciągnąć głęboko w płuca powietrze, które musiało być zupełnie inne niż w mieście. Mama jednak nie pozwalała na otwieranie okien, gdyż wiatr psuł jej fryzurę. Dlatego rodzice zawsze mieli samochód z klimatyzacją. Ryan siedział więc i na razie tylko patrzył, a na dnie jego serca kiełkowała bardzo nieśmiało cicha nadzieja, że to miejsce mogłoby go przygarnąć. Że mógłby tu znaleźć dom.

- Dużo czasu upłynęło. - Sara McIntyre zamknęła za sobą drzwi i stanęła na werandzie obok swojego pracodawcy.

- Dziesięć lat - potwierdził Nathan Lassiter, nie odrywając wzroku od zbliżającego się w tumanie kurzu samochodu.

Nathan miał pięćdziesiąt dwa lata, przetykane srebrnymi nitkami włosy oraz niebieskie oczy o przenikliwym spojrzeniu. Był wysoki, szeroki

w ramionach i wąski w biodrach. Należał do czwartego pokolenia Lassiterów gospodarujących na Ranczu Szczęściarzy, największym majątku w okolicy. Sara wiedziała, jakim bólem przejęła go decyzja syna, który nie chciał zostać w rodzinnej posiadłości. Miała tylko nadzieję, że jej pracodawca nie wiązał zbyt wielkich nadziei ze swoim wnukiem.

- Tak... Od pogrzebu Mary Beth - dodała w zamyśleniu.

Serce boleśnie mu się ścisnęło na dźwięk imienia żony. Chwilami jej śmierć bolała go tak bardzo, jakby miała miejsce wczoraj. Odkąd Duncan zadzwonił, Nathan często myślał o jego matce, o tym, co by powiedziała, czego by pragnęła.

Zacisnął dłonie w pięści.

Pokłócili się z synem kilka godzin po jej pogrzebie. Nie pierwszy raz, oczywiście, ale pierwszy raz nie miał ich kto przywołać do porządku. Padły słowa, które paść nie powinny, a których nie dało się zapomnieć. Duncan wyjechał z rancza i przez dziesięć lat nie dawał znaku życia. Teraz zaś wracał, przywołując swego syna.

Mojego wnuka, pomyślał Nathan. Naszego wnuka, kochana Mary Beth. Może to dziecko nas pogodzi. Może wszystko się odmieni.

- Wy dwaj nigdy nie potrafiliście się dogadać
- skomentowała Sara.

- Bo jest uparty jak dziki osioł.

Rzuciła mu kpiące spojrzenie.

- Za to ty jesteś łagodny jak owieczka.

Jej mąż był zarządcą u Nathana, którego domem zaczęła zajmować się po śmierci Mary Beth, najpierw z czystej życzliwości, potem zaś została zatrudniona na stałe jako gospodyni. Znali się z Lassiterem tyle lat, że nie wahała się mówić, co naprawdę myśli. Konflikt między ojcem a synem nie powstał tylko z winy tego ostatniego.

- Dobrze, ale ja przynajmniej nie włóczę się po całym świecie jak jakiś łązega. To nie jest dobre dla dzieciaka.

- Niektórzy ludzie dużo podróżują - wtrąciła łagodnie.

- A niech sobie podróżują, co mnie to obchodzi? Mój wnuk powinien mieć dom. Dziecko musi czuć, że gdzieś przynależy. Powinno mieć swoje miejsce na ziemi. A jak on może mieć swoje miejsce, skoro nigdzie nie spędził więcej niż kilka miesięcy?

Nathan uważnie śledził poczynania syna i wiedział doskonale, gdzie Duncan podziewał się przez te wszystkie lata. I gdzie w tym czasie przebywał mały.

- Widziałaś, jaki wóz? - mruknął niechętnie,

gdy jaguar zbliżył się ku nim, z trudem pokonując koleiny pozostałe po wiosennych ulewach. - Zupełnie do niczego.

Sara osłoniła oczy dłonią i spojrzała na zatrzymujący się przed werandą zakurzony samochód. Westchnęła.

- Przecież nie produkuje się takich po to, żeby były funkcjonalne, tylko żeby ładnie wyglądały - zauważyła przytomnie. - Siana ani chorego cielaka nie da się nim przewieźć, ale ładny to on jest, nie ma co.

- Zupełnie do niczego - mruknął Nathan, nie wiadomo było jednak, czy chodziło mu o jaguara, czy też o kobietę, która z niego wysiadła.

Sylvie Lassiter wyglądała jak figurynka z porcelany. Była delikatnej budowy, miała szczupłą talię, bardzo zgrabny biust i śliczne długie nogi. Pobrali się z Duncanem w Las Vegas, a tydzień później zmarła jego matka. Na pogrzebie Mary Beth platynowa blondynka o regularnych rysach ściągnęła na siebie powszechną uwagę - głównie dlatego, że włożyła elegancki kostiumik z czarnego jedwabiu, ze spódniczką sięgającą zaledwie do połowy uda. Kiedy grabarze opuszczali trumnę do wykopanego dołu, narzekała, że na tym wiejskim cmentarzu alejki nie są wyasfaltowane i zabłociła sobie nowiutkie markowe szpilki.

Tym razem miała na sobie obcisłe czarne

dżinsy, wpuszczone w również czarne kowbojskie buty oraz turkusową bluzkę ze srebrnymi guziczkami. Pewnie uznała, że tak chodzi się na ranczu. Sara chciałaby zobaczyć, jak tamtej udałoby się wsiąść na konia w tak dopasowanych spodniach.

- Dzień dobry! - zawołała Sylvie, machając ręką.

Nathan tylko się skrzywił, na szczęście prawie niezauważalnie, za to Sara odmachwała jej ze znacznie większą życzliwością, niż naprawdę odczuwała.

- Przynajmniej mógłbyś udawać - mruknęła kącikiem warg.

Nathan jej nie słuchał. Cała jego uwaga skupiła się na wysiadającym z samochodu chłopcu. Był wysoki jak na swój wiek, bardzo szczupły, lecz ramiona miał szerokie, więc z czasem pewnie wyrośnie na barczystego mężczyznę. Miał ciemne włosy o czerwonym połysku, szczególnie widocznym w słońcu. Mary Beth lubiła taki odcień, nazywała go mahoniowym.

Jakby wyczuwając utkwione w sobie spojrzenie, Ryan wyprostował się i popatrzył prosto na dziadka, na poły zuchowato, na poły niepewnie. W każdym razie głowę trzymał dumnie uniesioną. Nathan od razu rozpoznał jego regularne rysy, widział je przecież wcześniej. Nagle wydało

mu się, że czas się cofnął i że stoi przed nim zupełnie inny chłopiec, tak samo buńczuczny i nieufny.

Trzasnęły drzwiczki samochodu i to przywróciło go do rzeczywistości. Nathan z trudem oderwał wzrok od wnuka i popatrzył na syna. Odpowiedziało mu wyzywająco niechętne spojrzenie, stało się więc jasne, że tak naprawdę nic się między nimi nie zmieniło.

Trudno, przeszłości nie da się już zmienić, ale może da się uratować przyszłość. Z tą myślą Nathan zszedł z werandy i podszedł przywitać gości.

Ryan niemrawo bawił się okruchami ciasta, przesuując je palcem po talerzu. Czasami zerkał na kręcącą się przy kuchni kobietę. Nazywała się Sara i gotowała dla jego dziadka. Przyjaciele jego rodziców też mieli gosposie, ale ta ich w niczym nie przypominała. Była wysoka, ubrana w kraciatą koszulę i spłowiałe džinsy, miała miedzianą cerę i czarne włosy zaplecione w długi warkocz, który sięgał jej prawie do pasa.

- Chcesz jeszcze jedno ciastko? - spytała z uśmiechem, podchwyciwszy jego spojrzenie.

Szybko spuścił wzrok.

- Nie, dziękuję. Nie jestem głodny.

Sara pierwszy raz widziała dziecko, które

musiało odczuwać głód, żeby mieć ochotę na świeżutkie biszkopty z czekoladą. Jej dziesięcioletni syn spałaszowałby ich całą stertę, nawet gdyby był najedzony. Podejrzewała, że Ryan jest zbyt zestresowany, by cokolwiek przełknąć.

- Rozmawiają teraz o mnie, prawda? - Wskazał zamknięte drzwi gabinetu.

- Tak, rozmawiają o twoim pobycie tutaj - odparła łagodnie. - Twój dziadek bardzo się cieszył na twój przyjazd.

- Naprawdę? - spytał sceptycznie.

Sara nie rozumiała przyczyn tej nieufności, lecz nie zamierzała go o nic wypytywać. Na razie było na to za wcześnie, za mało się znali. Ten chłopiec w niczym nie przypominał jej syna. Tucker był prostolinijny, dało się w nim czytać jak w otwartej księdze, Ryana zaś otaczały nieprzeniknione grube mury.

Wstał, podszedł do okna i zapatrzył się na poszarpaną linię Gór Skalistych widocznych na horyzoncie. Chciałby pobiec ku nim, zostawiając za sobą pytania, czemu rodzice go nie kochają i co z nim robią, gdy już zabraknie osób, którym mogliby go podrzucić jak niepotrzebny bagaż.

Nagłe zapiekły go oczy. Oby to się wreszcie skończyło. Oby wreszcie przestał być tak bardzo samotny.

- Będę za tobą tęsknić.

Syvie przyklękła przed synem i przytuliła go mocno do siebie, ignorując fakt, że chłopiec instynktownie napiął mięśnie.

Pożegnanie miało miejsce przed werandą. Nathan stał nieopodal, wyraźnie dystansując się od syna i synowej. Spędzili w jego domu ledwie godzinę, lecz nie żałował, że tak szybko wyjeżdżają. Przeciwnie. Jego nadzieje na odbudowanie jakiegokolwiek więzi z synem legły w gruzach. Duncan zmienił się, właściwie ojciec zupełnie go nie poznawał.

Ta wizyta po latach przyniosła jednak dobry skutek. Wnuk mógł zostać u dziadka na stałe, oczywiście tylko wówczas, o ile mieszkanie na ranczu przypadnie mu do gustu. To Nathan nalegał na ów warunek, bo dobrze wiedział, że nie można nikogo zmusić do pokochania takiego stylu życia.

Syvie na początku protestowała. Miałaby wyrzec się jedyne dziecko? Nathan zaczął się nawet zastanawiać, czy nie osądził jej zbyt ostro, lecz szybko rozwiąła jego wątpliwości. Co ludzie powiedzą? Tak, to było jej jedyne zmartwienie. Duncanowi przynajmniej zostało dość przyzwoitości, żeby spuścić wzrok, kiedy ojciec spojrzął na nich z pogardą. Sylvie nic nie zauważyła, była zbyt zajęta sobą.

Czemu jego syn w ogóle ją poślubił? Owszem, była wyjątkowo ładna, ale to przecież za mało. Nathan nie znajdował w niej nic godnego uwagi. Nie przejawiała żadnych szczerych uczuć ani żadnych zalet charakteru. Pod zachwycającą powierzchownością nie kryło się zupełnie nic. Ta kobieta żyła wyłącznie na pokaz. Dlatego nie umiała dostrzec, co dzieje się w sercach innych ludzi. Teść przyglądał się z dezaprobatą, jak ostentacyjnie ścisnęła syna.

Dzieciak jest sztywny jak kij od szczotki, pomyślał ponuro.

- Serce mi się kraje na myśl, że musimy się rozstać - powiedziała, odsuwając się nieco, by popatrzeć na Ryana ze łzami w pięknych oczach.

Skorzystał z okazji, wyrwał się z jej objęć i cofnął o krok. Nie cierpiał, kiedy zachowywała się tak, jakby naprawdę bardzo chciała, ale nie mogła z nim zostać. Miał ochotę krzyknąć, że skoro matka tak bardzo cierpi, to przecież nie musi jechać na kolejną głupią wycieczkę, powstrzymał się jednak. Kiedy był młodszy, błagał ich, by nie wyjeżdżali i nie zostawiali go z obcymi ludźmi, ale to ani razu nie poskutkowało. Wreszcie zrozumiał, że prośby nic nie dają i wtedy przysiągł sobie, że nigdy więcej ich o nic nie poprosi. Skoro oni go nie potrzebują, to i on się bez nich obejdzie.

- Będziesz za mną tęsknił? - spytała Sylvie przymilnym tonem, a gdy nie uzyskała odpowiedzi, zrobiła smutną minkę, którą zawsze potrafiła wiele zdziałać. - Powiedz...

Wpatrując się w ziemię, Ryan wzruszył ramionami.

- Pewnie.

- Powiedz mamusi, że będziesz za nią tęsknił - nalegała, podobnie jak królowa wymaga, by poddany złożył jej hołd.

Chłopiec zacisnął wargi, wbił ręce w kieszenie i spojrzał ponad ramieniem matki w stronę stajni, gdzie przy ogrodzeniu stał dorodny siwek i zdawał się im przyglądać. Naraz Ryana ogarnęła ogromna tęsknota, by wskoczyć na grzbiet pięknego konia i uciec jak najdalej.

- Ryan, ja czekam - rzekła z wyraźną irytacją Sylvie.

- Nie będzie miał czasu tęsknić za nami - wtrącił się Duncan, ujmując żonę pod ramię i pomagając jej wstać. Przeniósł wzrok z syna na ojca i z powrotem. Uśmiechnął się nieco zbyt szeroko i powiedział nieco zbyt wesoło: - Będzie miał tu tyle ciekawych rzeczy do roboty, że nawet nie zauważy naszej nieobecności.

Ryan spojrzał ojcu prosto w oczy.

- I tak was nigdy nie ma, więc co za różnica? Zapadło niezręczne milczenie. Duncan zaczer-

wienił się, w jego oczach pojawiło się coś podobnego do wstydu. Śliczne rysy Sylvie wykrzywiły się brzydko. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz mąż ścisnął ją za ramię i dał znak, by milczała.

Nathan nie wiedział, czy syn zrobił to dla dobra żony, czy może dla dobra Ryana. W każdym razie należało wreszcie zakończyć tę scenę. Zbliżył się i położył dłoń na ramieniu wnuka. Wyczuł pod palcami napięte mięśnie.

- Jeśli chcecie dotrzeć przed zmrokiem do Cheyenne, musicie już ruszać. Czeka was długa droga.

- Tak, masz rację - rzekł z ulgą Duncan, wdzięczny ojcu za wybawienie ich z kłopotliwej sytuacji.

Sylvie nie potrafiła docenić taktu teścia.

- Jedźmy - warknęła. - Zostawmy wreszcie za sobą to okropne miejsce. - Odwróciła się i odeszła, nie poświęciwszy nawet jednego spojrzenia synowi, z którym jeszcze przed chwilą nie mogła się rozstać.

Duncan zerknął na syna i ujrzał poważną nadwiek twarz oraz wpatrzone w siebie oczy - zimne jak lód. Zawahał się. Nagle huknęły drzwiczki jaguara, które Sylvie mocno zatrasnęła przy wsiadaniu. Duncan drgnął, odsunął od siebie wszelkie wątpliwości i uśmiechnął się do syna z roztargnieniem, myśląc już o czymś innym.

- Uważaj na siebie i baw się dobrze. - Machnął mu ręką na pożegnanie i zawrócił do samochodu.

Ryan nie powiedział ani słowa, gdy samochód wykręcał, a potem ruszał w kierunku bramy. Stał wyprostowany, jego szczupłe ciało zdawało się napięte jak cięciwa, na poły dziecinna, na poły dorosła twarzyczka nie wyrażała żadnych emocji. Dopiero kiedy za oddalającym się jaguarem wzniosł się tuman kurzu i zasłonił go, chłopiec odsunął się od dziadka, by móc mu spojrzeć prosto w oczy.

- Oni nie *wrócą* wtedy, kiedy obiecali - poinformował tonem, który nie dopuszczał żadnej dyskusji. - Nigdy nie wracają na czas.

Nathan tylko wzruszył ramionami.

- Nie? To w takim razie zostaniesz tutaj dłużej.

- I nie zapłacą ci - ciągnął Ryan, jakby rzucał przeciwnikowi rękawicę. - Nawet jeśli obiecali. Oni nikomu nie płacą za opiekę nade mną.

- Nie chcę pieniędzy - rzekł spokojnie jego dziadek, a widząc zdumienie w oczach wnuka, zdecydował się postawić sprawę jasno. Początkowo zamierzał dać chłopcu trochę czasu na oswojenie się z tym miejscem, ale może faktycznie lepiej będzie od razu wyłożyć karty na stół, niech mały wie, czego może się spodziewać.

- Chcę, żebyś mieszkał ze mną tak długo, jak długo będziesz miał ochotę. Jeśli ci się spodoba, zostaniesz na stałe.

Te słowa wstrząsnęły Ryanem.

- Jak to? Mogę zostać? Na zawsze?

- Tak. To zależy tylko od ciebie.

Wnuk dalej wyraźnie mu nie dowierzał, lecz Nathan nie zamierzał go przekonywać na siłę. Ten dzieciak nie miał powodu, by ufać słowom dorosłych.

- Chcesz, żebym został? Dlaczego?

W tym prostym pytaniu krył się cały dramat niekochanego dziecka. Nathan aż musiał odchrząknąć, bo coś dziwnie ścisnęło go za gardło.

- Bo jesteś moim wnukiem. Tutaj jest twój dom.

Ryan patrzył na niego, nie wiedząc, co z tym począć. Z jednej strony chciał wierzyć temu wysokiemu żyłastemu człowiekowi, z drugiej dawno pozbył się złudzeń. Dorośli mówili jedno, a potem robili drugie. Za jakiś czas dziadkowi się odmieni i będzie niecierpliwie wypatrywał powrotu rodziców. Przecież to się zawsze tak kończyło.

Odwrocił wzrok, wzruszył ramionami, by pokazać, że mu nie zależy.

- Wszystko mi jedno.

Nathan nie dał się zwieść. Mały znów

odgrodził się murem, lecz przez jeden krótki moment tego muru nie było, a to dawało nadzieję. Zaufanie jest jak roślina - potrzebuje czasu, by zapuścić korzenie i zakiełkować. A nawet gdyby chłopiec nie przekonał się do dziadka, to być może przemówi do niego uroda tej ziemi. Kto ma uszy do słuchania, usłyszy jej głos.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Dwadzieścia lat później

- Na to mówię do Davisa, że jak nie chce, żeby moja pięść pocałowała się z jego szczęką, to lepiej niech wypluje te słowa, bo nie będę siedział jak ten kołek i słuchał, jak on sobie wyciera gębę kimś takim jak Belinda. Na co on...

Ryan zmienił nieco pozycję, ale nic to nie pomogło, ponieważ siedzenie w wysłużonej furgonetce było twarde jak diabli. Bolała go zawieszona na temblaku ręka, bolały go zabandażowane żebra, a na dobitkę puchły mu już uszy. Przymknął oczy, próbując sobie wyobrazić, że znajduje się na bezludnej wyspie, gdzie dobiega go jedynie szum morza. Tak, plaża, puszka

zimnego piwa w jednym ręku, dobra książka w drugim, słońce, przyjemna bryza i...

- ...a kiedy już nas wypuścili z kicia, Davis postawił mi śniadanie, mówię ci, podobnej wyże-ry nie miałem od dawna, a potem razem...

Albo nawet nie bezludna wyspa, tylko zasypa-na śniegiem drewniana chata w Górach Skaliskich, położona na zachodniej granicy rancza jego dziadka. Wokół taka cisza, że słychać świst skrzydeł krążącego w górze jastrzębia. Kubek gorącej kawy i...

- ...bo Davis nie jest przytomnym gościem, tak naprawdę to on ma zupełnie pusto we łbie...

Albo oaza na samym środku pustyni. Tylko szelest palmowych liści, w dłoni szklaneczka soku pomarańczowego z lodem i...

- Oczywiście, nie każdy musi być geniuszem, ale Davis nie umiałby znaleźć bez drogowskazu własnego tyłka, więc...

- Doug, ty chyba musisz mieć język na zawiasach, skoro ci nie odleci od tego ciąglego trzepania! - przerwał mu bez złości Ryan, rezygnując z dalszych prób ucięcia sobie drzemki. - Przez ostatnie trzysta kilometrów nie przestałeś gadać ani na moment! Chwilami się zastanawiam, czy ty w ogóle masz czas oddychać.

- Ha, bo to trzeba umieć tak mówić, żeby oddech wypadał równo na końcu zdania! Tak

robią śpiewacy operowi, rozumiesz. Nie każdy tak potrafi - rzekł z dumą Doug.

Ryan nie wytrzymał i roześmiał się, chociaż wcale mu nie było do śmiechu.

- Powinienem być w takim razie poprosić o podwiezienie kogoś mniej utalentowanego.

- A kto miałby ochotę wlec taki kawał drogi jakiegoś połamańca i jego zapchlona szkapę?

- Wskazał kciukiem na przyczepę dla konia, którą ciągnęli za sobą. - Gdyby nie ja, musiałbyś wracać do Wyomingu na piechotę.

- Przynajmniej nie musiałbym cię słuchać. Dziób ci się nie zamyka od dwóch dni.

- Jesteś diabelnie nie w sosie, odkąd trochę się potłukłeś.

Brwi Ryana podjechały prawie po nasadę ciemnych włosów.

- Trochę się potłukłem? Ta przeklęta bestia wysadziła mnie z siodła w szóstej sekundzie, a potem wdeptała w ziemię i odtańczyła na mnie polkę!

- To raczej wyglądało na tango. Naprawdę uchwycił rytm, skubaniec.

- Wiesz, byłem za bardzo zajęty łamaniem sobie gnatów pod jego kopytami, żeby docenić takie subtelne różnice - skwitował cierpko Ryan.

- Właśnie, skoro o tańcu mowa... Opowiadałem ci już, jak wygrałem na loterii darmowe

lekcje tańca? Najpierw pomyślałem, po kiego mi to, a potem zacząłem kombinować, że mógłbym dzięki nim poderwać taką jedną małą...

Opowieść o takiej jednej małej, która potem i tak wyjechała do innego stanu z jakimś obszarpańcem, Ryan znał już na pamięć, więc przestał słuchać. Rozpoznawał okolicę, za godzinę powinien znaleźć się w domu. To już cztery lata, pomyślał. Cztery lata, odkąd włóczył się po turniejach rodeo, rzadko wpadając na ranczo, zawsze tylko na parę dni. Cztery lata z dala od domu. Szmata czasu.

Machinalnie potarł kciukiem o palec serdeczny w tym miejscu, gdzie nosił obrączkę. Gdzie kiedyś nosił obrączkę. Przyłapał się na tym, rozprostował palce, nakazał sobie spokój. Nie będzie więcej myślał o przeszłości. Obiecał to sobie w szpitalu i musi tej obietnicy dotrzymać. Postanowił wtedy zerwać z dotychczasowym życiem i wrócić do domu.

Nie wiedział, co kazało mu podjąć tę decyzję, po prostu znienacka pojawiła się w jego głowie, tak jasna i wyraźna, że ani przez moment nie podważał jej sensowności. Na pewno nie przejął się tak połamanymi kośćmi, w końcu nie pierwszy raz mustang zrzucił go z siodła i stratował. Ryan miał już i złamaną nogę, i dwa razy obojczyk, a założono mu tyle szwów, że nawet by

ich nie zliczył. Na pewno też na jego decyzję nie miał wpływu prześladowający go od początku sezonu niefart. Za każdym razem losował najdzikszego konia, niczego nie wygrywał i tracił pieniądze na przejazdy, noclegi oraz wpisowe, ale ryzyko było przecież wkalkulowane w jego zawód, zatem...

Nie, chyba po prostu zrozumiał, że jego miejsce jest na ranchu Lassiterów. Co on robił tysiące kilometrów od domu? Co on robił w jakichś zadymionych barach, gdy przywoływał go zapach prerii, co on robił w jakichś gwarnych miastach, gdy czekał na niego chrzest śniegu pod kopytami konia w górskiej kotlinie? Co robił? Uciekał przed wspomnieniami, próbował je zagłuszyć. Ale to nic nie dawało.

Dziadek nie pochwalał jego zajęcia i nie krył się z tym. Pokłócili się przez to poważnie w ostatnie święta. Ryan wrócił z wielkich zawodów w Las Vegas, gdzie zdobył główną nagrodę.

- Co za głupi sposób zarabiania na życie - zdenerwował się Nathan, patrząc na przywieszone do domu trofeum. Jeśli czuł dumę z powodu sukcesu wnuka, to starannie ją ukrył.

- Moje życie, mój sposób zarabiania - skwitował wnuk.

Nathan nie popuścił, gdyż bał się, że Ryan w końcu się zabije.

- To do niczego nie prowadzi. Możesz sobie skrócić kark na oczach gapiów, ale nic nie wróci ci Sally.

- Sally nie ma z tym nic wspólnego - zaprotestował Ryan. Właściwie sam nie wiedział, czy to prawda czy nie. - Po prostu jestem dobry w ujeżdżaniu koni i wykonuję swój zawód.

Podniósł do ust szklaneczkę z ajerkoniakiem domowej roboty, przyrządzonym przez Sarę. Pomyślał z żalem, że nie tak sobie wyobrażał przyjazd do domu na święta. Dziadek mógł sobie darować czepianie się go w taki dzień. Lepiej będzie zmienić temat.

- To był chyba dobry rok dla hodowców bydła, prawda?

- Przecież ciebie bydło nie obchodzi, tylko to durne popisywanie się w jakimś błazenskim stroju - warknął Nathan. - Nie wychowałem cię na pajaca! Pora, żebyś wreszcie zmadrzał i wrócił do domu.

Ryan łupnął szklaneczką o blat stołu i zerwał się na równe nogi.

- Nie mów do mnie w ten sposób - zażądał.
- Nie jestem dzieckiem.

- Zachowujesz się, jakbyś był - odparował dziadek i również się podniósł.

Zmierzyli się wzrokiem. Gdyby ktoś ich w tym momencie obserwował, uderzyłoby go podobień-

stwo dziadka i wnuka. Mieli takie same niebieskie oczy o nieustępliwym spojrzeniu, zdecydowane rysy i mocno zarysowane szczęki, a na obu twarzach malował się taki sam upór.

- Nie zostawię rancza w rękach malowanego kowboja, który łamie sobie kości na jakichś jarmarkach ku uciesze gawiedzi i przywozi do domu głupie błyskotki. Jeśli masz po mnie wszystko odziedziczyć, musisz najpierw udowodnić, że na to zasługujesz.

Ryan aż pobladł z wściekłości.

- Nie waż się mnie szantażować - powiedział cicho.

Nathan czuł, że zapędził się za daleko, lecz nie zamierzał odwołać swoich słów, ponieważ nie miał zwyczaju się wycofywać.

- Ja tylko stwierdzam fakty. Włożyłem w to ranczo mnóstwo pracy, więc chcę je zostawić w dobrych rękach.

- Nie obchodzi mnie, co z nim zrobisz - zełgał Ryan. - W każdym razie nie próbuj mnie szantażować.

Przybycie McIntyre'ow szczęśliwie przerwało tę rozmowę, która mogła doprowadzić do opłakanych rezultatów. Kiedy wnuk parę dni później znowu wyjeżdżał, jego stosunki z dziadkiem nadal pozostawały napięte. Ciekawe, co usłyszy, gdy po kilku miesiącach nieobecności wróci

połamany i kompletnie splukany. Przedtem się tym nie przejmował, ale teraz sprawy miały się inaczej. Co on właściwie próbował udowodnić przez te cztery lata? I komu? Znowu machinalnie potarł miejsce, gdzie kiedyś była obrączka.

- O, chyba trzeba poratować damę - odezwał się Doug, wrywając Ryana z zamyślenia.

Na poboczu stał nieduży niebieski samochód z uniesioną przednią klapą i migającymi światłami awaryjnymi. Doug bez namysłu zatrzymał się za nim, ponieważ w tak słabo zaludnionym stanie niepisane prawo nakazywało zawsze pomóc innemu kierowcy. Ryan zeskoczył na ziemię i ledwie stłumił jęk. Wszystko go bolało, chociaż od niefortunnej przygody minęły już trzy tygodnie. Tak, rzeczywiście najwyższa pora się wycofać. Po prostu robił się na to za stary.

- Ty, warto było - mruknął półgębkiem Doug.

Przy samochodzie stała nieduża blondynka w bawełnianej koszulce i džinsach, dzięki czemu Ryan mógł ocenić, jak apetycznie jest zaokrąglona w odpowiednich miejscach. Mogła mieć jakieś metr sześćdziesiąt, nie więcej. Kręcone, złocistorude włosy sięgały jej tuż za ramiona. Teraz były uroczo potargane, jakby niedawno wstała z łóżka. Pewnie zużyła mnóstwo lakieru, żeby tak wyglądały, pomyślał cynicznie Ryan. Jakby w odpowiedzi na jego podejrzenia nie-

znajoma najzupełniej naturalnym gestem odgarnęła opadające jej na twarz włosy i okazało się, że po prostu są niesforne z natury, a nie misternie ułożone.

Humor mu się poprawił. Zawsze trzeba pomóc damie w potrzebie, lecz nie zaszkodzi przy tym, gdy dama jest ładna.

Maggie Drummond z mieszanymi uczuciami patrzyła na odrapaną czerwoną furgonetkę ciągnącą za sobą przyczepę z koniem. Od ponad pół godziny nic innego nie przejechało tą szosą, za to przebiegły przez nią dwa zajace, a w oddali stadko saren. Zwierzęta nawet nie obejrzały się na zepsuty samochód i zdesperowaną Maggie, która rozważała, czy pójść na piechotę do miasteczka, odległego o, bagatela, ponad dwadzieścia kilometrów. Większość drogi musiałyby odbyć po ciemku, co oczywiście jej się nie uśmiechało, ale nocowanie w samochodzie na środku pustkowia nie uśmiechało jej się jeszcze bardziej.

Kiedy ujrzała, jak w końcu ktoś nadjeżdża, poczuła ulgę, która jednak znikła, gdy z furgonetki wysiedli dwaj mężczyźni, a Maggie nagle uprzytomniła sobie, że w razie czego nikt nawet nie usłyszy jej krzyku. Nie zdołałaby też daleko uciec, zważywszy, jak długie nogi miał wyższy z nich. Oczywiście nie było powodu do wpadania

w panikę, jednak na wszelki wypadek cofnęła się odrobinę, by znaleźć się bliżej drzwi. Czy zdąży wskoczyć do środka i zatrzasnąć je za sobą, gdyby zaszła taka potrzeba?

- Moje uszanowanie pani - rzucił niższy i podsunął kciukiem rondo kowbojskiego kapelusza, odsłaniając sympatyczną kragłą twarz, brązowe oczy i grzywę płowych włosów. - Jakież kłopoty?

Maggie poczuła się rażniej. Nie było to zbyt logiczne, lecz nie potrafiła się bać człowieka, który w jakiś sposób przypominał rozkosznego, niezgrabnego szczeniaka. Chwileczkę, jakie psy były tak pokraczne, że aż słodkie? Bassety, oczywiście.

- Owszem. Już myślałam, że czeka mnie spacer do miasta - odparła z uśmiechem.

- Byłby to rzeczywiście nielichy spacer - odezwał się drugi z nich.

Jego głos przywiódł jej na myśl letnią noc, ciepłą, pełną tajemnic, obietnic, ale i niebezpieczeństw. Maggie przeniosła wzrok na drugiego z nieznanym. Był wysoki, jego ciemne włosy miały ładny mahoniowy połysk. Zawahała się przed uznaniem go za przystojnego. To nie był typowy przystojniak, miał zbyt surowe rysy, za mocno zarysowaną szczękę, zbyt orli nos. Robił wrażenie. Na pewno podobał się wielu kobietom.

Wyglądał jak rasowy kowboj, a ręka na temb-laku w żaden sposób nie psuła tego wizerunku.

- Jestem Doug Tennent, a ten łamaga to Ryan Lassiter - odezwał się płowowłosa, a Maggie z ulgą oderwała wzrok od jego towarzysza.

- Maggie Drummond - przedstawiła się.

- Bardzo nam miło - rzekł grzecznie Doug i uśmiechnął się szeroko, co nadało mu jeszcze bardziej przyjazny wygląd.

Maggie do końca pozbyła się obaw. Jeśli on jest niebezpieczny, to ja jestem Cindy Crawford, pomyślała. Chyba za długo mieszkałam w mieście, w miejskiej dżungli kobieta popada w paranoję i wszędzie widzi potencjalnych napastników i zbrojców.

- Rzucę okiem na pani wóz i zobaczę, co da się zrobić - zaproponował Doug. - Może poszedł pasek klinowy.

- Nie, to nie pasek klinowy, sprawdzałam. Moim zdaniem to raczej prądnicą.

- Do niej też mogę zajrzeć - zapewnił, lecz bez zbytniego entuzjazmu.

- Tylko najpierw się upewnij, gdzie jej szukać - wycedził Ryan.

- Wiem, gdzie jest prądnicą - odparł z godnością Doug. - I nawet wiem, jak wygląda. Pięć lat temu odleciała mi od furgonetki, nie tej, poprzedniej, akurat na samym środku zasa... o,

przepraszam najmocniej, zasmarkanej pustyni, kiedy jechałem na rodeo w Santa Fe. Dookoła nic, tylko kaktusy i grzechotniki, a ja sam jak ten palec w du... Jeszcze raz przepraszam. No więc tkwię sam na środku pustyni, ale na szczęście miałem przy sobie piwo, inaczej umarłbym z pragnienia, zanim...

- Słuchaj, oszczędź nam szczegółowego opisu tej przygody — przerwał mu zdecydowanie Ryan, wiedząc, że inaczej kumpel będzie gadać przez kilka godzin. - Pani to nie interesuje.

- A skąd wiesz?

- Bo to historia nudna jak flaki z olejem, przecież już ją słyszałem.

- Nudna? - zaperzył się Doug. - A wąż? Gruby jak moje ramię, do tego zimne wściekle ślepia i zęby jak noże!

- No i co on takiego zrobił? Ledwie przełaził przez drogę. Gdyby cię przynajmniej ukąsił, rzeczywiście byłoby o czym opowiadać.

Maggie przenosiła spojrzenie z jednego na drugiego, czując się jak widz na meczu tenisowym, gdzie zawodnicy na przemian odbijają piłkę. Zgadywała, że ci dwaj nie pierwszy raz tak się przerzucają słowami. Był to wyraźnie przyjacielski rytuał, pozbawiony śladu zjadliwości.

- Pani pewnie chce usłyszeć o wężu, prawda? - zwrócił się do niej Doug, nieoczekiwanie wciągając ją znów do rozmowy.

- Cóż, ja...

- Pani chce mieć zreperowany samochód, a żaden z nas nie bardzo się do tego nadaje - skwitował Ryan, przesuwając kapelusz na tył głowy.

Maggie ujrzała śmiejące się niebieskie oczy i nieoczekiwanie puls jej przyspieszył.

- Bo, widzi pani, jesteśmy kowbojami - wyjaśnił bez potrzeby Doug. - Jakby poszła dętka, tobyśmy sobie poradzili, ale prądnicą to poważniejsza sprawa.

- A kowboje nie muszą się znać na samochodach? - spytała z lekkim rozbawieniem.

- Nasz kodeks tego nie zabrania, ale zazwyczaj lepiej się znamy na żywych koniach, a słabiej na mechanicznych - odrzekł Ryan.

Maggie uniosła brwi.

- To kowboje mają swój kodeks?

- Tak, psze pani. Wszystko jest spisane w takiej grubej książce - dodał z udawaną powagą Doug. - Można się z niej nauczyć przysięgi kowbojskiej i specjalnego sposobu podawania ręki, takiego tylko dla wtajemniczonych.

- Jasne, a jak się zamówi trzy egzemplarze książki i wyśle wycięte z nich kupony, to przysyłają znaczek, który świeci w ciemności. W ten sposób rozpoznajemy się nawet w nocy - podsumował cierpko Ryan.

Uśmiechnęła się szeroko, a wtedy zauważył, że Maggie Drummond ma jeden z przednich zębów troszkę krzywy, co w dziwny sposób dodawało jej uroku. Widział po jej oczach, że już zupełnie przestała się ich bać. Swoją drogą, ładne te oczy. Duże, ciemnoszare, o ciepłym wejrzeniu, szczerze odzwierciedlające jej uczucia.

Na początku przestraszyła się ich, czemu wcale się nie dziwił. Samotna kobieta na pustkowiu i dwóch mężczyzn. Stan Wyoming był dość spokojny i ludzie czuli się bezpiecznie, lecz i tu dochodziło do przestępstw. Ledwie jednak Doug się uśmiechnął, uspokoiła się. Ryan nie pierwszy raz widział podobną reakcję. Jego przyjaciel tak przypominał miłego szczeniaka, że jego złamany nos i dwa wybite zęby tylko rozczulały kobiety, które miały ochotę przytulić go do piersi i pocieszyć. Właśnie dlatego Doug wcale nie był taki niegroźny, jak się Maggie wydawało. Zdołał poderwać więcej pańienek niż niejeden przystojniak. Po prostu nie umiały mu się oprzeć.

- Możemy podwieźć panią do miasta - zaoferował Doug, a Maggie, która jeszcze parę minut wcześniej przyglądała im się z przestachem, bez wahania przyjęła propozycję.

Świat nie został stworzony dla ludzi mojego wzrostu, pomyślała Maggie, gdy Ryan otworzył

przed nią drzwi furgonetki. Trzeba było skracać nogawki spodni, przystawiać sobie stołek, żeby wyjąć coś z kuchennej szafki, no i oczywiście nie dawało się z wdziękiem wsiąść do furgonetki, gdyż stopień znajdował się za wysoko. Będzie musiała się jakoś wgramolić, co normalnie by jej nie przeszkadzało, ale na myśl o tym, że będą się temu przyglądać te ładne niebieskie oczy, zrobiło jej się strasznie głupio.

Nie bądź idiotką, przecież on i tak nie będzie ci się przyglądał, ofuknęła się w myślach. Chciała-byś, żeby na ciebie patrzył, co? Nic z tego, kochana.

Sięgnęła ku klamce, by mieć się czego przytrzymać, a wtedy Ryan ujął ją pod łokieć.

- Pomogę pani, tu się niewygodnie wsiada.
- Dziękuję - odparła zmienionym głosem.

Nie rozumiała, co ją tak wytrąciło z równowagi, przecież nie pierwszy raz atrakcyjny mężczyzna czynił wobec niej drobny gest, powodowany jedynie grzecznością. Pewnie odreagowywała stres. W końcu to nic przyjemnego spędzić noc na zupełnym pustkowiu. Gdzieś czytała, że człowiek wyratowany z opresji przywiązuje się do swego wybawcy. To się nawet jakoś nazywało. Syndrom sztokholmski? Nie, to oznaczało współpracę zakładników z porwaczami. Swoją drogą Szwajcaria zawsze wydawała jej się porządnym

i spokojnym krajem, a tu proszę, porwania. Maggie zawahała się. Sztokholm leżał w Szwajcarii, czyż nie? Nigdy nie była mocna w geografii.

- Coś nie w porządku?

Pytanie Ryana uświadomiło jej, że nadal stoi przed otwartymi drzwiami furgonetki i gapi się przed siebie. Zakłopotana, powiedziała pierwsze, co jej przyszło do głowy:

- Nie, po prostu zastanawiałam się, gdzie leży Sztokholm.

W jego oczach odbiło się zdumienie, lecz odparł uprzejmie:

- Ostatnio był w Szwecji.

- Jest pan pewien, że nie w Szwajcarii?

- O ile go nie przenieśli, to nie. - Popatrzył na nią nieco podejrzliwie. - Czy to ma w tej chwili jakieś znaczenie?

- Nie, tylko byłam ciekawa.

Gratulacje, powiedziała sobie w duchu. Właśnie wyszłaś w jego oczach na kompletną idiotkę lub wariatkę. Tylko tak dalej.

Z westchnieniem wsiadła do odrapanej furgonetki i zajęła środkowe miejsce. Wnętrze samochodu nie przedstawiało się lepiej niż jego wygląd zewnętrzny. Deska rozdzielcza wypłówała od słońca, fotel był przykryty starym pledem, lecz Maggie i tak czuła wystającą sprężynę, która uwierała ją w udo. Podłogę zaścielały

niewiarygodne ilości opakowań po chrupkach, batonach i innych produktach. Maggie próbowała dyskretnie odsunąć zabrudzoną keczupem papierową torebkę, która dotykała jej pantofla. Ryan spostrzegł to i nie bawiąc się w subtelności, zręcznie kopnął torebkę, która wpadła pod siedzenie.

- Doug popiera zdrową żywność - wyjaśnił.

- Tak? A kto wrębał dziś na śniadanie dwa hamburgery? - spytał przyjaciel.

- Nie takie rzeczy człowiek robi z głodu - orzekł sentencjonalnie Ryan.

Maggie przez moment ich nie słuchała. Z lekkim zaniepokojeniem spojrzała na swój samochód, który właśnie mijali.

- Niech się pani nie obawia, nikt go tu nie ruszy - uspokoił ją Ryan.

- Wiem. W Detroit już po godzinie byłby kompletnie wybebeszony. Martwiłam się tylko, czy nie będę musiała kupić nowej prądnicy.

- Przede wszystkim potrzebny pani dobry mechanik. Polecam Franka Luddy'ego.

- Dziękuję, ale Luke się tym zajmie. On świetnie zna się na samochodach.

Miała kogoś? Ryan zerknął na jej dłoń. Brak obrączki nie musiał o niczym świadczyć. Co go zresztą obchodziło, czy ta kobieta z kimś jest? No, nie obchodziło go, ale jakoś tak wolałby, żeby nie

była z nikim związana. Czemu w ogóle naszły go takie myśli? Od dawna nikt go nie zainteresował i niechby jeszcze tak przez jakiś czas pobyło. Miał teraz na głowie poważniejsze sprawy. Znów bezwiednie potarł kciukiem dziwnie puste miejsce po obrączce.

- Pani pochodzi z Detroit? - zagadnął Doug.

- Tak, tam się urodziłam i wychowałam, ale teraz aż trudno mi w to uwierzyć po trzech latach spędzonych tutaj.

- Nigdy nie byłem w Detroit. Chyba nie macie tam zawodów rodeo?

- Chyba nie. Pan występuje na rodeo?

- Pewnie! Jeżdżę konno od małego, potem zacząłem ujeżdżać byki. Ojciec ma kawałek ziemi w Dakocie Północnej, ale było nas trzech braci i nie mogliśmy wszyscy zostać, więc się stamtąd zabrałem i zarabiam na własny kawałek ziemi.

Ryan przestał słuchać, ponieważ wszystko, co dotyczyło Douga, znał na wyrywki. Wielu kowbojów chwaliło się, jak to zarabia na „własny kawałek ziemi”, lecz zazwyczaj kończyło się tylko na gadaniu. Ciekawe, że Doug, który gadał najwięcej ze wszystkich, w odróżnieniu od innych podszedł do sprawy całkiem poważnie. Zrobił zaocznie studia ekonomiczne i znał się na giełdzie, śledząc na bieżąco kursy akcji i walut.

Z jakichś jednak powodów, sobie tylko znanych, wolał udawać prostego kowboja.

Maggie zaśmiała się nagle, widząc Doug powiedział coś wesołego i Ryan odruchowo również się uśmiechnął. Miała miły śmiech, równie ciepły i serdeczny, jak jej spojrzenie.

- Czy obaj panowie ujeżdżają byki? - spytała, rzucając przelotne spojrzenie na Ryana.

- Nie, psze pani - odparł natychmiast Doug.

- On to delikatniś i leń patentowany. Jego specjalnością są mustangi. To tak, jakby człowiek wsiadł na konia na biegunach, nic ciekawego. To dlatego Ryan złamał sobie rękę. Zasnął w siodle i spadł.

Maggie spojrzała na Ryana z lekką konsternacją, więc pośpieszył z wyjaśnieniem:

- On tyle razy zleciał na zbity łeb, że wszystko mu się pomieszało. Odtąd wygaduje niestworzone rzeczy.

- Powiedział ten, co niby nie zleciał... - mruknął Doug. - Kto nosi gips, ja czy ty? Naucz się wreszcie, chłopcze, że nie należy robić z siebie dywanu, po którym może pobrykać czterysta kilo żywej wagi.

- Obiecuję to sobie zapamiętać.

- Właśnie, skoro już o dywanach mowa, to opowiem pani, jak któregoś dnia usłyszeliśmy z bratem, że coś lezie przez krzaki i...

Maggie znała Douga ledwie od kwadransa, lecz wiedziała już, na co się zanosi - na kolejną tasiemcową i mocno przesadzoną opowieść. Od-ruchowo zerknęła na Ryana i wymienili wymow-
ne spojrzenia, rozumiejąc się bez słów. Ryan uśmiechnął się i nagle Maggie pożałowała, że nie jest jedną z tych smukłych i długonogich platyno-
wych blondynek, za jakimi oglądają się wszyscy mężczyźni.

Szybko odwróciła głowę i skupiła się na wysłuchiwaniu historii o tym, jak Doug z bratem ubili niedźwiedzia grizzly bez pomocy broni palnej. Oczywiście brzmiało to nieprawdopodobnie, lecz jeszcze bardziej nieprawdopodobne były jej rojenia o tym, że ktoś taki jak Ryan Lassiter mógłby się zainteresować niską i kragłą kobietą o przeciętnej urodzie. Czemu w ogóle nachodziły ją podobne myśli? Przecież miała na głowie poważniejsze sprawy.

Maggie lubiła Willow Flat za jego prostotę i bezpretensjonalność. W odróżnieniu od wielu innych miasteczek nie próbowało udawać lepszego, niż było w rzeczywistości. Przy wjeździe nie witały goście żadne napisy o legendarnym Dzikim Zachodzie, nie próbowano przebudowywać pierzei przy rynku, by przypominały dekoracje do westernów, ani też nie sadzono się na

budowę nowoczesnego ratusza. Było to najwzajemniejsze miasteczko na świecie i zamierzało takim pozostać.

Niewiele się w nim zmieniło, odkąd założono je pod koniec dziewiętnastego wieku. Tyle tylko że wyasfaltowano główną ulicę, powstała wypożyczalnia wideo, w sklepach pojawiły się nowoczesne artykuły, a właścicielka baru „Lucille” zainstalowała ekspres do cappuccino. Okolica nie obfitowała wprawdzie w wyrafinowanych smaczków, ale inwestycja zwróciła się z niewielką nawiązką, ponieważ ludzie zamawiali tę „frymuśną” kawę z samej ciekawości.

Gdyby któryś z dawnych osadników jakimś cudem znalazł się po upływie ponad stu lat w swoim miasteczku, pewnie nadal czułby się w nim u siebie. Maggie jakiś czas mieszkała w wielkim mieście, gdzie nieustannie coś się zmieniało. Wiecznie coś przebudowywano, poszerzano albo zwężano jezdnie, nowe osiedla powstawały niemal w ciągu nocy, stare znikwały bez śladu. Ilekroć zdążyła się przyzwyczaić, że gdzieś jest jakiś sklep, kiedy chciała do niego ponownie zajrzeć, już go nie było. W Willow Flat nareszcie czuła się bezpiecznie, gdyż budząc się rano, wiedziała doskonale, że zostanie wszystko na swoim miejscu. Ta świadomość napełniała ją spokojem.

Z tego samego powodu jej siostra Noreen nie cierpiała Willow Flat. Nudziło ją śmiertelnie, narzekała na panującą w nim stagnację i obiecywała sobie, że kiedyś przeprowadzi się tam, gdzie jest prawdziwe życie - do Los Angeles, San Francisco, a może nawet do samego Nowego Jorku, kto wie? Ponieważ jednak wydawała więcej, niż potrafiła zarobić, nie zanosilo się na to, by miała w najbliższej przyszłości dysponować funduszami choćby na podróż, nie mówiąc już o wynajęciu mieszkania i utrzymaniu się do czasu znalezienia pracy.

- Nic się tu nie zmieniło - rzucił Ryan, gdy wjechali między zabudowania.

Była to zwyczajna, luźna uwaga, lecz Maggie zareagowała tak, jakby wygłosił pochwałę jej miejsca zamieszkania.

- Prawda? - ucieszyła się. - To miłe, że wszystko tu wygląda dokładnie tak samo. I to pewnie od dobrych dziesięciu lat.

- Nawet od dwudziestu - zapewnił, zaskoczony entuzjazmem, jaki żywiła dla tej zakurzonej miejsciny. W nim samym Willow Flat nie budziło żadnych uczuć, ani dobrych, ani złych. Po prostu było i już.

- Proszę skrócić w prawo - zwróciła się do Douga.

Doug zjechał z głównej ulicy, wzdłuż której znajdowały się wszystkie lokalne urzędy i sklepy,

w wąską brukowaną drogę, jedną z wielu prowadzących na coś w rodzaju przedmieścia. Bruk i chodniki skończyły się zaledwie po paru metrach, dalej był tylko ubity żwir. Po obu stronach pobudowano proste, raczej niewielkie domy, na ich tyłach dało się dostrzec kurniki, komórki na narzędzia, grządki z warzywami. Jakiś pies bez większego przekonania obszczał przejeżdżającą furgonetkę, po czym znów zwinął się w kłębek przy niskim ogrodzeniu.

Maggie poprosiła Douga, by zatrzymał się przy drewnianym domku znajdującym się prawie na samym końcu drogi. Wyglądał biedniej niż pozostałe. Ze ścian obłaziła farba, dach nieco się zapadł i mógł nie przetrwać kolejnej zimy, zwłaszcza gdyby spadło dużo śniegu. Po trawniku zostały nędzne resztki, ale przy samym wejściu na werandę widniały dwie duże rabaty, porządnie skopane i obsadzone najróżniejszymi roślinami. Na kwiaty było jeszcze za wcześnie, lecz już teraz dało się przewidzieć bajecznie kolorowy efekt. Ryan dałby głowę, że to dzieło Maggie, chociaż nie miał na to żadnych dowodów. Ten cały Luke mógł się znać nie tylko na samochodach, ale i na ogrodnictwie.

- Dziękuję za podwiezienie - zwróciła się do Douga. - Gdyby się pan nie zatrzymał, wciąż sterczałabym na szosie.

- Ratowanie pięknych pań to moja specjalność - odparł z galanterią, obdarzając ją swoim szczerbatym uśmiechem.

- Opanował ją pan po mistrzowsku - przyznała z uśmiechem. - Życzę szczęścia podczas następnego rodeo.

- To nie jest kwestia szczęścia, psze pani, tylko umiejętności. Niektórzy mają ich więcej niż inni. - Wymownie łypnął na swego towarzysza.

- Za to niektórzy mają więcej rozumu - skwitował Ryan, otworzył drzwi i zeskoczył na żwir, starając się przy tym nie skrzywić z bólu.

Wyciągnął dłoń, by pomóc Maggie wsiąść. Wahala się przez ułamek sekundy, po czym skorzystała z jego pomocy. Jej dłoń, choć tak mała, okazała się całkiem silna. W ogóle ta kobieta nie sprawiała wrażenia kruchej laleczki. Przeciwnie, wydawała mu się zadziwiająco... krzepka. Tak, to było dobre słowo. Oczywiście żadna kobieta nie uznałaby tego za komplement, pomyślał z nagłym rozbawieniem.

Kiedy tylko Maggie znalazła się na ziemi, cofnęła rękę.

- Jeszcze raz dziękuję za wszystko.

- Ja akurat nic nie zrobiłem. Z ręką w gipsie nie nadaję się do ratowania dam - zauważył z lekką autoironią. Miał życzyć Maggie miłego dnia lub wygłosić inną grzecznościową formułkę,

uprzejmie dotknąć kapelusza i wsiąść do furgonetki, więc nikt nie był bardziej zaskoczony od niego, gdy zamiast tego rzekł: - Mieszkam tu niedaleko na ranczu mojego dziadka. Może spotkamy się któregoś dnia w mieście?

Nie były to oświadczyzny. Nie była to nawet propozycja randki. A jednak i tak było to znacznie więcej, niż zamierzał powiedzieć. I, sądząc po szeroko otwartych szarych oczach, więcej, niż Maggie spodziewała się usłyszeć. Przez króciutki moment nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Czemu nie? - odparła, uśmiechnęła się do niego nieco niepewnie i ruszyła w kierunku domu.

Ryan zabronił sobie patrzeć za nią, bo już i tak dostatecznie się wygłupił. Wcale nie chciał umawiać się z nią. W każdym razie nie teraz, gdy w jego życiu tyle miało się zmienić. Najpierw musi znów przywyknąć do życia na ranczu, poukładać swoje sprawy, a potem przyjdzie czas na inne rzeczy. Wspiał się do wnętrza furgonetki i zbyt energicznie zatrzaskał za sobą drzwi.

- Ładniutka - stwierdził z przekonaniem Doug, bezceremonialnie gapiąc się na odchodzącą dziewczynę.

- Aha.

- I chyba naprawdę miła.

- Aha. - Nie wytrzymał i też zaczął śledzić

wzrokiem oddalającą się sylwetkę. Tak, te kragłości rzeczywiście potrafiły wzbudzić w mężczyźnie apetyt.

- Wiesz co? Jak się widzi taką babeczkę, to od razu przychodzą na myśl pyszne domowe obiady, firanki w oknach, może nawet ogień na kominku i...

- Aleś się rozmarzył - przerwał mu cierpko Ryan. - Jak chcesz się ustatkować, to znajdź tu sobie stałą pracę i zakręć się koło Maggie. Ostatnio była wolna posada miejscowego głupka. Pewnie nie da się dużo zarobić, ale podobno można żyć miłością.

Doug uśmiechnął się dobrodusznie, ponieważ nigdy nie gniewał się za przyjazne docinki Ryana.

- To nie ja robiłem do niej słodkie oczu - przypomniał, patrząc, jak Maggie macha im z werandy i znika we wnętrzu domu.

- Nikt nie robił słodkich oczu - burknął Ryan, starając się przekonać samego siebie. Na szczęście cała ta dyskusja i tak była bezprzedmiotowa, ponieważ najprawdopodobniej drogi jego i Maggie już nigdy się nie przetną.

ROZDZIAŁ DRUGI

Maggie stała za firanką, czekając, aż Doug pojedzie do samego końca drogi, wykręci i zawróci. Oczywiście wcale nie chciała jeszcze raz zerknąć na Ryana, tylko... No, tak tylko chciała odprowadzić ich wzrokiem.

- Kto to był? - rozległ się za jej plecami głos Noreen.

Drgnęła jak przyłapaną na gorącym uczynku i czym prędzej odwróciła się od okna.

- Wysiadł mi samochód dobry kawałek drogi stąd i ci dwaj mnie podwieźli.

- Znasz ich?

Pytanie siostry nie wynikało z troski o Maggie. Noreen wiecznie narzekała na zbyt małą liczbę mężczyzn w Willow Flat. Większość kobiet zadawała się jednym, pomyślała nieco zjadliwie

Maggie, lecz zawstydziła się tej myśli. Powinna już dawno pogodzić się z faktem, że Noreen postrzega wiele spraw inaczej niż ona.

- Nigdy przedtem ich tu nie widziałam - odparła.

- Kogo nie widziałaś? - zainteresowała się ich matka, wyglądając z kuchni.

- Maggie wozila się z jakimiś obcymi - wyjaśniła Noreen, a w jej oczach załśniła czysta złośliwość.

- Nie musiałaś tego mówić w ten sposób, jakbyśmy po drodze urządzili sobie małą оргietkę - ofuknęła ją Maggie i weszła do kuchni. Była już szósta po południu, lecz oczywiście nikt nie pomyślał o przygotowaniu obiadu. Jak zwykle to na nią spadł ten codzienny obowiązek.

Siostra podążyła za nią.

- Nikt cię o to nie podejrzewa. Przecież ty i tak umrzesz jako dziewica.

Maggie zacisnęła powieki i w duchu nakazała sobie spokój. Nie było sensu kłócić się z Noreen, to nigdy nic nie dawało, ostatecznie przekonała się o tym już jako dziecko.

- Cóż, każdy ma jakiś cel w życiu - rzuciła lekko, wiedząc, że żart będzie lepszą bronią niż agresja.

- W takim razie masz szczęście, bo nikt ci nie

przeszkodzi w osiągnięciu twojego. Chyba nie musisz opędać się od propozycji, prawda?

- Dziewczynki, nie kłóćcie się - zażądała matka. - Czy wy zawsze musicie skakać sobie do oczu?

Lydia Drummond z niezadowoleniem obciągnęła nadgryziony przez mole różowy sweter, który włożyła do spranych szarych sztruksów. Plamy różu nadto wyraźnie odcinały się od jej policzków, a zbyt mocno obwiedzione czarną konturówką oczy upodobiały ją do szopa pracza. Maggie twierdziła jako mała dziewczynka, że jej mama jest najładniejsza na świecie, ale czas obszedł się z Lydią bardzo niełaskawie.

- To co się w końcu stało? - spytała.

- Zepsuł mi się samochód i ci dwaj kowboje podwieźli mnie do miasta.

- Kowboje? - jęknęła z rozczarowaniem No-reen. - Mam ich powyżej uszu. Gdybym mogła już nigdy więcej nie oglądać tych głupich kapeluszy, kraciastych koszul i butów ze spiczastymi noskami!

Maggie zajrzała do lodówki i postanowiła zrobić duszone warzywa.

- Tu wszędzie dookoła są rancza - zauważyła. — Głupio byłoby dopiero wtedy, gdyby ci wszyscy ludzie chodzili w marynarkach i eleganckich mokasynach.

Noreen oparła się o szafkę i przyglądała się, jak siostra sprawnie kroi cebulę. Nie przyszło jej do głowy, by pomóc, podobnie jak Maggie nie przyszło do głowy, by ją o to poprosić.

- A ci dwaj kowboje nazywają się jakoś? - zagadnęła.

Maggie wolałaby nie kontynuować tematu. Nie dlatego, by chciała utrzymać tożsamość swoich wybawców w sekrecie, ponieważ nie było ku temu powodu, lecz dlatego, że zbyt miło spędziła z nimi czas, by teraz Noreen miała zatruć jej to sympatyczne wspomnienie.

- Doug Tennent i Ryan Lassiter - zdradziła z ociąganiem.

- Lassiter - powtórzyła w zamyśleniu siostra.
- Czy to wnuk tego starego Lassitera, który ma tu w okolicy wielkie ranczo?

- Możliwe. Coś wspominał, że mieszka tu u dziadka.

- To są dziani ludzie. Niektórzy z ich pracowników wpadają czasem do „Kropelki” - Noreen wymieniła nazwę popularnego baru, w którym pracowała jako kelnerka. - Słyszałam, jak gadali między sobą. Ten stary ma szmat ziemi i całe mnóstwo bydła. Wnuk występuje na rodeo, widać ma gdzieś harowę na ranczu. Podobno odziedziczył wszystko, jak tylko stary wyciągnie kopyta. Pewnie to już niedługo i dlatego wrócił. Założę

się, że potem wszystko sprzeda i wyniesie się z tej dziury.

W głosie Noreen brzmiała nieskrywana zawiść. Maggie aż zacisnęła palce na główce kapusty. Jakim cudem mogła być spokrewniona, i to blisko, z kimś tak obrzydliwie pazernym na pieniądze?

- Może ci w czymś pomóc, Maggie? - spytała z roztargnieniem matka, stojąc w progu kuchni i zerkając w stronę pokoju, gdzie był włączony telewizor. Właśnie zaczynało się „Koło fortuny”, a Lydię ciekawiło, jak tym razem będzie ubrana prowadząca.

- Nie trzeba, mamó - odparła z rezygnacją, wiedząc, że jej matka ma dwie lewe ręce i nie byłoby z niej żadnego pożytku.

Obowiązek ugotowania obiadu nieodmiennie spadał na Maggie, podobnie jak dbanie o to, by w lodówce zawsze było coś do jedzenia, pamiętanie o regularnym płaceniu rachunków oraz spora część sprzątanía. Zdażyła się do tego przyzwyczaić i tylko czasami mówiła sobie, że nie powinna obsługiwać Lydii i Noreen jak służąca. Jednak mimo wszystko zrobienie wszystkiego samej wymagało mniej wysiłku i nerwów niż namówienie matki i siostry, żeby wreszcie przyłożyły rękę do wspólnego gospodarstwa.

- Jest przystojny? - dopytywała dalej Noreen. Maggie celowo udała, że nie rozumie.

- Kto?

- No, ten Lassiter przecież! - zirytowała się Noreen.

Przystojny? Mało powiedziane. Maggie natychmiast przypomniała sobie oczy koloru czystego nieba, bardzo męski dołek w brodzie, gęste ciemne włosy o leciutko miedzianym odcieniu.

- Jest atrakcyjny - przyznała w końcu.

Noreen oblizała się jak kotka.

- Atrakcyjny i nadziany. Mój ulubiony typ faceta.

- Nie wiedziałam, że w ogóle masz jakieś preferencje - mruknęła pod nosem Maggie, odkręcając kran. - Jak dotąd wszyscy ci pasowali.

Siostra nie usłyszała tego komentarza, ponieważ zagłuszył go szum wody.

- Czemu to akurat twój samochód musiał się zepsuć? Ja już bym wiedziała, jak wykorzystać sytuację.

- O, na pewno...

Zimne, błękitne oczy Noreen zwęziły się.

- Co ty tam mamrociesz? - spytała podejrzliwie.

Maggie spojrzała na nią niewinnie.

- Przyznałam ci rację. Zepsuta prądnica, środek pustkowiec i dwóch obcych mężczyzn to nie jest coś, co każda kobieta potrafi wykorzystać, ale ty bez wątplenia wiedziałabyś, co z tym zrobić.

Noreen zmarszczyła brwi i niemal było sły-
chać, jak obracały jej się trybiki w głowie, gdy
próbowała zrozumieć, co właściwie siostra chcia-
ła przez to powiedzieć. Mimo wszystko nie
brzmiało to jak komplement, ale przecież trudno
było się do czegokolwiek przyczepić. W dodatku
Maggie patrzyła jej prosto w oczy z absolutnie
niewinną miną, a nie była to osoba zdolna do
podstępów. Wreszcie Noreen wzruszyła ramiona-
mi, dłużej nie zawracając tym sobie głowy.

- Nic straconego. Coś wymyślę, żeby i tak się
z nim spotkać. - Właściwym sobie ruchem prze-
ciągnęła leniwie dłonią po kształtnym biodrze.

Maggie nie była zachwycona tą perspektywą.
Wszyscy mężczyźni oglądali się za jej siostrą,
szczupłą jak modelka, długonogą i obdarzoną
ustami jakby stworzonymi do całowania. Za-
chwyceni - by nie rzec ogłupieni - tymi cudow-
nościami zupełnie nie dostrzegali zimnego, wyra-
chowanego spojrzenia błękitnych oczu. Nie było
powodu, dla którego Ryan Lassiter miałby zarea-
gować inaczej. Zresztą co Maggie obchodziły
jego reakcje na jej siostrę? Nic a nic.

Okłamujesz samą siebie, pomyślała samokry-
tycznie. Czekaj, niedługo będziesz miała tak
długi nos jak Pinokio.

- Nie wiem, czy on tu długo zostanie - ostrzeg-
ła, starając się zniechęcić siostrę do tego pomysłu.

- Poradzę sobie jakoś. - Noreen odkleiła się wreszcie od szafki i uśmiechnęła z taką satysfakcją, że Maggie miała ochotę nasadzić jej na głowę miskę z pokrojonymi warzywami. - Na pewno niedługo się poznamy. Już ja się o to postaram. - To rzekłszy, opuściła kuchnię.

Właściwie po tylu latach postawa siostry nie powinna była robić na Maggie większego wrażenia, a jednak wciąż ją bolało, że Noreen jest właśnie taka. Mamą też nie powinna była się przejmować i też nie potrafiła tego zrobić.

Poczuła w skroniach pulsowanie i nieprzyjemny ucisk. Oparła się obiema dłońmi o blat, zacisnęła powieki i siłą woli próbowała odegnąć ból głowy. Właściwie mogła mieć pretensje tylko do siebie. Przecież nikt jej nie zmuszał do zajmowania się matką i siostrą. Rozsądniej byłoby je zostawić i zacząć żyć własnym życiem. W końcu dawno przestała być dzieckiem, inni nie mogli jej już niczego nakazać. Mimo to nie zdołałaby rzucić wszystkiego i odejść. Nie wiedziała, czy zatrzymuje ją poczucie obowiązku, czy źle pojęta dobroć, granicząca z głupotą. W każdym razie nie zamierzała pozbawiać ich swojej opieki. Przynajmniej jeszcze przez jakiś czas.

Z westchnieniem otworzyła oczy. Dosyć tego, nie będzie przecież jęczeć i użalać się nad sobą.

Wystarczy, że jej matka robiła to przez całe życie. Skoro już więc Maggie zdecydowała się zostać z rodziną i dbać o nią, to musi bez poczucia żalu wykonywać obowiązki, których się podjęła. Życie rzadko układa się tak, jak człowiek sobie wymarzył. Trudno.

Tęsknie zerknęła na okno znajdujące się nad zlewem. Gdyby stanęła na palcach i pochyliła się mocno, prawie dotykając czołem szyby, a potem spojrzała w prawo, zdołałaby ujrzeć podwórko sąsiadów ze stojącą na nim przyczepą kempingową, a nad jej dachem, w oddali, dostrzegłaby zarys gór. Czasem marzyła o tym, by tam pojechać, zostać w jakiejś cichej, pełnej sosen dolinie i już nigdy nie wrócić.

Tym razem nakazała sobie zrezygnować z patrzenia na góry i skupić się na tym, co miała do zrobienia. Sięgnęła do szafki po rondel i nagle znieruchomiała, gdyż bardzo wyraźnie ujrzała oczyma wyobraźni uśmiechniętą twarz Ryana Lassitera. Co on właściwie miał na myśli, mówiąc, że może zobaczą się któregoś dnia na mieście? Czy wyrażał w ten sposób nadzieję na ponowne spotkanie jej, czy po prostu stwierdzał fakt? Miasteczko było tak nieduże, że prędzej czy później spotykało się każdego.

Lepiej nie łudzić się, że chodziło mu o to pierwsze. Doświadczenie, jakie Maggie zebrała

w ciągu prawie dwudziestu czterech lat życia, nakazywało jej ostrożność. Im więcej człowiek się spodziewał, tym boleśnieszce czekało go rozczarowanie. Dlatego lepiej odsunąć od siebie wspomnienie pewnych niebieskich oczu i zająć się obiadem. Nikt tego za nią nie zrobi.

Patrzyła z melancholią, jak masło powoli roztopia się na dnie rondla. Nie pogniewałaby się, gdyby życie było trochę łatwiejsze.

W 1865 roku, kiedy we wschodnich stanach od kilku lat trwała wojna secesyjna, Quintin Lassiter wyruszył na zachód, by znaleźć nowe miejsce do zamieszkania. Osiedlił się na kawałku ziemi w niemal zupełnie dzikim Wyomingu, z dala od cywilizacji, wojen i nienawiści. Marzyło mu się ranczo ze stadami bydła pasącymi się na bujnych łąkach, marzył mu się dom dla jego rodziny.

Na początku wybudował niedużą chatę z bali. Musiał w tym celu jeździć w góry, ścinać odpowiednie drzewa, ociosywać pnie i przeciągać je na równinę. Zabrało mu to kilka miesięcy. Na początek kupił kilka krów, wysłał też wiadomość do żony, by przyjeżdżała.

Marilee Lassiter, niewysoka, dość krucho wyglądająca blondynka o kręconych włosach, na pozór wydawała się zupełnie nie pasować do tego miejsca. W rzeczywistości była to kobieta równie

dzielna jak jej mąż, zahartowana przeciwnościami losu. W Wirginii zostawiła za sobą jedynie zgliszcza spalonego domu, toteż była zdeterminowana, by zacząć na nowo. Niebezpieczeństwa Wyomingu nie przerażały jej.

Niespełna rok po jej przybyciu maleńkie ranczo zaatakowała grupka Indian Kiowa, choć ich tereny łowieckie znajdowały się znacznie dalej na południe i nigdy przedtem nie zapuszczali się w te okolice. Quintina akurat nie było w domu. Celnie wypuszczona strzała poważnie zraniła kowboja, którego Lassiterowie zatrudnili do pomocy. Wtedy Marilee, będąca w siódmym miesiącu ciąży ze swoim pierwszym dzieckiem, wzięła jego strzelbę, stanęła przy jednym z wąziutkich okien chaty i z absolutnie zimną krwią zastrzeliła jednego z napastników oraz dwa konie. Indian było niewiele i po odniesieniu tych strat zdecydowali się wycofać, zadowolając się podpaleniem drewnianej obory i szopy.

Kiedy Quintin wrócił do domu, jego żona, ongiś elegancka piękność z Wirginii, bez słowa skargi sprzątała pogorzeliśko, uprzednio fachowo opatrzywszy rannego pomocnika. Pracodawca usłyszał od niego, że jest cholernym szczęściarzem, mając taką żonę, a jak Marilee się wścieknie, to sam diabeł nie da jej rady. Quintin postanowił więc na jej cześć nazwać ich niewielką posiadłość Ranczem Szczęściarzy.

Nathan wpatrywał się w portret Quintina i Marilee, wiszący nad kominkiem. Cztery pokolenia rozbudowywały ranczo, które przetrwało wszelkie niesprzyjające okoliczności, po czym nagle stanęło przed perspektywą przejścia w obce ręce, gdy Duncan Lassiter stanowczo odmówił zajmowania się hodowlą bydła i mieszkania na odludziu.

Wraz z pojawieniem się Ryana pojawiła się nadzieja. Ojciec na ranczu się dusił, zaś syn czuł się w pełni wolny, ojciec jeździł konno dobrze, ale nic poza tym, syn jakby urodził się w siodle, ojcu działał na nerwy nieustanny świst wiatru, syn uwielbiał zapachy, jakie ten wiatr przynosił - woń dzikiej szaławii i sosen rosnących w pełnych cienia górskich wąwozach.

Nathan przestał wtedy niepokoić się o przyszłość rancza. Wnuk kochał je równie mocno jak on, a kiedy ożenił się z Sally McIntyre, która mieszkała tu od urodzenia i też kochała to miejsce, dziadek nie posiadał się z radości. McIntyre'owie pracowali w posiadłości Lassiterów od ponad ćwierć wieku, John był niegdyś prawą ręką Nathana, potem wszystkie obowiązki przejął jego syn Tucker, najlepszy przyjaciel Ryana. Kiedy Ryan i Sally zakochali się w sobie, wszyscy twierdzili zgodnie, że nic lepszego nie mogło się wydarzyć.

Powinni byli przewidzieć, że bajkowe sytuacje nigdy nie trwają długo w prawdziwym życiu. Było zbyt pięknie, żeby los nie zechciał z nich boleśnie zadrwić. Nathan wciąż pamiętał długie miesiące choroby Sally i skamieniałą twarz Ryana, gdy na lokalnym cmentarzu grzebano jego żonę.

Odwrócił się od portretu i podszedł do okna. Ryan i jego kumpel właśnie przyjechali, a jeden z pracowników Nathana pomagał im wyprowadzić z przyczepy jakiegoś konia. Pewnie wnuk znów przyciągnął do domu kolejnego zdechłaka wymagającego opieki, pomyślał z irytacją. Przez ostatnich dwadzieścia lat przewinęło się tu bez liku poranionych ptaków, kuśtykających psów i chorych koni. Ryan zawsze przygarniał każdego zwierzaka, który potrzebował pomocy. Nathan był bardziej praktyczny i wymagał, by wszyscy na ranczu - ze zwierzętami włącznie - zarabiali na swoje utrzymanie.

No nic, najważniejsze, że wrócił do domu. Tylko na jak długo? Pewnie znowu tylko wylizę się z ran i już będzie chciał pognać gdzieś przed siebie. To nie miało sensu. Owszem, wszyscy ogromnie przeżyli śmierć Sally i rozumieli cierpienie Ryana, ale przecież minęły cztery lata, on był wciąż młody i powinien wreszcie pomyśleć o ułożeniu sobie życia na nowo, a nie postępować

tak, jakby nie widział przed sobą żadnej przyszłości i szukał śmierci. Jeśli wciąż będzie ryzykował, to w końcu szczęście się od niego odwróci!

Nathan zacisnął dłonie w pięści. Nie zamierzał do tego dopuścić. Jeszcze nie wiedział, co zrobi, ale musiał zatrzymać wnuka na ranczu.

- Coś ty sobie znowu zrobił? - Sara McIntyre wymownie pokręciła głową, patrząc na temblak Ryana.

- Jak zwykle zawarłem bliską znajomość z pewnym miłym konikiem. - Zdrową ręką przygarnął ją do siebie i uściskał. - Wróciłem, żebyś mnie doprowadziła do stanu używalności.

- Jeśli myślisz, że będę skakać wokół ciebie, chociaż doprowadziłeś się do takiego stanu z powodu własnej głupoty, to się grubo mylisz - oznajmiła zdecydowanie. - Prędzej zagonię cię do roboty.

Wyczuła bandaże pod jego koszulą i zatroskała się jeszcze bardziej, lecz ponieważ Ryan nie znosił, gdy ktoś się nad nim rozczulał, nic nie powiedziała.

- Pamiętasz Douga, prawda? - Wskazał przyjaciela.

- Oczywiście. - Uśmiechnęła się serdecznie na powitanie. - Spędził u nas Święto Dziękczynienia dwa lata temu. Co u ciebie, Doug?

- A, nie narzekam. Zwłaszcza teraz, gdy wreszcie pozbędę się tego gaduły. - Łypnął wesoło na Ryana. - Przez dwa ostatnie dni tyle kłapał dziobem, że mi prawie odpadły uszy.

Sara oczywiście wiedziała, który z nich więcej gadał, ale przyłączając się do żartów, odparła:

- Tak, zawsze był z niego straszny gaduła. Oj, ale czemu stoicie w progu, chłopcy? Wchodźcie do środka, siadajcie! Doug, zaraz przygotuję dla ciebie pokój.

- Dziękuję za zaproszenie, ale nie mogę zostać. Pojutrze jestem umówiony z takim jednym bykiem w Montanie, więc powinienem dzisiaj przejechać jeszcze ze czterysta kilometrów.

- A byk nie może poczekać? - spytała, chociaż wiedziała, jaką usłyszy odpowiedź.

- Nie, psze pani. Byki nie są zbyt cierpliwe. Jak taki musiałby na mnie czekać, toby go to nieźle ubodło - zażartował z poważną miną. - No i miałbym potem z takim rozeźlonym bykiem niezły bal!

- Nie wypuszczę cię jednak, zanim nie zrobię ci kanapek na drogę - rzekła kategorycznie.
- Mógłbyś też przynajmniej zjeść talerz gulaszu, albo i dwa. Zostało trochę z wczoraj, podgrzeję ci.

Doug skapitulował w obliczu takiej pokusy.

- Parę minut mnie nie zbawi - zgodził się.

- Ryan, ty też chcesz?

- Nie, poczekam na kolację. Na razie zaniosę moje rzeczy na górę.

Sara westchnęła.

- Jak ci powiem, że w twoim obecnym stanie nie powinienes dźwigać tej wielkiej torby, to nie posłuchasz, prawda?

- Aha - zgodził się z uśmiechem.

Doug usiadł za stołem, zdjął kapelusz i przecesał palcami płowe włosy, by wyglądać nieco porządniej.

- Niech się pani o niego nie martwi, tak naprawdę nic mu nie jest. Ujeżdżacze koni to lalusie i pieszczoszki, płaczą, jak się skaleczą w paluszek. Nosi ten temblak, żeby go wszyscy żałowali.

- Chcesz stracić resztę przednich zębów?
- zagroził mu bez przekonania Ryan.

- Sama pani widzi, że nic mu nie jest, skoro ma dość siły, żeby tłuc swojego wybawcę. Szkoda byłoby dla takiego nicponia tego pani wspaniałego gulaszu. Ach, jak ja dawno nie jadłem dobrego domowego obiadu! O, to mi przypomnia, jak przyjechał do nas wuj Leon, który przeniósł się do Nowego Meksyku i tam diabelnie przypadło mu do smaku chili. Dodawał je do wszystkiego. I niech pani sobie wyobrazi, pani McIntyre, przywiózł nam całą skrzynię tego diabelstwa i każe mojej mamie dodać chili do...

Ryan przestał słuchać, wyszedł na korytarz, schylił się po swoją torbę podróżną, podniósł ją i aż zaklął cicho z bólu.

- Bardzo się tym razem urządziłeś?

Zaskoczony, wyprostował się gwałtownie i aż pociemniało mu w oczach, tak silny ból go przeszył. Odwrócił się do dziadka stojącego w drzwiach gabinetu. Twarz Nathana była ukryta w półcieniu i Ryan poczuł się nagle tak zdenerwowany jak wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy. Wtedy nie był pewien, czy dziadek pozwoli mu zostać u siebie, teraz dręczyły go podobne obawy. Może przeciągnął strunę i już nie ma tu dla niego miejsca?

- Nie bardzo. Mam złamaną rękę i trzy żebra.
- Uśmiechnął się nieco krzywo. - Według Douga ten mustang zatańczył na mnie tango. Podobno nawet do taktu.

Nie udało mu się rozbawić dziadka.

- Dobrze, że nie na twojej głowie - skwitował sucho Nathan. - Co to za nędzną szkapę znów przywiozłeś?

- To całkiem dobra klacz. Owszem, wymaga trochę opieki i silnej ręki, ale nada się pod siodło, zobaczysz.

Sam nie wiedział, co mu kazało kupić konia, z którego poprzedni właściciel nie miał żadnego pożytku i który ostatecznie miał trafić do rzeźni.

Ryan dostrzegł w oczach zwierzęcia coś, co nie pozwoliło mu przejść obojętnie.

Nathan tylko prychnął.

- Założę się, że gdyby nie twoje miękkie serce, właśnie przerabiano by ją na konserwy i klej.

Ryan wzruszył ramionami i pożałował tego. Klacz spłoszyła się, gdy ją wyprowadzali z przyczepy i tak go pchnęła zadem, że aż rąbnął plecami o bok przyczepy. Wszystko go teraz bolało jeszcze bardziej niż przedtem.

- Coś z niej jeszcze będzie. Spróbuję ją ułożyć, obiecuję.

- Tylko jak długo wytrzymasz? - Nathan gniewnie wskazał temblak. - Ledwie się tego pozbędziesz, znowu cię diabli gdzieś poniosą. Do licha ciężkiego, to nie jest sanatorium dla obiboków ani dla jakichś zabiedzonych chabet!

Spojrzenie Ryana stało się lodowate.

- Cóż, w takim razie poszukam sobie innego lokum - rzekł cicho.

Nathan już miał na końcu języka, że droga wolna, ale w ostatniej chwili rozsądek przeważył nad gniewem. Po takiej uwadze Ryan zabrałby się stąd i nie wiadomo, czy kiedykolwiek by wrócił, a to pogrzebałoby nadzieje Nathana na pozostawienie rancza w rękach następnego pokolenia Lassiterów. Przed trzydziestoma laty nieodwołałnie stracił syna, nie mógł stracić również wnuka.

- Twój dom jest tutaj - powiedział wreszcie z trudem. - Chociaż rzadko o tym pamiętasz.

Tego ostatniego dziadek nie musiał dodawać, pomyślał z rozdrażnieniem Ryan. Chciał odpowiedzieć równie zgryźliwie, lecz pohamował się. Miał już serdecznie dość tych trwających od paru lat waśni. Najprostszym sposobem na położenie im kresu byłoby wyznanie, że wrócił na dobre, więc Nathan nie ma się już o co martwić, ale duma nie pozwoliła mu tego powiedzieć. Dziadek uznałby, że Ryan skapitulował pod jego naciskiem, no i dopiero zaczęłby nim komenderować!

Patrzyli na siebie w pełnym napięcia milczeniu, a między nimi piętrzyły się wszystkie zadawnione urazy, niewypowiedziane oskarżenia, gniew, frustracja, właściwe im obu duma i upór. Zrobiło się tak cicho, że usłyszeli bardzo wyraźnie, jak w stajni zarżał koń. Ten dźwięk przywrócił ich do rzeczywistości.

- Pójdę zanieść torbę na górę - odezwał się Ryan.

- Zejdziesz na kolację?

- Oczywiście. - Zawahał się, pragnąc dodać coś, co rozładowałoby atmosferę, ale zrezygnował. Albo nie potrafił znaleźć odpowiednich słów, albo po prostu już nie mieli sobie nic do powiedzenia.

Minał dziadka i wspiał się po schodach na

góre, zastanawiając się, czy słusznie zrobił, wracając na ranczo.

Nathan odprowadził wnuka wzrokiem. Ryan poruszał się dość sztywno, widać ten ostatni wypadek mocno dał mu się we znaki. W dodatku od świąt wyraźnie schudł. Wyglądał też na bardzo zmęczonego, miał podkrążone oczy, a na to nawet wspaniałe jedzenie Sary nie pomoże. Coś wreszcie trzeba z tym chłopakiem zrobić, dłużej tak nie może być!

- Jeśli chciałeś go tu zatrzymać, to źle zacząłeś. Zgotowałeś mu takie powitanie, że gorszego nie można było - skwitowała rzeczowo Sara, która parę minut wcześniej zostawiła Douga w kuchni nad talerzem gorącego gulaszu i wyszła na korytarz, gdzie usłyszała sporą część rozmowy.

Łypnął na nią.

- Wiem, jak sobie z nim radzić.

Parsknęła wymownie.

- Gdybyś równie dobrze radził sobie z ranczem, dawno poszedłbyś z torbami! Przestań go zmuszać do robienia tego, czego ty chcesz. To nie jest dziecko, tylko dorosły mężczyzna.

- Nie wychowałem go na pajaca, który zabawia gapiów upadkami z konia i łamaniem sobie żeber - rzucił gniewnie Nathan, dając ujście frustracji.

- Nie wychowałeś go też na chłopca na posyłki, który wykonuje polecenia innych - przypomniała spokojnie.

Wygodniej mu było udać, że nie słyszy.

- Ten dzieciak jest uparty jak kozioł - mruknął.

- Po pierwsze, już nie dzieciak, po drugie, ciekawe, po kim to ma? - Bez mrugnięcia okiem zniosła jego wściekłe spojrzenie. - Jak nie przestaniesz przypierać go do muru, prędzej czy później nie wytrzyma i pójdzie sobie stąd na dobre. Pewnie prędzej niż później. Daj mu wreszcie trochę spokoju.

- Żeby już w ogóle nie zastanawiał się nad tym, co robi i jak to się dla niego może skończyć?

- spytał z furją, wycofał się do gabinetu i zatrzasnął za sobą drzwi.

Sara pokręciła głową, a w jej ciemnych oczach załśniła irytacja. Oj, przydałoby się nabić jednemu i drugiemu trochę rozumu do głowy!

ROZDZIAŁ TRZECI

W ciągu następnego tygodnia Maggie myślała o wszystkim, tylko nie o Rynie Lassiterze. Ledwo kończył jej się jeden temat rozważań, natychmiast wynajdywała nowy. Może sprzedać stary, psujący się samochód i kupić używany, lecz po mniejszym przebiegu? Może wynająć gdzieś nieduże mieszkanie i przeprowadzić się, ostatecznie rezygnując z szansy na dogadanie się z mamą? A może poszukać innej pracy? Czy koniecznie musiała pracować u Billa jako kelnerka? Czy to nie świadczyło o braku ambicji?

Roztrząsała podobne tematy, by nie oddawać się marzeniom. O wielu rzeczach już w życiu marzyła. Jako mała dziewczynka fantazjowała, że tata, który zostawił je kilka miesięcy po jej narodzinach, w rzeczywistości został porwany

przez jakichś strasznych ludzi, ale któregoś dnia im ucieknie i wróci. Potem, gdy przestała już wierzyć z podobne bajki, wyobrażała sobie, jak to tata objawi się podczas ceremonii wręczania dyplomów ukończenia szkoły średniej, przywiezie jej prezenty i ze łzami w oczach przeprosi, że musiała dorastać bez niego. Oczywiście wybaczyłaby mu wspaniałomyślnie.

Marzyła też o zostaniu primabaleriną, szefem kuchni w Białym Domu oraz światowej sławy fotografem. Niestety, musiała pogodzić się z faktem, że nikt nie gustuje w malutkich i krągłutkich baletnicach. Pracy dla prezydenta też nikt jej nie proponował, ale pocieszyła się myślą, że w Waszyngtonie jest podobno bardzo niezdrowy klimat. Na pewno nie czułaby się tam dobrze. Nie zrezygnowała tylko z fotografowania, chociaż gazety, do których wysyłała zdjęcia, uparcie odmawiały publikacji.

Miała też jedno marzenie, którego nigdy nie zrealizuje - że któregoś ranka obudzi się o dziesięć centymetrów wyższa i o dziesięć kilo szczuplejsza... Wbrew pozorom tego rodzaju rojenia były najlepsze ze wszystkich, ponieważ skoro w absolutnie żaden sposób nie mogły się spełnić, nie narażały jej na bolesne rozczarowania.

Najbardziej niebezpiecznie było śnić o czymś, co było niemal na wyciągnięcie ręki. Człowiek

zaczynał żywić złudzenia i nieuchronnie w którymś momencie rozbijał sobie nos o twardą rzeczywistość. Właśnie dlatego Maggie nie pozwalała sobie na myślenie o Rynie Lassiterze. To było marzenie obciążone wyjątkowo wysokim ryzykiem.

Mimo jej wysiłków co jakiś czas przypominały jej się tamte słowa, że może zobaczą się któregoś dnia. Maggie potrząsała wtedy głową, zła na samą siebie. Była doprawdy żalosna, czepiając się zdawkowej uwagi atrakcyjnego mężczyzny.

- Hej, Maggie, jeszcze jedną kolejkę, co?

Odwrociła się od wycieranego stolika, całkiem zadowolona, że ktoś oderwał ją od tych rozważań.

- A może skończyłbyś już na dzisiaj i poszedł do domu, Virgil? - spytała, chowając ściereczkę do kieszeni fartuszka.

Virgil Mortenson zachodził do knajpki „U Billa” regularnie dwa lub trzy razy w tygodniu, siadał zawsze w tym samym miejscu i nie rozmawiając z innymi gośćmi, spokojnie wychylał kolejne szklaneczki whisky. Nigdy się nie awanturował, nigdy nie sprawiał najmniejszego problemu. Tylko siedział i pił.

Maggie w ciągu trzech lat pracy jako kelnerka napatrzyła się, jak ludzie piją, lecz Virgil nie pasował do żadnej z typowych kategorii. Nie pił z koleżkami, nie pił, bo lubił jakiś konkretny

alkohol, a nie znał miary, nie pił, bo nie wierzył w siebie, nie pił, by mieć odwagę do wszczęcia burdy, za którą rano będzie można obwinać wódkę. Nie, Virgil po prostu siedział przy swoim stoliku, wypijał kilka kolejek, nie zwracając na nikogo uwagi i kiedy czuł, że po następnej whisky urwałby mu się film, płacił rachunek, chwiejnym krokiem wychodził i szedł do wynajmowanego mieszkanca, ledwie przecnicę dalej. Maggie wiedziała o tym, ponieważ dwa razy poszła za nim, bojąc się, że jednak przedobrzył, przewróci się na środku ulicy i zaśnie, a jakiś kierowca go nie zauważy.

Innymi pijakami się nie przejmowała, tylko do tego jednego miała słabość. Usłyszała jego historię od Billa. Virgil był ongiś poważanym ranczerem, specjalistą od układania nawet najdzikszych koni. Miał żonę i dwójkę dzieci. Pewnego wiosennego dnia przed sześcioma laty żona zabrała dzieci na wycieczkę. Z dała od zamieszkanym okolic zaskoczyła ich burza śnieżna, co w kwietniu nie zdarzało się często. Zamarzli na śmierć. Ich ciała znaleziono dopiero kilka dni później.

Parę lat później ranczo Virgila tak mocno podupadło, że musiał je sprzedać prawie za bezcen. Zdaniem Billa po prostu stracił serce do swojej pracy i dlatego mu nie szło. Przeniósł się

do miasteczka, gdzie imał się dorywczych robót, a zarobione pieniądze przepijał. Przepowiadano, że w ciągu kolejnych dwóch lat zapije się na śmierć.

- Wracaj do domu, Virgil -powtórzyła łagodnym tonem Maggie.

- Po co? Tam nikogo nie ma - odparł zupełnie spokojnie, bez żadnego użalania się nad sobą. Uśmiechnął się do niej nieco krzywo, a Maggie omal serce nie pękło na ten widok. W zazwyczaj pustych oczach Virgila dostrzegła maleńki błysk przekory, słabiutki znak, że pod popiołami ostatkiem sił jeszcze coś się tliło. - A podobno nie powinno się pić samemu.

- W takim razie przynajmniej coś zjedz - poprosiła. - Przyniosę ci hamburgera.

Jej troska zaskoczyła go.

- Nie jestem głodny. Potrzebuję się tylko napić.

Maggie miała serdecznie dość przyglądania się, jak Virgil robi sobie krzywdę.

- Nie dostaniesz następnej kolejki, jeśli czegoś nie zjesz, i basta! - oznajmiła kategorycznie. - I nie mów, że brakuje ci pieniędzy, bo akurat dziś mamy w promocji specjalny zestaw. Hamburger, frytki i szklanka mleka za dolara pięćdziesiąt. Wolisz mięso krwiste, średnie czy wysmażone?

- Krwiste - odparł odruchowo.
- Dobrze. Zaraz ci przyniosę mleko.
- Ale przecież ja nie...

Maggie zignorowała ten słaby protest, odwróciła się i poszła do kuchni. Kiedy chwilę potem postawiła przed Virgilem szklankę mleka, wciąż miał zdumioną minę. Nie czekała, co powie, wróciła za bufet.

- Mamy zestaw w promocji, he? - spytał półgłosem Bill Martin, który wszystko słyszał, ponieważ po południu w środku tygodnia w lokalu było dość cicho i spokojnie, goście pojawiali się dopiero wieczorem.

- Wygląda, jakby od paru tygodni nie jadł nic porządnego. Oczywiście wyrównam różnicę w cenie.

Bill machnął ręką.

- Daj spokój. To był kiedyś porządny gość, więc nie pożałuję mu kawałka wołowiny. Zwłaszcza że chyba trochę nim to wstrząsnęło. No i dobrze, bo facet gaśnie w oczach. - Zerknęli oboje na Virgila, który wpatrywał się w szklankę mleka z taką miną, jakby nie wiedział, skąd się przed nim wzięła i co z nią począć. — Oby tylko nie dostał jakiejś zapaści, jak się tego napije.

Maggie ściągnęła brwi.

- Bill, nie żartuj sobie. On naprawdę potrzebuje pomocy.

- Pewnie, ale nie pomożesz komuś, kto tego nie chce.

Westchnęła ciężko. Szef miał rację. Najpierw taki człowiek musi sam spróbować, nie można nikogo ratować na siłę.

- Przynajmniej zje dzisiaj ciepły posiłek. Zawsze coś.

- Masz za miękkie serce, Maggie - ostrzegł ją Bill. - Uważaj, któregoś dnia ktoś ci je złamie.

- Nie obawiaj się, jestem twardsza, niż myślisz - zapewniła z uśmiechem.

Ledwie odwróciła się, by iść do kuchni, uśmiech znikł z jej twarzy, gdyż nagle, nie wiedzieć czemu, pomyślała o Ryaniu Lassiterze. O, ten pewnie złamie niejedno serce. I pewnie jedno uszczęśliwi. W jednym i drugim przypadku nie będzie jednak chodziło o nią.

Ryan trafił do knajpki „U Billa” kilka tygodni po zostawieniu go przez rodziców na ranczu. Dziadek zachowywał się tak, jakby naprawdę zamierzał zatrzymać go u siebie, skoro więc to miał być nowy dom Ryana, koniecznie chciał dowiedzieć się o nim jak najwięcej. Nieoceniony okazał się pod tym względem Lou Kleinman, który pracował dla Lassiterów od niepamiętnych czasów. Utrzymawał, że zatrudnił go pradziadek Ryana i to jeszcze przed narodzinami Nathana.

Wiedział o ranczu wszystko, a do tego miał nieskończoną cierpliwość i bez znużenia odpowiadał na pytania, jakimi chłopiec go zasypywał.

Któregoś razu przyjechali razem do Willow Flat po sprawunki, a gdy już kupili, co trzeba, Lou zabrał go do miejsca, gdzie można „przepłukać sobie gardło”. Kiedy Ryan po raz pierwszy przekroczył próg knajpy, był bardzo przejęty, gdyż wydało mu się, że znalazł się w miejscu jak z filmu, miejscu, do którego chodzą prawdziwi kowboje z Dzikiego Zachodu.

Po upływie dwudziestu lat Ryan wyraźnie przypomniał sobie tamto odczucie, ponieważ w lokalu zupełnie nic się nie zmieniło. Nadal panował w nim półmrok. Niski sufit, boazerię, stoły i ławy wykonano z ciemnego drewna, a jedyne lampy paliły się nad barem i stołem bilardowym. Jako dziecko Ryan uwielbiał wspinać się na jeden z wysokich stołków barowych, obitych wiśniowym skajem i siedzieć przy bufecie, machając w powietrzu nogami, gdy Bill podawał mu colę z trzema wisienkami wyjętymi z likieru maraskino. Ryan z powagą sącył swój drink i przysłuchiwał się rozmowom gości o cenach wołowiny, chorobach bydła, wynikach ostatnich meczy oraz narzekaniom na żony, które nie rozumieją mężów i jeszcze większym narzekaniom na żony, które rozumieją ich aż za dobrze.

- Słyszałem, że wróciłeś - odezwał się Bill, gdy Ryan podszedł do baru i położył kapelusz na jednym z wolnych stołków. - I że znowu jesteś poturbowany. Nie mogłem jednak wyniuchać, co ci się właściwie stało. Słyszałem prawie wszystkie możliwe wersje. Od zwichnięcia palca po złamanie obu nóg, rąk i obojczyka. Według niektórych zagipsowali cię całego, tylko głowa wystawała.

- Poczta pantoflowa jak zwykle działa bardzo sprawnie - skwitował z uśmiechem, siadając na stołku obok. - Tak naprawdę poszły mi trzy żebra i nadgarstek.

- Mało, nic dziwnego, że próbowano coś dorzucić, żeby brzmiało ciekawiej. To co zwykle?

- A nie dorzuciłbyś jednej wisienki więcej? W końcu raz się żyje...

Bill zachichotał, wrzucił lód do szklaneczki, obrócił zgrabnie swój wózek inwalidzki i wyjął z lodówki puszkę coli. Dorzuciwszy szczodłą ręką cztery wisienki z likieru, postawił szklaneczkę na blacie i pchnął ją w kierunku Ryana.

- Gdybym miał więcej takich klientów, poszedłbym z torbami.

- Co ja poradzę, że nie lubię żadnych mocnych napitków?

- To takie nieamerykańskie - stwierdził z dezaprobatą Bill i podjechał do drugiego krańca baru, by dolać piwa jednemu z gości.

Ryan oparł się o bufet, z lubością wciągając w płuca charakterystyczną woń tego miejsca, na który składał się zapach smażonych frytek, whisky i papierosowego dymu. Nic się nie zmieniło. Bill też nie. Owszem, przybyło mu trochę srebrnych nitek we włosach i zmarszczek na twarzy, ale kto by tam zwracał uwagę na takie drobiazgi?

Za młodu Bill ujeżdżał byki, odkładając pieniądze na zakup rancza. Pewnego razu został tak nieszczęśliwie zrzucony na ziemię, że uszkodził kręgosłup i odtąd był sparaliżowany od pasa w dół. Nie tracąc czasu na uzalanie się nad sobą i na płkanie nad rozlanym mlekiem, jak to określał, kupił za zgromadzone oszczędności podupadłą knajpę, którą paru wynajętych ludzi wyremontowało tak, by poruszający się na wózku właściciel mógł swobodnie obsługiwać klientów. Poszerzono tylne drzwi i wejście do kuchni, a za barem zbudowano pochyłą rampę. Miało to miejsce jakieś trzydzieści lat wcześniej, ale nawet najstarsi mieszkańcy mieli wrażenie, że lokal „U Billa” znajdował się w miasteczku od zawsze.

- I jak interesy? - zagadnął Ryan, gdy Bill wrócił do niego po obsłużeniu klientów.

- Całkiem nieźle, nie narzekam. W niektórych przypadkach aż za dobrze. - Skinął głową w kierunku stolika w rogu.

Ryan obejrzał się.

- Virgil ciągle usiłuje zapisać się na śmierć?
- Stara się, jak może. - Bill przetarł czystą szmatką idealnie wypolerowany blat. - Cholerna szkoda.

- Nikt nie próbował mu ostatnio przemówić do rozumu?

- Ze dwa miesiące temu Bobby Rayczek zaproponował mu pracę na swoim ranczu, ale Virgil odmówił. Nawet nie podał powodu.

- Nikt mu nie pomoże, jeśli on sam nie będzie chciał sobie pomóc.

Bill pokiwał głową.

- To samo dopiero co powiedziałem Maggie.

Ryan zerknął na niego z nagłym zainteresowaniem i ożywieniem.

- Masz może na myśli Maggie Drummond?

- Tak. Znasz ją? - spytał bez większego zdziwienia Bill, gdyż w tak małej miejscinie większość ludzi prędzej czy później musiała się poznać.

- W zeszłym tygodniu podwieźliśmy ją z Dougiem Tennentem, bo zepsuł jej się samochód na drodze.

- Anioł, nie dziewczyna. Serce z czystego złota. - Ponownie wskazał głową Virgila i uśmiechnął się z rozbawieniem. - Właśnie powiedziała mu, że nie dostanie następnej kolejki na pusty żołądek. Zastraszyła go, ani się obejrzał.

Ryan nie potrafił sobie wyobrazić, jak ta nieduża kobietka o życzliwym uśmiechu mogłaby kogokolwiek zastraszyć. Pamiętał ją doskonale, w ciągu minionego tygodnia myślał o niej całkiem często - aż za często, jak na jego gust. Skrzywił się, jakby łyknął cytrynę i zapatrzył się w szklaneczkę z drinkiem. Zdarzało mu się szybciej zapomnieć o ładniejszych kobietach. W Maggie jednak było coś takiego... Najlepiej zapamiętał ów ciepły uśmiech i szczerą jej spojrzania.

Usłyszał, jak skrzypią nieduże drzwi wahadłowe, prowadzące do kuchni. Podniósł wzrok i ujrzał Maggie, która niosła czerwoną plastikową tacę, a na niej talerz z hamburgerem i kopsiastą porcją frytek. Miała na sobie dżinsy, niebieską bluzeczkę z krótkim rękawem i prosty biały fartuszek. Włosy związała w koński ogon.

Nie zauważyła Ryana. Prawdopodobnie w tym momencie nie widziała nikogo oprócz Virgila Mortensona. Zdeterminowany wyraz jej twarzy kazał Ryanowi zrewidować opinię o tym, czy Maggie mogłaby kogokolwiek zastraszyć.

- Teraz patrz - szepnął Bill, ale Ryan nie potrzebował zachęty, bo już obracał się na stołku, by nic nie stracić ze spektaklu.

Na twarzy Virgila pojawił się lekki popłoch.

- Ja naprawdę doceniam twoją troskę, ale...

- Proszę to zjeść - zakomenderowała, stawiając mu tacę przed samym nosem takim ruchem, jakby rzucała przeciwnikowi rękawicę. - I wypić mleko.

- Nie rozumiem, czemu to robisz - poskarżył się. - Co kogo obchodzi, czy to zjem czy nie?

- Mnie obchodzi - odparła rzeczowo.

- Jeżeli będziesz mnie zmuszać do jedzenia, to nie wiem, czy jeszcze tu kiedykolwiek przyjdę - zagroził buńczucznie. - Są inne miejsca, gdzie można się napić.

- Są - zgodziła się spokojnie. Nie wyglądała na przejętą faktem, że stały klient przeniesie się gdzie indziej. Tkwiła przy stoliku podparta pod boki i czekała.

Virgil zawahał się. Spojrzał na talerz, a potem na Maggie.

- A przyniesiesz mi whisky?

- Jak zjesz wszystko do końca - obiecała, nie ustępując ani na jotę. - I jak wypijesz mleko.

- Nie piłem mleka, odkąd wyrosłem z pieluch - mruknął, z ociąganiem sięgając po apetycznie przysmażoną frytkę.

- W takim razie trafiła ci się dzisiaj miła niespodzianka - oznajmiła wesoło Maggie.

Ryan ledwo zdołał powstrzymać się od śmiechu. Biedny Virgil nie wiedział, co począć z tym fantem. Tak ostrożnie wziął do ręki ciepłego hamburgera, jakby kotlet zamierzał go ugryźć.

- W każdej chwili mogę iść gdzie indziej - wymamrotał, wyraźnie próbując przekonać samego siebie i zachować resztki dumy.

- Oczywiście, że możesz. To wolny kraj.

Ponieważ w końcu zaczął jeść, Maggie odwróciła się i przestała go pilnować.

- Ale jak tylko skończę, chcę następną kolejkę - zawołał jeszcze za nią.

- Przyniosę, nie obawiaj się.

- Czy będziesz próbowała wystraszyć każdego ze stałych klientów? - spytał Bill, gdy tylko podeszła do bufetu.

Uśmiechał się przy tym, więc wiedziała, że tylko żartował, ale i tak ogarnęły ją wątpliwości. Może faktycznie wtrącała się w nie swoje sprawy? W końcu Virgil był dorosłym człowiekiem, miał prawo robić, co mu się żywnie podobało - nawet zapieć się na śmierć.

- Właściwie sama nie wiem, czy powinnam była tak go zmuszać do jedzenia - powiedziała z zakłopotaniem.

- Bardzo dobrze pani zrobiła. W jego obecnym stanie Virgil potrzebuje silnej ręki.

Przeniosła wzrok na mężczyznę, który się do niej odezwał. Serce jej zadrżało, kiedy ich spojrzenia się spotkały. Ryan Lassiter, ubrany w niebieską koszulę i spłowiałe džinsy, z włosami niedbale przeczesanymi palcami, wydał jej się

jeszcze bardziej atrakcyjny, niż pamiętała. Poczowała, jak policzki zaczynają jej płonąć, miała jednak nadzieję, że panujący w lokalu półmrok nie pozwoli nikomu dostrzec jej rumieńców.

Mimo swych największych wysiłków całkiem sporo o nim myślała w ciągu minionego tygodnia. Przede wszystkim zastanawiała się, czy jeszcze się spotkają. Wyobrażała sobie, jak wpada na niego w sklepie, albo jak on, przejeżdżając przez miasteczko, widzi ją idącą chodnikiem, i oczywiście zatrzymuje się, by porozmawiać. Przez krótki czas łudziła się nawet myślą, że słowa Ryana o ponownym spotkaniu oznaczają zapowiedź wizyty. Z jednej strony bardzo tego pragnęła, gdyż byłby to dowód, że nie tylko ona jest zainteresowana podtrzymaniem tej znajomości.

Rozważając to wszystko, ani przez moment nie zastanawiała się nad najprostszą i najbardziej prawdopodobną z możliwości, która właśnie nastąpiła! Przecież każdy mieszkaniec Willow Flat i okolic w końcu zaglądał do lokalu „U Billa”...

- Maggie? - odezwał się szef, uprzytamniając jej, że już od dłuższej chwili stoi i patrzy na gościa, nic nie mówiąc.

- Przepraszam, po prostu nie spodziewałam się pana tu zobaczyć - wyjaśniła pospiesznie, a ujrawszy lekko zdumione spojrzenie Ryana, zaczęła się tłumaczyć: - To znaczy, gdzieś indziej

też nie spodziewałam się pana zobaczyć. Chodzi mi o to, że nie myślałam o żadnym konkretnym miejscu. To jest, w ogóle nie myślałam, że pana zobaczę. Ani tu, ani nigdzie.

Urwała, ponieważ zamiast zwykłego przywitania zrobił się z tego jakiś dziwaczny galimatias. Bill uniósł wysoko krzaczaste brwi i przyglądał jej się takim wzrokiem, jakby powątpiewał, czy jest zdrowa na umyśle. Ani mu się nie dziwiła, ani nie miała do niego pretensji. Ryan pewnie patrzył na nią w podobny sposób, lecz nie miała odwagi tego sprawdzić. Policzki paliły ją jeszcze mocniej i żaden miłosierny półmrok nie mógł już tego ukryć. Musiała być czerwona jak dorodny pomidor. Och, gdyby mogła zapaść się pod ziemię!

- Znam Billa, odkąd byłem dzieckiem, ale od kilku lat znacznie rzadziej tu zaglądam - odparł Ryan, taktownie nawiązując do początku jej wypowiedzi i pomijając resztę.

Zaryzykowała i zerknęła na niego. Wcale nie miał takiej miny, jakby uważał Maggie za pomyloną. To jej sprawiło ulgę. Może nie wszystko stracone, może jeszcze uda się naprawić to niefortunne pierwsze wrażenie. Uśmiechnęła się nieśmiało.

- Rozumiem... Nie widziałam, jak pan wszedł.

- Ponieważ akurat przygotowywała pani

przymusowy posiłek dla biednego starego Virgin.

- Bez przesady - zaprotestowała, zapominając o zakłopotaniu. Poczwała natomiast po raz kolejny wyrzuty sumienia, bo przecież potraktowała dorosłego człowieka jakby był dzieckiem. Spojrzała w tamtą stronę. Virgil posłusznie jadł hamburgera. Z ponurą miną, ale jadł!

- Sprawiała pani takie wrażenie, jakby zamierzała go osobiście nakarmić, gdyby stawiał opór. Ja na jego miejscu też położyłbym uszy po sobie.

- Uśmiechnął się do niej szeroko i Maggie zdecydowanie wrócił do dobrego nastroju.

- Po prostu nie mogłam już dłużej patrzeć, jak on tylko pije i pije.

Bill pokiwał głową.

- Parę osób próbowało mu przemówić do rozsądku, ale żadna nie wpadła na to, by go zwyczajnie do czegoś zmusić.

- Nie chciałam go do niczego zmuszać - broniła się. - I oczywiście nie zamierzam wtrącać się w jego życie, ale serce człowiekowi się kraje, gdy ktoś próbuje się wykończyć. Utrata rodziny to straszna rzecz, ale po śmierci kogoś bliskiego nie należy na siłę pchać się do grobu.

Obaj mężczyźni znieruchomieli na moment, atmosfera stała się jakby trochę napięta. Maggie pewnie w końcu uznałaby to za przywidzenie,

lecz Bill rzucił dziwne, krótkie spojrzenie na Ryana, który go jednak nie odwzajemnił. Nie wiedziała, co o tym myśleć.

- Tak, szukanie śmierci to głupi pomysł - oznajmił Ryan z nieco krzywym uśmiechem, który zupełnie nie pasował do smutku w jego oczach. Sięgnął po szklaneczkę, bez pośpiechu pociągnął długi łyk, po czym odstawił ją na blat i ponownie spojrzał na Maggie. Jego oczy odzyskały dawny wyraz. Zagadnął, zmieniając temat:

- Udało się pani naprawić samochód?

- Trzeba wymienić prądnicę, więc skorzystałam z pańskiej rady i odstawiłam go do warsztatu Franka Luddy'ego.

- A ten pani przyjaciel, Luke, nie zdołał sobie z tym poradzić? - rzucił neutralnym tonem.

Niestety, widać nie dość neutralnym, ponieważ Bill łypnął na niego z domyślnym uśmieszkiem.

- Nie chciał się brać do tak poważnej naprawy. Zgodził się z panem, że Frank to najlepszy mechanik w całej okolicy.

- Miło mi to słyszeć - odparł, starannie ukrywając, co sądzi na temat jakiegoś tam Luke'a.

- Nie wiedziałem, że Luke Brakman dalej się bawi w grzebanie pod maską - zauważył od niechcienia Bill. - Ryan, pamiętasz starego Luke'a, prawda? Mieszka o przecznicy od Maggie. To on sprzedał warsztat Luddy'emu.

Maggie przytaknęła skinieniem głowy, zupełnie nieświadoma podtekstów ukrytych w wypowiedziach obu mężczyzn.

- Luke właściwie już się tym nie zajmuje, ale w zamian za ciastka domowej roboty rzucał czasem okiem na mój wóz i doprowadzał go do porządku. Przy prądniczy jednak zrezygnował, powiedział, że jest za stary na takie zabawy.

- No i nie skłamał. Siedemdziesiątka stuknęła mu już parę lat temu, co nie, Ryan? - Z niewinną miną spojrzał swemu gościowi prosto w oczy.

- Aha.

Ludzie, którzy cię tak dobrze znają, to prawdziwe utrapienie, pomyślał z irytacją Ryan. Zwłaszcza wtedy, gdy w mig odgadują rzeczy, do których nie chcesz się przyznać nawet przed samym sobą.

Na szczęście w tym momencie zadzwonił telefon, a ponieważ aparat stał na przeciwległym końcu lady, Bill obrócił wózek i oddalił się, zostawiając ich samych.

Przyglądając się Maggie, Ryan wciąż nie potrafił rozgryźć, co nie pozwoliło mu o niej zapomnieć. Nie należała do tych kobiet, za którymi mężczyźni oglądają się na ulicy, było jednak w niej coś takiego... Za nic nie umiał tego czegoś nazwać, w każdym razie każdy szczegół jej wyglądu wrył mu się w pamięć. Nieduży, prosty nos, odrobinę krzywy przedni ząb, który nie

wiedzieć czemu wydawał się przez to uroczy, jasna karnacja. Chyba najpiękniejsze miała oczy. Były tak pełne życia, jakby wszystko wydawało jej się interesujące, jakby nuda i niezadowolenie w ogóle nie miały do niej przystępu.

Ogarnął spojrzeniem jej sylwetkę. Zawsze uważał, że w dżinsach najlepiej prezentują się długonogie dziewczyny o wąskich biodrach, lecz przy Maggie musiał zweryfikować tę opinię. Dopasowane spodnie leżały na pociągających krągłościach jak ulał.

- Może chce pan następnego drinka? - zaproponowała, wchodząc za bar.

Ryan omal nie westchnął z rozczarowaniem, gdy takie miłe widoki nagle diabli wzięli.

- A czy zmusisz mnie do zjedzenia czegoś, zanim dostanę następną kolejkę?

Zarumieniła się leciutko, uśmiechnęła.

- Jak widzę, gustujesz w wiśniach. Uznam, że to wystarczająca przekąska.

Ryan przyglądał jej się z upodobaniem. Powiedziała to, sznurując usta, a jednocześnie oczy jej się śmiały. Nagle ze zdumieniem poczuł, że ma ogromną, ale to ogromną ochotę przechylić się przez bufet i skraść jej całusa.

- Według ciebie mają jakąkolwiek wartość odżywczą? - Pchnął szklaneczkę w jej stronę.

- Samą colę tym razem.

- Przecież to owoce - skomentowała, otwierając lodówkę.

- Owocami to one były w minionym życiu, przed utopieniem ich w alkoholu, czerwonym barwniku i nie wiem, czym jeszcze.

- W minionym życiu? - powtórzyła z roz-bawieniem.

- Tak. Teraz to są już tylko duchy wiśni.

Zaśmiała się szczerze, co sprawiło mu przyjemność. Miał za sobą ciężki tydzień. Powrót do domu to wcale nie była taka prosta sprawa, jak mogłoby się komuś wydawać. Po pierwsze, z powodu gipsu Ryan nie mógł brać udziału w większości prac na ranczu, więc czuł się bardziej jak gość niż jak domownik, co wcale nie należało do przyjemności. Po drugie, między nim a dziadkiem wciąż panowało nieznośne napięcie. Ryan mógłby położyć temu kres, ujawniając swoją decyzję o radykalnym zerwaniu z dotychczasowym trybem życia, lecz powstrzymywała go duma. W porządku, może był to upór, ale niech go diabli porwą, jeśli pozwoli dziadkowi myśleć, że mu w końcu uległ! Ryan wrócił na ranczo, bo sam tego chciał, i Nathan musi to zrozumieć.

- Co u Douga?

Ryan przyjął pytanie Maggie z zadowoleniem, gdyż odrywało go od niewesołych rozważań.

- Jeszcze tamtego dnia pojechał dalej do

Montany. Potem miał w planach podróży do Oregonu i Kalifornii.

- Strasznie długa podróż!

- W tym zawodzie wiele czasu spędza się za kółkiem, ponieważ jeździ się tam, gdzie są organizowane kolejne zawody. Niektórzy w ciągu roku robią prawie dwieście tysięcy kilometrów.

Postawiła przed nim pełną szklankę i w zamyśleniu potrząsnęła głową.

- Nie rozumiem, jak ktokolwiek może lubić ujeżdżać byki.

Ryan udał, że aż się wzdrygnął.

- Ja też nie.

Z iskierkami przekory w oczach wskazała jego gips.

- Nie powiesz mi, że konie są bezpieczniejsze.

- Konie nie mają rogów - wyjaśnił z powagą.

- Właśnie rogi najbardziej przeszkadzają mi u byków. Gdyby ich nie miały, mógłbym je zaakceptować..

- A czy nie wyglądałyby wtedy dziwnie?

- spytała, marszcząc nos.

- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, ale faktycznie. Pewnie równie dziwnie jak kowboj bez butów.

Jej śmiech okazał się zaraźliwy.

- Rozumiem, że w takim razie zostaniesz przy miłych, łagodnych koniach?

- Jak dla mnie mogłyby być trochę łagodniejsze. - Wymownie popukał zgiętym placem w gips. Naraz spowaźniał. - Skoro już o tym mówimy, to postanowiłem wycofać się z rodeo.

Po raz pierwszy powiedział to na głos, w dodatku pierwszą osobą, która usłyszała o jego postanowieniu, była Maggie. Dziwne.

- Długo pracowałeś w tym zawodzie?

- Po skończeniu studiów występowałem dorwczco, a od czterech lat regularnie. Ale mój dziadek nigdy by się nie zgodził na nazwanie tego zawodem. Jego zdaniem to czysta głupota, strata czasu i pieniędzy.

- Może martwi się, że coś ci się stanie - odpowiedziała łagodnie.

- Może - odparł niechętnie, gdyż rozmowa o dziadku wytrąciła go z równowagi. Wypił duszkiem colę do końca i odstawił szklaneczkę na blat nieco za głośno. - Muszę już iść.

Zsunął się ze stołka, wyjął drobne z kieszeni, położył na blacie, po czym zawahał się. Właściwie nie bardzo miał po co wracać do domu. Nie czekała tam na niego żadna robota, przy której mógłby zapomnieć o swoich zmartwieniach, za to musiałyby patrzeć na naburmuszonego dziadka i znarowioną klacz, która wciąż płoszyła się na jego widok, jakby był głodnym lwem.

Tak, chętnie by został, ale przecież wyszedłby

na idiotę, gdyby po uregulowaniu rachunku poprosił znienacka o jeszcze jedną colę. Oczywiście nie po to, żeby się napić, tylko po to, żeby mieć pretekst do zagadnięcia tej szarookiej dziewczyny i namówienia jej na randkę.

- Miło było znów cię zobaczyć - powiedziała z nieśmiałym uśmiechem.

- Mnie też było bardzo miło - odparł, zastanawiając się, co zrobić. Czuł się rozdarty pomiędzy ostrożnością i chęcią poflirtowania z Maggie.

- Maggie, czekam na moją whisky! - zawołał głośno Virgil.

Ryan, wytracony z zamyślenia, drgnął. Odwrócił się i spojrzał na byłego ranczera. Pamiętał go z dawnych czasów, gdy jego oczy patrzyły bystro, skórę złociła ładna opalenizna, włosy były porządnie uczesane. Potem widział, jak po stracie żony i dzieci Mortenson stopniowo traci zdrowie i hart ducha, aż wreszcie zostaje z niego ledwie nędzny cień człowieka, jakim był kiedyś. Ryan obserwował tę postępującą degrengoladę ze zgrozą, gdyż zdawał sobie sprawę z tego, że on też mógł w ten czy inny sposób zmarnować resztę życia, żyjąc przeszłością i zupełnie nie troszcząc się o przyszłość, która wydawała się pusta i nie niosła żadnej nadziei, żadnych obietnic. Los Virgila stanowił dla niego nieustanną przestrożę.

Czując dziwne zimno w piersi, odwrócił się z powrotem do Maggie i uśmiechnął uprzejmie, nie patrząc jednak na nią.

- Powtórz Billowi, że wpadnę któregoś dnia i ogram go w pokera.

- Powtórzę.

Sięgnął po kapelusz i skinął jej głową na pożegnanie, lecz z pewnym roztargnieniem. Widać było, że coś go nurtuje.

- Do zobaczenia.

Ruszył ku drzwiom, lecz w połowie drogi nagle zmienił kierunek.

- Sie masz, Virgil.

Tamten podniósł wzrok znad stolika.

- Cześć, Ryan. Podobno koń cię niezłe poturbował.

- Nic takiego, jak widać. - Wskazał na gips.
- Co u ciebie?

- W porządku. - Spuścił wzrok, przesunął tacę z pustym talerzem na środek stolika, ustawił równo solniczkę i pieprzniczkę.

Ryan ponieważś żałował tego dziwnego impulsu, który kazał mu podejść i zacząć rozmowę. Właściwie nie znali się za dobrze, ot, czasem wymienili parę luźnych uwag przy piwie. Taka tam znajomość, jedna z wielu. Fakt, że obaj stracili żony, nie zbliżył ich do siebie w żaden widoczny sposób, jednak stworzył między nimi

coś w rodzaju więzi. Wspólnota cierpienia, pomyślał ponuro Ryan. Na szczęście dla siebie nie wybrał tego samego sposobu radzenia sobie z bólem, ale rozumiał - i to lepiej, niżby sobie tego życzył - co tamtego pcha wprost w objęcia śmierci.

- Przywiozłem konia z Teksasu - zagaił.

- Podobno w Teksasie można w nich przebierać - odparł bez większego zainteresowania Virgil, na moment podnosząc na niego wzrok i zaraz potem patrząc gdzieś za jego plecy, by sprawdzić, czy Maggie niesie mu obiecaną whisky.

- Cóż, nie wybrałem konia najlepszego z możliwych. Ta klacz jest bardzo płochliwa i narowista, nie daje nikomu podejść do siebie - ciągnął Ryan. - No, ale sądząc po jej bliznach, ma prawo nie ufać ludziom.

Tamten ponownie spuścił głowę i zajął się starannym składaniem papierowej serwetki na pół, i znów na pół, i znów... Ryan przez moment odnosił wrażenie, jakby mówił sam do siebie, ale przecież gdyby Virgil go lekceważył i zupełnie nie słuchał, zachowywałby się mniej nerwowo.

- Tak sobie myślałem, że dobrze by było, gdybyś któregoś dnia rzucił na nią okiem, może nawet trochę nad nią popracował. Szkoda, żeby się zmarnowała, a nigdy nie widziałem lepszego specja od układania koni niż ty.

Reakcja była gwałtowna. Virgil wzdrygnął się gwałtownie, obrzucił rozmówcę spojrzeniem pełnym grozy, po czym równie szybko wbił wzrok w kąt.

- Ja już się tym nie zajmuję.

Ryan zawahał się. Z jednej strony naprawdę chciał mu pomóc, popychając go w dobrym kierunku, a z drugiej chciał jak najszybciej znaleźć się daleko od tego człowieka, którego widok był dla niego bardziej bolesny niż dla kogokolwiek innego. Naraz zauważył, jak Virgil ponownie zerka w stronę bufetu, tym razem z uradowanym wyrazem twarzy, odgadł więc, że Maggie idzie ku nim z obiecaną kolejką. To przesądziło sprawę. Nie chciał znów z nią rozmawiać, nie chciał nawet więcej jej oglądać. Przez nią zaczynał myśleć o rzeczach, o których wcale nie chciał myśleć, i zaczynał odczuwać coś, czego wcale nie chciał czuć. Wyprostował się i cofnął o krok od stolika.

- Gdybyś zmienił zdanie, daj znać - rzucił, choć nie miał złudzeń co do tego, że jego propozycja nigdy nie zostanie przyjęta. Gdy tylko Virgil skinął mu głową na pożegnanie, odwrócił się na pięcie i szybko wyszedł na ulicę.

Maggie starała się przekonać samą siebie, że wcale nie jest zawiedziona. Ryan nie został, by zamienić z nią jeszcze choćby ze dwa słowa - i co

z tego? Widać nie miał jej nic do powiedzenia. Nie dziwiła mu się zresztą, bo niby co miałyby powiedzieć? Że może spotkałby się kiedyś? Nie, ani przez moment na to nie liczyła. Podobne oczekiwania nieuchronnie prowadziły do gorzkich rozczarowań. Oczekiwań nie miała więc żadnych.

Co najwyżej nieśmiałe marzenia.

Nie pozwoliła sobie na niebezpieczny luksus odprowadzenia go wzrokiem, ale i tak doskonale wiedziała, w którym momencie doszedł do drzwi, a w którym za nimi znikł. Oj, nie rokuje to najlepiej, pomyślała z niepokojem i westchnęła.

Virgil wydawał się skrępowany, lecz zdołał się niepewnie uśmiechnąć.

- To było całkiem dobre - przyznał z lekkim ociąganiem.

- Bo to najlepsze hamburgery w całym stanie.

Z aprobatą spojrzała na pusty talerz i sięgnęła po tacę. Porządny posiłek nie rozwiąże niczych problemów, ale na pewno w niczym nie zaszkodzi.

- Chyba faktycznie byłem ździebko głodny - ciągnął, starając się ocalić resztki godności i nie pokazać, że po prostu uległ upartej kobiecie.

- Wcale się nie dziwię. Nie da się żyć samą whisky.

- Pewnie nie - przytaknął, przysuwając do

siebie szklaneczkę, którą Maggie postawiła na stole, lecz nie podniósł jej od razu do ust. - Ale człowiek łatwo popada w nawyki.

- Owszem, ale można się też od nich wyzwolić. Jeśli ktoś naprawdę chce, uda mu się.

Czuła się niezręcznie, próbując udzielić mu jakiejś rady. Nie była przecież terapeutą, jej wiadomości na temat choroby alkoholowej dałyby się spisać na łebku od szpilki! Virgil potrzebował pomocy specjalisty, a nie pocziwych gadek jakiegoś laika, nawet najbardziej mu życzliwego.

- To nie takie proste - mruknął, ponownie wycofując się do swojej skorupy.

- Czasem najlepsze jest dla nas nie to, co proste, ale właśnie to, co najtrudniejsze.

Wzruszył ramieniem i zajął się swoją whisky, nie przejawiając ochoty na dalszą rozmowę. Maggie odwróciła się, by nie patrzeć, jak on znowu pije i wróciła za bar. Bill miał rację. Nie da się zmusić Virgila do zerwania z nałogiem ani nawet go na to namówić. Coś w nim musi tego zapragnąć. Coś, co jeszcze nie umarło.

- Trudno oczekiwać, żeby jeden hamburger odmienił człowieka - zauważył sentencjonalnie szef, który właśnie skończył rozmawiać przez telefon i zabrał się do robienia listy rzeczy, które miał zamówić.

- wcale tego nie oczekiwałam. To znaczy, nie aż tak bardzo - poprawiła się, pochwywszy jego powątpiewające spojrzenie.

Przerwał robienie listy i popatrzył z troską na Maggie.

- Za bardzo się wszystkim przejmujesz - orzekł, wyraźnie próbując ją ostrzec. - Każdy człowiek popełnia w życiu błędy, czasem bardzo poważne. Nie możesz ich wszystkich naprawić.

Westchnęła melancholijnie.

- Wiem, ale cieszyłabym się, gdyby udało się naprawić jeden lub dwa.

Rozejrzała się, sprawdzając, czy nikt jej chwilowo nie potrzebuje, a stwierdziwszy, że nie, usiadła na jednym z wysokich stołków barowych i oparła łokcie o blat bufetu. Kelnerka musi siadać, gdy tylko nadarza się okazja - nauczyła się tego na samym początku. Takie króciutkie odpoczynki pomagały przetrwać cały dzień nieustannej krzątaniny.

- Ty masz za duże serce, dziewczyno. A w ogóle powinnaś go lepiej pilnować.

- Za duże? Czy to diagnoza medyczna? - rzuciła lekkim tonem.

- Oj, może tak być, jeśli będziesz tak przeżywać cudze problemy.

Z ulgą zaczęła poruszać palcami stóp, starając się wygiąć je jak najmocniej do dołu, gdyż to nieco zmniejszyło ból w podbiciu.

- Daj spokój, nawet jeśli biedny Virgil dopnie swego i wreszcie się wykończy, będę smutna, ale serca mi to nie złamie.

- Toteż ja nie mówię o Mortensonie, tylko o Lassiterze.

- O Ryanie? - udała zdumioną, jednocześnie czując, jak na policzki wpełza jej rumieniec, zadając kłam pozornej obojętności. Mimo to nie poddała się. Wzruszyła ramionami i dodała nonszalancko: - Przecież ledwo go znam.

- To, że jestem częściowo sparaliżowany, nie czyni mnie głuchym, ślepym i niedorozwiniętym - oświadczył cierpko Bill. - A tylko taki człowiek nie zauważyłby, że między wami iskrzy.

- Coś ci się wydawało - zbyła go, lecz w głębi duszy poczuła podekscytowanie. Czyli jednak nie tylko ona była zainteresowana? To by tłumaczyło, czemu Ryan tak gwałtownie wyszedł, unikając ponownego kontaktu z nią. Gdyby była mu zupełnie obojętna, nawet by nie zauważył, jak ona podchodzi do stolika. Ta myśl zdecydowanie poprawiła jej humor.

- Chyba jednak nie... - odparł Bill, zauważywszy błogi uśmiech na jej twarzy. - Słuchaj, wiem, że to nie moja sprawa, ale lepiej będzie, jak ci coś opowiem. Znam Ryana, odkąd się tu zjawił jako mały kajtek i zamieszkał u dziadka. Znałem też Duncana, jego ojca. To nie był zły chłopak,

tylko nie za bardzo rozgarnięty. Wyrósłby na ludzi, gdyby nie ożenił się z taką jedną lalą z bogatej rodziny, ładną, ale głupią, aż strach. Podrzucili Ryana Nathanowi, gdy dzieciak miał z dziesięć lat, a sami pojechali włóczyć się po świecie i zadawać szyku w tak zwanym towarzystwie. Oboje byli niewiele warci, mówię ci.

- Z dezaprobatą potrząsnął głową. - Przywożąc Ryana na ranczo, zrobili jedyną sensowną rzecz w życiu.

Właściwie Maggie nie powinna była tego słuchać. Ryan pewnie nie życzyłby sobie, by ktoś opowiadał z detalami o jego życiu. Szybko dokonała wyboru między ciekawością a szlachetnością na korzyść tej pierwszej i zachłannie słuchała dalej.

- Kojarzysz Johna McIntyre'a? - spytał Bill.

- Mogłaś go tu widzieć z raz czy dwa.

Skinęła głową, przypominając sobie krępego mężczyznę o jasnych, siwiejących włosach. Rzadko zaglądał go knajpy, a gdy już przyszedł, niewiele mówił, za to miał ujmujący uśmiech i zawsze dawał suty napiwek.

- To prawa ręka Nathana. On i jego rodzina mieszkają na Ranczu Szczęściarzy już chyba ze ćwierć wieku, jeśli nie więcej. Ryan wychował się razem z jego dziećmi. Najpierw McIntyre'om urodził się syn, Tucker, od lat wielki przyjaciel

Ryana, a potem trzy córki. Cała czwórka przychodziła tu czasem z rodzicami w niedzielne popołudnia. Tucker miał się za mistrza w bilardzie, ale Annie, najstarsza z siostr, za każdym razem dawała mu łupnia. Ryanowi zresztą też, strasznie się obaj na nią wściekali. Wyszła potem za ranczera z Idaho. Średnia, Lorraine, była najgrzeczniejsza i najspokojniejsza z całej czwórki. Skończyła dobrą szkołę i teraz jest nauczycielką w Denver. Sally, najmłodsza, była oczkiem w głowie całej rodziny.

Zapatrzył się gdzieś przed siebie, wyraźnie widząc przed sobą obrazy z przeszłości.

- Zawsze musiała coś spsocić. A to spadła z konia, na którym nie pozwalano jej jeździć, a to wdrapała się na wiatrak i ktoś musiał ją stamtąd ściągać. Co chwila coś nowego! Wysoka i chuda jak żerdź, z wielgachnymi oczami i długim czarnym warkoczem. Kto by pomyślał, że wyrosnie na taką piękną pannę? Życie jest pełne niespodzianek... Jednego dnia człowiek widzi niezgrabną dziewczynę, a drugiego taką śliczną szesnastkę, że aż mu dech zapiera!

Zamilkł na chwilę, a Maggie poruszyła się nerwowo na stołku. Chyba przeszła jej ochota na słuchanie dalszego ciągu. Jakoś wcale nie była zainteresowana tą niewiarygodnie piękną Sally McIntyre.

Bill otrząsnął się, jak ktoś wynurzający się z wody i wrócił do teraźniejszości. Odtąd już nie popadał w rozmarzenie i mówił bardziej rzeczowym tonem.

- Ryan uczył się wtedy w college'u, spędzał na ranczu tylko wakacje, więc nie widział jej prawie rok. Wrócił i jakby piorun w niego strzelił. Jej w to graj, wzięłaby ślub choćby i zaraz, ale rodzice powiedzieli, że co to, to nie, bo najpierw Sally musi skończyć szkołę. Moim zdaniem chętnie związały z nim i cichcem wzięła ślub, gdyby tylko Ryan na to przystał. On jednak poparł jej rodziców, więc nieźle go za to podręczyła przez następne dwa lata, łobuzica jedna, ale i tak nie było wątpliwości, jak to się skończy. Boże, co to był za urwis z tej dziewczyny! - Zaśmiał się na samo wspomnienie. - Pobrali się dwa tygodnie po tym, jak skończyła szkołę. Chyba cały Wyoming tańczył na ich weselu. W życiu nie widziałem tak zakochanej pary.

Maggie nie bolały już nogi, ale za to poczuła dziwny, nieprzyjemny ucisk gdzieś pod żebrami. Wolałaby, żeby jakieś nagłe zdarzenie przerwało opowieść Billa. Niechby jakiś klient czegoś chciał albo przyszedł nowy. Niestety drzwi się nie otwierały, Virgil pił whisky, inny gość sączył piwo, dwóch starszych mężczyzn grało w bilard.

- Wszystko układało się idealnie. Sally dorastała na tym samym ranczu i kochała je równie mocno jak Ryan. Ba, uwielbiała też rodeo. Przez dwa lata jeździli na występy razem. On ujeżdżał mustangi, a ona jeździła między beczkami.

- Nie rozumiem. Jak to jeździła między beczkami?

- A, prawda, ty jesteś z dużego miasta, to i nie wiesz. To takie zawody tylko dla kobiet, żeby też mogły wziąć udział w rodeo, ale nie zrobiły sobie krzywdy. Ustawia się na arenie w trójkąt trzy beczki i trzeba jak najszybciej przejechać między nimi konno, kreśląc taką jakby koniczynkę. Sally miała do tego dryg, zupełnie jakby się w siodle urodziła. Ale chociaż oboje zdobywali nagrody, nie zamierzali w ten sposób zarabiać na życie, chcieli mieszkać na swoim ukochanym ranczu. Mówię ci, tacy byli szczęśliwi, że człowiek aż szukał ich towarzystwa, jakby można się było przy nich ogrzać.

- Coś się jednak zmieniło - zauważyła, chociaż wcale nie wiedziała, czy rzeczywiście chce znać resztę tej historii.

Próbowała przekonać samą siebie, że to miło słuchać, jak bardzo Ryan był szczęśliwy ze swoją piękną żoną, która podzielała jego zainteresowania i pasje. A jednak te próby okazały się daremne.

- Tak. Sally umarła.

Takiej odpowiedzi Maggie nie spodziewała się zupełnie, więc minęło kilka ładnych sekund, nim wreszcie w pełni do niej dotarło, co usłyszała. Raczej obstawiała wersję, że owej zachwycającej Sally strzeliło coś do głowy i uciekła z agentem ubezpieczeniowym albo dla odmiany zachciało jej się surfować, więc przeniosła się na Hawaje, albo szaleńczo zakochała się w klaunie, który też występował na rodeo. Myśl, że Sally mogłaby nie żyć, w ogóle nie przyszła jej do głowy.

- Jak to się stało? - spytała nieco zduszonym głosem.

- Białaczką. - Bill wypowiedział to słowo, jakby je wypluwał z nienawiścią. - Kiedy zdiagnozowano chorobę, Ryan wynajął mieszkanie w Detroit, gdzie mieli pod ręką lekarzy i szpitale. Przez kilka miesięcy próbowali wszystkiego, ale nic nie pomagało. Wreszcie stało się jasne, że nie można już nic więcej dla niej zrobić, a wtedy Sally uparła się, że wróci do domu. Doktorom strasznie się to nie podobało, chcieli ją trzymać w szpitalu, ale ona wołała umrzeć tam, gdzie widać czyste niebo i gdzie hula wiatr. Dokładnie tak powiedziała. No to Ryan przywiózł ją do domu i rzeczywiście kilka tygodni później umarła. Jakoś tak niedługo po jej dwudziestych czwartych urodzinach.

- To straszne - powiedziała Maggie, czując, że wszystkie słowa muszą w tej sytuacji wypaść blado.

Bill sięgnął po w połowie pełną butelkę bourbona, zawahał się i odstawił ją z powrotem. Zacisnął dłonie na poręczach swojego wózka.

- Od tamtej pory Ryana nosi. Rzadko wpada na ranczo, a jak wpadnie, to posiedzi tydzień, góra dwa i znowu go nie ma.

- Za dużo tutaj wspomnień - mruknęła cicho i zastanowiła się nad tym, co usłyszała od Ryana. Zrywał z ujeżdżaniem mustangów, zamierzał zostać na ranczu. Widać wreszcie był gotów stawić czoło wspomnieniom.

- Ba, pewnie. - Bill wskazał na tkwiącego przy swoim stoliku Virgila, trzymającego w obu dłoniach prawie już pustą szklaneczkę. - Ryan nie doprowadził się do podobnego stanu po śmierci żony, nie zapadł się w siebie, ale też nie pozbył się ogromnego ciężaru, który za sobą wlecze. Kobieta, która zamierza się z nim związać, powinna sobie zdawać sprawę z tego, w co się pakuje.

- Nie zamierzam się z nim wiązać. - Na poparcie tych słów chciała zaśmiać się, jakby usłyszała dobry żart, lecz miała zbyt ściśnięte gardło i nic z tego nie wyszło.

- Dobrze, kobieta, która miałaby ochotę się z nim związać - poprawił się Bill.

- wcale nie... - Podchwyciła jego wymowne spojrzenie i już nie zdołała skłamać. Spuściła wzrok, wzruszyła ramionami. - Ledwo go znam. Może go w ogóle więcej nie zobaczę. - Uśmiechnęła się krzywo. - Ponadto obie strony musiałyby być zainteresowane.

Bill mógłby się założyć, że Ryan był zainteresowany. Oczywiście nie wiadomo, czy wykona kolejny krok. Odkąd utracił Sally, trzymał się z dala od kobiet. Szkoda, by zignorował również Maggie, pomyślał Bill. Trudno byłoby znaleźć lepszy powód do rozpoczęcia nowego życia niż taka dziewczyna.

Przede wszystkim każdy mógł liczyć na jej troskę i uwagę, nie tylko ktoś taki jak Virgil. Bill przecież widział, jak traktowała klientów. Już po drugiej wizycie pamiętała, komu wrzucić podwójną porcję lodu do drinka, a kto lubi stek mocno wysmażony. Pytała uprzejmie o żony w ciąży i chore dzieci. Ludzie ją lubili, zarówno młodzi, jak i starzy, tak samo mężczyźni, jak kobiety. Z czysto praktycznego punktu widzenia okazała się dobrym nabytkiem, gdyż przyciągała klientów do lokalu, lecz Bill przywiązał się do niej w ciągu minionych trzech lat dla niej samej.

- Po prostu nie chciałbym patrzeć, jak cierpisz - burknął gderliwie, by nie okazać, jak bardzo się o nią martwi i nie wyjść na sentymentalnego.

- Jestem twardsza, niż ci się wydaje - odparła z uśmiechem i zsunęła się ze stołka, gdyż jeden z grających w bilard skinął na nią.

Bill patrzył, jak idzie, a jej koński ogon podskakuje energicznie przy każdym kroku. Zagadnęła, jak idzie gra i z zaciekawioną miną wysłuchiwała szczegółowej opowieści Erniego Lamotta, który chwalił się, jak to właśnie precyzyjnym strzałem posłał ostatnią bilę do kieszeni. Jej oczy rozszerzyły się z podziwu, na co Ernie dumnie wypiął wątlą pierś, a Walter Sinclair nie wytrzymał i natychmiast opowiedział o innej rozgrywce, w której to on okazał się mistrzem. Maggie wysłuchiwała również jego, bez śladu zniecierpliwienia czy choćby niedowierzania, choć w relacji Waltera bila uderzyła trzynastcie razy w bandę, nim celnie trafiła do kieszeni.

Bill uśmiechnął się lekko i wrócił do sporządzania listy. Prędzej słońce wzejdzie na zachodzie, nim ktoś dokona sztuki opisaney przez Sinclaira. I nim da się powiedzieć o Maggie Drummond, że jest twarda.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Po powrocie do domu Maggie natychmiast ściągnęła buty oraz skarpetki i aż westchnęła z ulgą, gdy poczuła pod bosymi stopami chłodne linoleum. Musi jakoś wytrzymać jeszcze dwa dni, potem odbierze samochód z warsztatu, co zresztą szczęśliwie zbiegnie się z terminem jej wypłaty. Nareszcie nie będzie musiała wracać z pracy na piechotę. Po ośmiu godzinach krzątania nawet piętnastominutowy spacer do domu stawał się katorgą.

- Cześć, Max. - Uśmiechnęła się na widok wielkiego rudego kocura z białymi skarpetkami na trzech łapach, który wychynął z kuchni.

Miauknął cieniutko, choć po tak olbrzymim kocie można się było raczej spodziewać prawie tygrysięgo pomruku. Maggie podniosła go z podłogi, nie zważając na jego ciężar.

- Tęskniłeś za mną? - spytała, wtulając twarz w miękkie futerko.

Zamruczał i leniwie przeciągnął łapą po jej ramieniu, co odebrała jako odpowiedź twierdząca. Max należał do sąsiadów mieszkających dokładnie po przeciwnej stronie ulicy. Kiedy wyprowadzali się do większego miasta, nawet nie pomyśleli o zabranii kota. Następnego dnia czekał, aż Maggie wróci z pracy, i poszedł za nią do domu, jakby nigdy nic. Była głęboko wzruszona zaufaniem, jakie jej okazał, podczas gdy Noreen uznała go za niezłego spryciarza, który bez pudła wyczuł frajerkę. Niezależnie od tego, jak się sprawy miały, Max został u nich na dobre.

Jak zwykle usłyszała po powrocie grający telewizor. Mama włączała go, ledwie rano wstała z łóżka, a wyłączała dopiero przed pójściem spać. Nie należała jednak do tych ludzi, którzy lubią czegoś słuchać, kiedy przez cały dzień krzątają się po domu. Lydia nic w domu nie robiła, tylko siedziała na kanapie i oglądała wszystko jak leci - wiadomości, telenowele, ciągłe powtórki nieśmiertelnego „Domku na prerii”, teleturnieje, wywiady z gwiazdami. Wpatrywała się w migające obrazki dzień po dniu, wypijając ogromne ilości kawy i wypalając równie ogromną liczbę papierosów. Spędzała czas na przyglądaniu się, jak żyją inni.

Maggie namawiała ją na wychodzenie z domu, lecz dla matki Willow Flat nie umywało się do kolorowego świata na ekranie. Nie interesowała ją też okolica, która nieodmiennie zachwycała Maggie, gdyż za każdym razem wyglądała inaczej. Lydia widziała wokół tylko ohydne pustkowia. Narzekała, że w promieniu wielu kilometrów nie ma dokąd pójść, bo według niej jedyne miejsca, do których warto chodzić, to nocne kluby i restauracje, gdzie ktoś gra na pianinie, a wyperfumowana i wystrojona kobieta może spotkać interesującego mężczyznę. Przy takich oczekiwaniach nie dawało się jej namówić nawet na wyjście do „Kropelki”, skoro tam była tylko szafa grająca, tańczono raczej żywiołowo niż dobrze, no i co jakiś czas wszczynano burdy.

Z pokoju znów dobiegł wybuch śmiechu, widać puszczano jakiś sitcom. Maggie zawahała się. Najchętniej przemknęłaby się na palcach do swojej sypialni, ale zrezygnowała z tego. Coś w niej ciągle wierzyło, że jeśli będzie się starała dostatecznie wytrwale, uda jej się zbudować więź z matką. Podobno matki i córki powinny się przyjaźnić. Przynajmniej tak słyszała...

- Cześć, mamó! - zawołała wesoło, wchodząc do pokoju dziennego wciąż z kotem w objęciach.

Na moment zrobiło jej się ciemno przed oczami. Na ekranie leciał nie sitcom, tylko jakiś

konkurs, prowadząca rzucała żarcikami, zgromadzona w studiu publiczność śmiała się posłusznie, lecz Maggie nie było do śmiechu, kiedy zobaczyła otwarte pudła i zaściełający podłogę papier.

- Już jesteś? - Matka odwróciła się ku niej gwałtownie jak małe dziecko przyłapanie na robieniu czegoś niewłaściwego i surowo zakazanego. - Nie spodziewałam się ciebie tak wcześnie.

- Wróciłam o normalnej porze.

Maggie zauważyła na chudym przegubie matki wielką błyszczącą bransoletę imitującą złoto, wysadzaną szkiełkami we wszystkich kolorach tęczy. Lydia miała też pasujący do niej naszyjnik, który ostro odcinał się od zmechaconej szarej bluzy od dresu.

- Chyba straciłam poczucie czasu - rzekła, unosząc rękę, by odgarnąć zmierzwione włosy z twarzy. Nowa bransoletka brzęknęła metalicznie.

- Na to wygląda.

Maggie ogarnęła spojrzeniem cały pokój. Dwa kartony nie zostały jeszcze otwarte. Na stoliku do kawy znajdowało się jakieś dziwne urządzenie elektryczne, jego różowy przewód zwisał z blatu aż do podłogi. Zapewne był to jakiś kolejny magiczny przyrząd, który miał dodać blasku zmatowiałym włosom, błyskawicznie usunąć zmarszczki lub przywrócić młodzieńczą sprężystość piersiom.

Z poręczy kanapy spływał cienki materiał w odcieniu mocnego różu. Najgorszy kolor dla mamy, pomyślała z roztargnieniem. Jej cera wyda się jeszcze bledsza, a włosy raczej marchewkowe niż miedziane.

- Mamo...

- Tylko nie wygłaszaj żadnych kazań. - Lydia zadarła brodę i rzuciła młodszej córce niechętnie spojrzenie. - To raptem parę drobiazgów, zresztą po wyjątkowo okazyjnej cenie. - Dotknęła tandetnego naszyjnika. - Nie uwierzysz, jak mało za niego zapłaciłam. A dorzucili jeszcze kolczyki!

Nie wiem, ile zapłaciłaś, w każdym razie za dużo, stwierdziła w duchu Maggie. Maksowi znudziło się siedzenie na jej rękach i zaczął się kręcić, więc postawiła go na podłodze. Podeszedł do zwieszającego się z sofy różowego rękawa i obwąchał go z zaciekawieniem.

- Odpędź go! Zniszczy mi żakiet! - zapiszczała z przerażeniem Lydia.

Max odwrócił głowę i spojrzał na nią z taką pogardą, jak to tylko koty potrafią. Gdyby umiał, uśmiechnąłby się z politowaniem. Nie zważając na jej pojękiwania, ponownie obwąchał materiał, z wyraźną wzgardą machnął ogonem i majestatycznym krokiem opuścił pokój.

- Mógł to zniszczyć!

Zdenerwowana Lydia chwyciła żakiet i zaczęła

obracać na wszystkie strony. Maggie ze zgrozą patrzyła na widniejące na różowym tle wściekłe turkusowe i fioletowe kwiaty oraz trawiasz zielone liście. Spróbowała sobie wyobrazić mamę w tym ubraniu, ale nawet nie umiała. Na szczęście dla jej poczucia smaku Lydia złożyła żakiet i przewiesiła go sobie przez ramię.

- Co za wstrętny kocur! - rzuciła gniewnie.
- To przecież czysty jedwab, a on chciał wbić w niego pazury.

- Przecież nawet tego nie tknął.

- Ale zrobiłby to, gdyby mnie tu nie było.

Zdaniem Maggie Max nie tknąłby tego okropieństwa, nawet gdyby próbowano go przekupić puszką sardynek. Na pewno nie marnował pazurów na byle co. Miał swoją godność.

- Mamo, chyba ustaliliśmy, że nie będziesz już oglądać tych programów z telezakupami - przypomniała, zastanawiając się jednocześnie, ile też mama mogła na to wszystko wydać.

- Nie, to ty ustaliłaś. - Lydia wydeła wargi jak dąsająca się dziewczynka, co kiedyś pewnie było urocze, a teraz wyglądało żałośnie. - Lubię ładne rzeczy. Dla ciebie to nie jest takie ważne, bo brzydkim dziewczynom na tym nie zależy, ale piękne kobiety powinny mieć piękne rzeczy - z upodobaniem zacytowała słowa, które usły-

szła od jednego z adoratorów dobrych dwadzieścia lat temu.

- wcale nie chcę, żebyś była ich pozbawiona - odparła Maggie, bez mrugnięcia okiem przełykając uwagę o swojej brzydocie.

Nie pierwszy raz słyszała coś podobnego. Opinia mamy na temat jej wyglądu zmieniała się zależnie od tego, czy mama była poirytowana czy próbowała się podlizać. W tym drugim przypadku padały słowa, że Maggie byłaby nawet dość ładna, oczywiście gdyby zrzuciła kilka kilogramów i zrobiła wreszcie coś z włosami. Maggie dawno przestała brać sobie do serca podobne uwagi.

- Mamo, miałyśmy zaoszczędzić trochę pieniędzy, żeby tego lata położyć nowy dach.

Lydia skrzywiła się z niechęcią.

- Dach... Ty zawsze mówisz o takich nudnych sprawach.

- Ale pożytecznych - zauważyła trzeźwo Maggie.

- Pożytecznych! - powtórzyła Lydia takim tonem, jakby to był obraźliwy epitet, po czym z upodobaniem potrząsnęła nową bransoletką. Z telewizora znów dobiegły odgłosy radości, bo ktoś dobrze odpowiedział na głupie pytanie, prowadząca oklaskiwała go, wdzięcząc się do kamery. - Za dużo myślisz o takich rzeczach.

Maggie nie wytrzymała.

- Ktoś musi - warknęła prawie.

- Ktoś musi co? - zainteresowała się Noreen, wchodząc do pokoju w sięgającym do połowy ud niebieskim szlafrocisku.

Platynowe włosy spadały jej w nieładzie na ramiona, widać niedawno wstała. Noreen pracowała w „Kropelce” wieczorami i często sprowadzała do domu nad ranem jakiegoś kowboja, który zaszedł do knajpy na kilka głębszych. Maggie nadal nie potrafiła zrozumieć takiego zachowania, ale już dawno nauczyła się go nie komentować.

- Maggie się na mnie denerwuje, bo kupiłam okazynie parę drobiazgów - pożaliła się Lydia, wiedząc doskonale, że w starszej córce znajdzie sprzymierzeńca. - Znowu nudzi o tym dachu.

Maggie nie dawała za wygraną.

- Przecież wiesz, co powiedział Craig Chapman, kiedy go zobaczył - przypomniała.

- Przede wszystkim gapił się na nogi twojej siostry, na dach ledwo rzucił okiem. Pewnie specjalnie powiedział, że potrzebny nam nowy, bo chciał mieć pretekst do przyłączenia tutaj i ślinienia się na widok Noreen.

- Craig jest szczęśliwie żonaty i ma trójkę dzieci - zaprotestowała z żarem Maggie, chociaż z równym powodzeniem mogłaby rzucać grochem o ścianę.

.- Chyba nie aż tak szczęśliwie, skoro gapi się na nogi innych kobiet - skwitowała Noreen, przysiadając na poręczy sofy. Wyciągnęła daleko przed siebie długie gładkie nogi, by z wyraźną satysfakcją napawać się ich widokiem. Poły luźno zawiązanego szlafrocza rozchyliły się, odsłaniając nie tylko górną część ud, ale i jasne skręcone włosy na wzgórkach łonowym.

Maggie знаła siostrę od podszewki, domyśliła się więc z łatwością, że ta niby przypadkowa nieskromność ma na celu zawstydzenie jej i zabicie z tropu. Nie dała się jednak sprowokować i spojrzała Noreen prosto w oczy.

- Craig jest uczciwym człowiekiem. Jeśli mówi, że dach nie przetrwa kolejnej zimy, to ja mu wierzę.

- Nikt ci nie broni. - Noreen wzruszyła ramionami, przez co szlafroczek rozchylił się tym razem od góry, odsłaniając do połowy piersi.
- Moim zdaniem najlepiej by było, gdyby mama sprzedała tę gównianą chałupę i przeniosła się tam, gdzie jest prawdziwe życie, na przykład do Los Angeles albo Las Vegas. W tej dziurze jest potwornie nudno, toteż nic dziwnego, że ogląda telezakupy. To lepsze niż siedzieć i gapić się, jak trawa rośnie.

Maggie starała się zachować cierpliwość.

- Akurat tutaj ceny nieruchomości nie są

najwyższe - zauważyła. - Nawet gdyby znalazł się chętny na kupno domu, nie da się uzyskać za niego sumy, która umożliwiłaby nam kupno domu gdziekolwiek indziej, a zwłaszcza w dużym mieście.

- I co z tego? - Noreen zaczęła przetrząsać kieszenie w poszukiwaniu papierosów. - Nie musi przecież niczego kupować, wystarczy wynająć nieduże mieszkanie. Za resztę pieniędzy mogłaby sobie sprawić nowe ubrania i modnie się ostrzyć. Może nawet starczyłoby jeszcze na rejs statkiem. Podobno takie rejsy są bardzo popularne wśród starszych singli szukających partnera. Mama mogłaby spotkać jakiegoś nadzianego faceta, który obsypałby ją prezentami. Przydałoby się futro z nerek i trochę biżuterii. - Uśmiechnęła się do matki, a ta z zachwytem klasnęła w dłonie jak dziecko, któremu obiecano zabawkę.

- Och, tak, tak! - zawołała Lydia. - Ja chcę płynąć w taki rejs!

- A z czego mama będzie żyć, kiedy wyda wszystkie pieniądze uzyskane ze sprzedaży domu, a żaden nadziany facet nie pojawi się na horyzoncie? - spytała Maggie.

Noreen zapaliła papierosa.

- Ma przecież rentę.

- Właśnie, mam rentę - powtórzyła Lydia, rzucając młodszej córce zwycięskie spojrzenie.

- Wiesz, że ona nie wystarcza na życie.
- Maggie skierowała te słowa do siostry, gdyż mama w tej chwili z pewnością potrafiła myśleć już tylko o tym bajkowym rejsie i otaczającym ją wianuszkach przystojnych i bogatych adoratorów.
- To dlatego przeprowadziłyśmy się tutaj po śmierci cioci Margaret. Tu nie musimy płacić czynszu, więc jakoś wiążemy koniec z końcem.
- Przeprowadziłyśmy się, bo ciotka wpuściła nas w maliny! - Noreen gniewnie wydmuchiwała dym. - Kto mógł przewidzieć, że coś, co nazwała Piękną Hacıendą, nie jest ranczem, tylko psią budą i kupą chaszczu?

Maggie akurat doceniała poczucie humoru krewnej. Oczywiście też była mocno zaskoczona, gdy po przybyciu do Willow Flat zobaczyła, czym naprawdę jest Piękna Hacıenda. Na małym spłachciu ziemi wokół równie małego domku rosły głównie chwasty, trochę krzaków i parę rachitycznych drzewek.

A jednak Maggie nie narzekała, ponieważ nieoczekiwanie całkiem jej się tu spodobało. Domek był mimo wszystko lepszy niż mieszkanie, które mama wynajmowała w Detroit. Miały tu świeże powietrze i przestrzeń, było cicho i spokojnie. Nie musiały płacić czynszu, dzięki czemu renta, którą mama otrzymała za niewielkie uszkodzenie kręgosłupa, kiedy przewróciła się

w pracy, wystarczała na skromne życie. Maggie znów obrzuciła pełnym rozpaczy spojrzeniem pudła z zakupami.

- Ta psia buda, jak ją nazywasz, zapewnia mamie dach nad głową - przypomniała siostrze.

Noreen prychnęła z pogardą.

- Niektórzy potrzebują od życia czegoś więcej! Niektórzy chcą naprawdę żyć, a nie tylko egzystować. Mama jest przecież jeszcze względnie młoda. Ma spędzić resztę swoich najlepszych lat zagrzebana w jakiejś zapadłej dziurze, kiedy gdzie indziej mogłaby rozkwitnąć? Gdyby wyjechała, byłaby szczęśliwsza, a ja chciałabym, żeby mama była szczęśliwa.

- Myślisz, że ja nie?

- Nie wiem. Twoje motywy mogą być bardzo różne.

Noreen wstała, a wtedy niedbale zawiązany pasek rozwiązał się i ześlizgnął na podłogę. Szlafrok rozchylił się zupełnie. Noreen bez pośpiechu schyliła się po pasek i podniosła go, po czym wetknęła go do kieszeni i stała tak, pokazując swoje fantastyczne ciało. Maggie wiedziała doskonale, czemu siostra to robi, lecz ta świadomość jej w niczym nie pomogła, gdyż na jej policzki i tak wypełzły rumieńce. Noreen przyglądała jej się, leniwie wydmuchując dym, a w jej niebieskich oczach lśniła czysta złośliwość. Mag-

gie nie wytrzymała i odwróciła wzrok, lamentując w duchu z powodu swojej jasnej karnacji, która zawsze musiała ją zdradzić. Co gorsza, mama zupełnie nie przejmowała się nagością Noreen, więc Maggie tym bardziej wyszła na głupią gąskę.

- Nie chcę, żeby mama została bez środków do życia - odezwała się, z trudem opanowując drżenie głosu.

- A ja nie chcę, żeby na starość została sama. Może tobie wystarcza bieganie z tacą przez cały dzień i wracanie do domu, gdzie czeka na ciebie tylko wyliniały kocur, ale mama na pewno oczekuje od życia czegoś więcej.

- Oczywiście, że tak! - zakrzyknęła Lydia i popatrzyła na młodszą córkę w taki sposób, jakby Maggie próbowała pozbawić ją wszelkich życiowych przyjemności, skazując ją na lata wyrzeczeń i niewygód.

Maggie już otwierała usta, by odeprzeć nie wypowiedziane wprost oskarżenie, lecz nagle zrezygnowała. To i tak niczego by nie zmieniło. Mama nie chciała nic zrozumieć, a Noreen wcale nie powodowały szlachetne motywy. W rzeczywistości interesowały ją tylko pieniądze, które Lydia uzyskałaby, sprzedając dom. Tylko dlatego Noreen przyjechała do Wyomingu, kiedy matka dostała spadek. Spodziewała się ujrzeć duże,

zadbane ranczo, dzięki któremu wreszcie miałyby kasę, a młodzi kowboje, rzecz jasna przystojni jak na filmach, walczyliby o jej względy. Przeżyła gorzkie rozczarowanie i od tej pory nie przedstawiała namawiać Lydii na sprzedaż domu, zamierzając położyć rękę na części pieniędzy. Oczywiście tak dużej, jak się da. Maggie dokładała wszelkich starań, by mama nie połknęła haczyka, i jak dotąd udawało jej się zapobiec katastrofie.

Ponuro popatrzyła na otwarte i jeszcze zamknięte kartony, na zaścielające beżową wykładzinę kulki styropianu. Ta bitwa została przegrana, mama wydała miesięczną rentę, choć właściwie miała do tego prawo, skoro to były jej pieniądze. I nie zamierzała przejmować się jakimś głupim dachem, podobnie jak Noreen. Obie pewnie myślały, że w razie czego pocziwa Maggie stanie na głowie i zdobędzie pieniądze. Przecież zawsze tak było.

- Rób, jak uważasz, mamó - rzekła z rezygnacją, zmęczona tą całą dyskusją, która nie prowadziła donikąd.

- Oczywiście, że zrobię, jak uważam! - zachnęła się z oburzeniem Lydia, dając w podtekście do zrozumienia, że córka nie będzie jej rozkazywać.

Maggie wyszła z pokoju, czując bolesny ucisk

w skroniach. Kątem oka zauważyła, jak Noreen sięga do kieszeni po pasek, by wreszcie zawiązać szlafrok. Nie pojmowała, czemu siostrze sprawia taką przyjemność stawianie jej w nieprzyjemnych lub głupich sytuacjach. Działo się tak, odkąd sięgała pamięcią, więc raczej nie była to zemsta. Dałoby się zrozumieć postępowanie starszej siostry, gdyby to ona była brzydsza i zazdrościła młodszej wygłądu. Noreen jednak nie miała Maggie czego zazdrościć!

Z westchnieniem zamknęła za sobą drzwi sypialni. Max siedział na środku łóżka z ogonem równiutko zawiniętym dookoła przednich łap i przypatrywał jej się ze zrozumieniem, a przynajmniej tak sobie mówiła. Kiedy bezsilnie klapnęła na brzeg łóżka, natychmiast znalazł się przy swej pani i zaczął pocierać łebkiem o jej ramię.

- Przynajmniej ty w tym domu cieszysz się na mój widok.

Podrapała go za uchem, na co zamruczał z lubością, więc zaczęła go głaskać. Zauważyła, że przy tym sama zaczyna się lepiej czuć, ponieważ opada z niej napięcie i ustępuje lekki ból głowy.

- Zdecydowanie masz lecznicze działanie, Max - powiedziała. - Chyba właśnie wspólnie odkryliśmy kototerapię.

Zamruczał głośniej i przekręcił się na grzbiet,

by dla odmiany podrapała go po brzuchu. Zrobiła to chętnie, uśmiechając się, gdy dla zabawy próbował chwytać ją przednimi łapami za rękę. Niestety, przypomniała sobie wtedy raniącą uwagę Noreen o bieganiu z tacą cały dzień i wracaniu na noc tylko do kota.

- Czas leci, Max, a ja tkwię w miejscu - zwierzyła się. - Jak tak dalej pójdzie, to rzeczywiście skończę jako stara panna z kotem. Och, oczywiście uwielbiam twoje towarzystwo - zapewniła szybko, drapiąc go pod brodą. - Ale, nie obraż się, nie masz szczególnego talentu do konwersacji. To wcale nie jest krytyka, lecz w życiu chodzi o coś więcej niż o rozpoznanie puszek z sardynkami, rozumiesz.

Kot nagle znudził się pieszczotami, obrócił się na brzuch, wstał, z gracją przespacerował się na drugi koniec łóżka, gdzie bezceremonialnie usiadł na poduszce i rozpoczął toaletę. Maggie nie zwracała na niego uwagi, zajęta swoimi myślami.

Miała dwadzieścia trzy lata i całe życie przed sobą, ale doskonale wiedziała, jak szybko upływa czas. Te trzy lata w Willow Flat minęły jak z bicza strzelił, nawet nie zdążyła się obejrzeć. Następne trzy przelecą równie szybko. I następne.

Wyciągnęła się na wznak w poprzek łóżka i zapatrzyła na żółtawy zaciek na suficie. Kelner-

ka to nie jest zawód niczych marzeń, pomyślała melancholijnie. Do szkół nie zaprasza się kelnerów, żeby opowiadali dzieciom o swojej pracy, tylko lotników albo strażaków, a czasem nawet polityków, chociaż są znacznie mniej ciekawi. Żadna szkoła nie przyucza do tego zawodu, nie istnieje podręcznik, który podpowiada, jak grzecznie i cierpliwie się uśmiechać, gdy niezdecydowany klient po raz trzeci zmienia zamówienie.

To dobry zawód, by uprawiać go przez jakiś czas, kiedy w dalszej perspektywie miało się na oku coś zupełnie innego. Ilu aktorów, artystów, pisarzy zarabiało na życie w ten sposób, nim osiągnęli sukces! Właściwie trudno byłoby w Stanach znaleźć znaną osobę, która nigdy nie miała się kelnerowania.

Tak, ale ci ludzie dobrze wiedzieli, co chcą w przyszłości osiągnąć i to przekonanie stanowiło ich siłę napędową. Maggie jednak nie miała żadnych ambitnych planów, nic jej nie pchało do robienia kariery w jakiegokolwiek dziedzinie. To, czego chciała, było bardzo proste - ktoś specjalny w jej życiu, dom, pewnie dzieci i trochę wolnego czasu na zajmowanie się ukochaną fotografią. Może kiedyś udałoby jej się wydać album? Nie byłoby to nic oryginalnego, po prostu zdjęcia przyrody, pokazanej tak, jak ona ją widzi, przefiltrowanej przez jej wrażliwość.

Co więc miała począć kobieta, która nie była nikim szczególnym i która miała skromne marzenia, a w dodatku zupełnie nie wiedziała, jak je zrealizować?

- W nocy wrócił Tucker - powiedział Nathan, polewając stopionym masłem stertę naleśników.

Ryan, który właśnie nalewał sobie kawy, z wrażenia omal nie upuścił i dzbanka, i kubka. Jedną z pierwszych rzeczy, jakich się nauczył od razu po przybyciu na ranczo, było to, że rano lepiej nie odzywać się do dziadka, nim ten nie wypije trzeciej kawy. Wziąwszy poprawkę na panujące między nimi chłodne stosunki, które nie uległy poprawie, choć od powrotu Ryana minęły dwa tygodnie, należałoby okres porannej ciszy wydłużyć do czterech kaw. Przeżył więc szok, gdy tego ranka Nathan z własnej woli przerwał milczenie już w połowie drugiej, a w dodatku odezwał się jak człowiek!

- Tak mi się wydawało, że coś w nocy słyszałem - przyznał Ryan.

Odstawił dzbanek z kawą i sięgnął po cukiernicę, ale dziadek już mu ją podawał.

- Kiedyś wylecą ci wszystkie zęby od tego cukru - ostrzegł życzliwym tonem.

Ryan miał ochotę się uszczypnąć i sprawdzić, czy aby na pewno nie śni.

- Myślałem, że miał wrócić w przyszłym tygodniu.

- Tak, ale interesy poszły szybciej i sprawniej, niż się spodziewaliśmy.

- To świetnie.

Ryan polał naleśniki syropem owocowym, zastanawiając się, skąd ta nagła zmiana w zachowaniu dziadka.

- W Los Angeles przypadkiem natknął się na Shelly Taylor i przywiózł ją do domu - ciągnął Nathan. - Nie wiem, czy słyszałeś, ale Leland Taylor zmarł dwa miesiące temu.

Ryan skinął głową.

- Tak, słyszałem. Przykra wiadomość. Po-dwójnie przykra, bo to nie tylko był porządny człowiek, ale też przyjaźniliście się od dawna.

- Od ponad pięćdziesięciu lat - mruknął w za-myśleniu Nathan i zapatrzył się w swój talerz, nie widząc go jednak, ponieważ przed oczyma miał wydarzenia sprzed więcej niż pół wieku.

Miał osiemnaście lat, kiedy ojciec Lelanda kupił sąsiednie ranczo. Dwaj rówieśnicy poznali się na lokalnej potańcówce, lecz jeszcze nim dobiegła końca, pobili się o najładniejszą z obecnych dziewcząt. Nathan podbił Lelandowi oko, w zamian dostał w nos. Uśmiechnął się nagle. Nawet nie potrafił sobie przypomnieć imienia tamtej dziewczyny. Alice? Betty? Jej rodzina

jakiś czas później przeprowadziła się do innego stanu i wkrótce o niej zapomniano, za to on z Lelandem zostali przyjaciółmi.

Tamten ożenił się późno, a jego żona zmarła, gdy ich jedyne dziecko było jeszcze małe. Odtąd Shelly stała się jego oczkiem w głowie. Z myślą o niej rozbudował ranczo, podobnie jak Nathan rozwinął swoje z myślą o Ryanie. Przyjaciele rozmawiali parę razy o tym, jak by to było dobrze, gdyby córka jednego i wnuk drugiego zakochali się w sobie, pobrali i połączyli oba duże rancza w jeden majątek.

Przez pewien czas wydawało się, że marzenie przyjaciół się spełni. Niedługo to jednak trwało, gdyż Shelly postanowiła zostać aktorką i wyjechała do Hollywood, a Ryan udał się na studia. Nathan nie stracił nadziei i cierpliwie czekał. Jednak jego wnuk zakochał się bez pamięci w Sally McIntyre. Dziadek bez wahania zaakceptował jego wybór, ponieważ sam ogromnie ją lubił i ponieważ uszczęśliwiła jego wnuka. Zapomniał o nadziejach, jakie wiązał z Shelly. Teraz sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Sally nie żyła, a Ryan powinien poszukać sobie nowej żony i mieć dzieci.

- Wróciła, bo Leland zapisał jej ranczo.
- Tak się domyślałem - mruknął bez większego zainteresowania Ryan, próbując ukroić

widelcem przysmażony naleśnik. Miał już dość tego jedzenia za pomocą jednej tylko ręki, czuł się przez to jak sześciolatek.

- Na razie zarządza nim Ray Wellman.

- Dlaczego na razie? Był prawą ręką jej ojca, zna ranczo od podszewki, poprowadzi je i dla niej. Chyba że ona zamierza je sprzedać.

- Nie, moim zdaniem wraca na stałe. Z tego, co się orientuję, nie udało jej się rzucić Hollywood na kolana. Nie jest już dzieckiem, więc pewnie wreszcie zrozumiała, że wiele tam nie wskóra. Pewnie osiadzie tutaj, może założy rodzinę - dodał niedbałym tonem. - Ray to dobry zarządca, ale nie robi się coraz młodszy. W dodatku jego syn, który kupił kawałek ziemi w Idaho, chce go ściągnąć do siebie. Nie zdziwię się, jak Ray w końcu ulegnie jego prośbom. Shelly będzie potrzebowała pomocy.

Ryan już wiedział, czemu Nathan stał się nagle taki przyjazny. Bardzo powoli odstawił kubek z kawą, po czym spojrział dziadkowi prosto w oczy.

- Nie.

- Co „nie”?

Na twarzy Nathana odbiło się tak komiczne zdumienie, że Ryan nieźle by się ubawił, gdyby nie był zły.

- Nie zaczynaj marzyć o założeniu dynastii. Nic z tego.

- Nie rozumiem, o czym mówisz. - Nathan dopił kawę i nalał sobie z dzbanka kolejną. - Ja przecież tylko z tobą rozmawiam o tym i owym.

- wcale nie - zaproponował Ryan, gdyż wolał postawić sprawę jasno. Miał wystarczająco dużo problemów i bez tych mało subtelnych podstępów dziadka. - Nie ożenię się z Shelly.

- Przecież nic podobnego nie powiedziałem - zaprotestował Nathan. Zapominając o tym, że właśnie nalał sobie gorącej kawy, pociągnął tęgi łyk i sparzył usta. - Niech to szlag! - Gwałtownie odstawił kubek, ochlapując stół.

Ryan spokojnie przyglądał się, jak dziadek wyciera rozlaną kawę serwetką.

- Obaj z Lelandem mieliście nadzieję, że ja i Shelly zapłonimy do siebie uczuciem. Nic z tego.

- Skąd wiesz, przecież nie widziałeś jej od lat - odparł Nathan, rezygnując z zaprzeczania na rzecz perswazji. - W szkole średniej chodziliście z sobą.

- Tak, cały czas skacząc sobie do oczu.

- Ludzie się zmieniają.

- Ale nie aż tak.

Nathan wstał gwałtownie, zabrał swój talerz, sztućce i kubek, zaniósł je do zlewu, opłukał, odstawił na suszarkę i dopiero wtedy odwrócił się do wnuka

- Zapraszam Shelly jutro na kolację.

Ryan nic po sobie nie pokazał, choć w duchu się wściekł.

- Świetnie.

- Oczywiście masz na niej być. - Ujrzawszy błysk sprzeciwu w oczach wnuka, rzekł szybko: - Shelly od lat jest z nami zaprzyjaźniona, a niedawno straciła ojca. Przywitanie się z nią po jej powrocie i złożenie jej kondolencji nie wymaga chyba od ciebie jakiegoś szczególnego wysiłku? Ryan?

Sprytne, pomyślał Ryan, zaciskając zęby.

- Będę na tej kolacji.

- To dobrze.

Nathan starannie ukrył satysfakcję. Oczywiście nie miał złudzeń co do tego, że udało mu się zmienić nastawienie wnuka do związku z Shelly. Ale kto wie, co się wydarzy, kiedy młodzi się spotkają? Mimo wszystko rozmowa z wnukiem nie poszła na marne. Wziął z wieszaka kapelusz i wyszedł.

Ryan westchnął i spojrzał na niedojedzoną porcję naleśników. Chyba stracił apetyt. Do licha, kiedy tylko dziadek odezwał się do niego po ludzku, trzeba było zwiewać, bo to nie wróżyło nic dobrego. Pomyślał, by wyswatać go z Shelly, groził nieprzewidzianymi komplikacjami i całą masą nieprzyjemnych sytuacji.

Subtelności dziadkowi brakowało, ale nadrabiał to uporem. Skoro już sobie wbił do głowy, że Ryan i Shelly są sobie przeznaczeni, będzie na nich naciskał do upadłego.

Najlepiej byłoby, gdyby okazało się, że Shelly jest już z kimś zaręczona. Ale nawet gdyby nie miała narzeczonego, to i tak nie zapała uczuciem do Ryana - tego jednego mógł być absolutnie pewien. O ile dobrze pamiętał, to na ich ostatniej randce nazwała go oślizgłym padalcem i zagroziła, że napuści na niego najgorszych zbirów, jeśli ośmieli się choćby na nią spojrzeć.

Uśmiechnął się na to wspomnienie. Od tamtej pory minęło piętnaście lat i Shelly już wydorosłała. Nie okazywała mu wrogości, gdy z rzadka na siebie wpadali. Ostatnio widzieli się na pogrzebie Sally. Ryan sposepniał w jednej chwili, bezwiednie potarł kciukiem palec serdeczny, gdzie brakowało obrączki. Po chwili gwałtownie potrząsnął głową, próbując odegnać wspomnienia. Nie ma sensu wiecznie rozmyślać o przeszłości i nie ma sensu martwić się pomysłem dziadka. Prędzej czy później Nathan będzie musiał dać za wygraną.

Podniósł się od stołu i spojrzał na przekłety gips, którego tak bardzo chciałby się już pozbyć. Gdyby tamten szalony koń nie wdeptał go wtedy w ziemię, Ryan byłby teraz tysiące kilometrów od rancza, znów na jakiejś zakurzonej arenie, być

może łamiąc jeszcze więcej gnatów. Kto wie, czy w sumie nie okazałoby się to mniej groźne niż powrót do domu?

Klacz nie uciekała już na przeciwny kraniec zagrody, ledwo ujrzała zbliżającego się Ryana, co można było uznać za pewien postęp. Oparł lewą nogę o najniższą żerdź ogrodzenia, a chorą rękę o najwyższą. Stojąca na środku zagrody klacz spojrzała na niego nieufnie.

Była po ojcu czempionie, niektóre ze spłodzonych przez niego koni osiągnęły cenę kilku tysięcy dolarów. Tej jednak nikomu nie udało się ujeździć. Właściciel postanowił sprzedać ją na rodeo, ale na to z kolei okazała się zbyt płochliwa. Nie można więc było na niej w żaden sposób porządnie zarobić. Gdyby Ryan jej nie kupił, skończyłaby w rzeźni.

- Podobno zamierzasz założyć hodowlę koni, na których nie da się jeździć - odezwał się za jego plecami wesoły głos.

Ryan z uśmiechem obrócił się do przyjaciela. Tucker McIntyre, wysoki, mocno zbudowany, czarnooki i z włosami tak czarnymi, że aż granatowymi, wyraźnie odziedziczył wygląd po indiańskich przodkach matki. On i Sally byli do siebie bardzo podobni, więc Ryan oprócz radości poczuł również i ukłucie bólu.

Uścisnęli sobie dłonie.

- Wiesz, że zawsze lubiłem eksperymentować
- odparł równie żartobliwie.

Tucker pokiwał głową.

- Widzę, że tym razem eksperymentowałeś z łamaniem ręki - zauważył.

- A, tak mnie jakoś naszło. Jak ci leci?

- Może być. A tobie?

- Nie narzekam. No, właściwie mógłbym.

- Ponuro łypnął na zniechęcony gips. - Ale to i tak by nic nie dało. Myślałem, że wrócisz z Los Angeles w kolorowej koszuli w palmy i z deską surfingową pod pachą, a tu taki zawód.

- Pomyliło ci się z Hawajami. W Los Angeles jest Hollywood i gwiazdy filmowe.

- Podobno nawet jedną przywiozłeś. - Ryan aż się skrzywił, wspominając niedawną rozmowę z dziadkiem.

- Shelly i tak chciała wracać, więc głupio byłoby nie podrzucić sąsiadki i skazywać ją na łapanie autostopu, nie? - Oparł się plecami o ogrodzenie i wyciągnął z kieszeni koszuli paczkę papierosów.

- Zamierza tu zostać na stałe? - spytał Ryan, jednocześnie obserwując klacz, która nadal przyglądała im się podejrzliwie, nerwowo strzygąc uszami, lecz nie uciekała jak najdalej od nich. Tak, to był postęp.

- Chyba tak. - Tucker zapalił zapalniczkę o podszewkę buta i osłaniając dłońmi płomyk przed wiatrem, przypalił papierosa. - Hollywood raczej nie spełniło jej oczekiwań. Zagrała w kilku filmach telewizyjnych, jednym filmie pełnometrażowym, ale nie kinowym, tylko przeznaczonym do wypożyczalni wideo, no i w jakichś reklamach. I tak udało jej się lepiej, niż wielu innym, którzy tam się pchają. Jednak Oscar jakoś ją ominął.

Ryan przypomniał sobie ich kłótnie w szkole średniej. Shelly nie wątpiła, że w Hollywood wszyscy padną przed nią plackiem. Wściekała się, kiedy jej radził, by najpierw obmyśliła, jak będzie zarabiać na życie, zanim wszyscy się na niej poznają.

- Myślisz, że zajmie się teraz prowadzeniem rancza?

- Na to wygląda. Ray Wellman pewnie zostanie, ale ona będzie musiała podejmować decyzje, bo Ray jest z tych, co to dobrze wykonują swoje zadania, lecz sami prochu nie wymyślą, rozumiesz. Pewnie od śmierci starego Lelanda czekał na jej powrót jak na szpilkach.

- Dziadek mówi, że Ray zamierza się przeprowadzić do syna do Idaho.

Tucker uniósł brwi, zastanowił się, po czym skinął głową.

- Faktycznie, to całkiem prawdopodobne. Słyszałem, że Andy zupełnie niezłe tam sobie radzi, ma kawałek ziemi, żonę, dwoje małych dzieci. Zawsze dobrze dogadywał się z ojcem, więc pewnie chce go ściągnąć, żeby rodzina była razem. - Zaciągnął się głęboko, potem wypuścił dym, mrużąc oczy. - No, to Shelly będzie miała nie lada kłopot. Bystra z niej dziewczyna, ale dziesięć lat z dala od życia na ranczu robi swoje. Na początku będzie jej ciężko.

- Dlatego dziadek wpadł na pomysł, żebym się z nią ożenił i połączył oba rancza - rzucił niedbale Ryan, jednocześnie bacznie obserwując reakcję przyjaciela. Nie zawiódł się.

Tucker, który właśnie znów podniósł papierosa do ust, ze zdumienia gwałtownie wciągnął powietrze, zaciągając się nie tak, jak trzeba. Ryan cierpliwie przeczekał atak kaszlu przyjaciela.

- Że co proszę? - spytał Tucker, kiedy wreszcie doszedł do siebie.

- Jego zdaniem ja i Shelly jesteśmy sobie pisani. Oczywiście nie przyzna się do tego, ale pewnie obaj z Lelandem marzyli o połączeniu obu majątków i stworzeniu dynastii. Powrót Shelly to woda na jego młyn. Uprzedziłem, że nic z tego, ale nie słuchał. Wiesz, jaki jest, kiedy wbije sobie coś do głowy. Równie dobrze mógł-

bym gadać do kolka w plocie. Zaprosił ją jutro na kolację, wyobraź sobie. Myśli, że jak mi ją podetknie pod nos, to nie wytrzymam i polecę na nią. Cóż...

Tucker z nieodgadnionym wyrazem twarzy obserwował żarzący się koniuszek papierosa.

- Jeśli chodzi o Shelly, nadal jest na czym oko zawiesić.

- Toteż ja nie mam nic do jej wyglądu, tylko do całej reszty. Nigdy w życiu nikt mi tak nie działał na nerwy. Z wzajemnością zresztą. Na koniec mieliśmy ochotę się zamordować. W ostatniej klasie podbiła mi oko, i to kiedy? W dzień balu na zakończenie szkoły!

Tucker zachichotał.

- Zupełnie zapomniałem. Czekał, coś ty wtedy ludziom wmawiał? Aha, że zając leciał przez drogę, dałeś ostro po hamulcach i walnąłeś głową w kierownicę.

- A co, miałem się przyznać, że to pamiątka od mojej dziewczyny?

- Powiedz dziadkowi, jak cię urządziła i pewnie jeszcze nie raz urządzi, kiedy zostaniesz jej mężem, może wtedy zrezygnuje z tego pomysłu?

- zaproponował żartobliwie Tucker.

- Nie kuś! - mruknął ponuro Ryan, lecz kiedy przyjaciel wybuchnął śmiechem, rozpogodził się nieco i rzucił z lekką autoironią: - Nie wiem

czemu, lecz odnoszę wrażenie, że nie traktujesz mojego problemu z dostateczną powagą.

- Wybacz, ale co sobie pomyślę, że Shelly powaliła cię na glebę...

- Nie powaliła mnie - sprostował Ryan, po czym zawahał się. - Sam się potknąłem o krzesło, kiedy mi przyłożyła - wyjaśnił z lekkim ociąganiem, na co Tucker nie wytrzymał i ryknął śmiechem. - Hej, ona jest naprawdę silna, w dodatku wzięła mnie przez zaskoczenie!

- Nie ma co kręcić, stary. Prawda jest taka, że dziewczyna sprząła cię na kwaśne jabłko.

- Co prawda, to prawda. Kto wie, jak wielką krzywdę wyrządziła w ten sposób mojemu delikatnemu męskiemu ego? - zażartował. - Chciałbyś mieć taką żonę? Na szczęście Shelly będzie równie chętna do brania ślubu ze mną, jak ja z nią.

Tucker rzucił niedopałek na ziemię, przydeptał go i łypnął na przyjaciela.

- No, nie wiem, nie wiem... Łakomy z ciebie kąsek. Ona też może mieć ochotę na zbudowanie dynastii czy innego imperium.

Ryan powątpiewająco uniósł brew.

- Z facetem, któremu podbiła oko w szkole średniej? Nie wydaje mi się. - Pomyślał z niechęcią o planowanej przez dziadka kolacji. - Słuchaj, co robisz jutro wieczorem?

Tucker z domyślną miną pokiwał głową.

- Rozumiem. Wolisz mieć ochronę na wypadek, gdyby Shelly znów chciała ci spuścić manto.

- W końcu jestem inwalidą! - Ryan wskazał gips. - Bardziej jednak zależy mi na tym, by dziadek nie swatał nas za ostro, przy tobie może trochę się pohamuje.

- Aha. Potrzebujesz przyzwoitki. Nie ma sprawy. Ale w życiu nie widziałem, żeby cokolwiek powstrzymało twojego dziadka, kiedy wbił sobie coś do głowy. - Wyjął paczkę papierosów. - Naprawdę chętnie przyjdę, żeby popatrzeć, jak się męczysz. Będzie niezły ubaw.

- Dzięki - wycedził Ryan.

- Nie ma za co, w końcu od czego człowiek ma przyjaciół? - rzucił z uśmiechem Tucker, po czym obrócił głowę w stronę przyglądającej im się klaczy. - Dobra, a teraz pogadajmy o poważnych sprawach. Co się dzieje z tym twoim koniem?

ROZDZIAŁ PIĄTY

Wyblakły napis nad drzwiami sklepu głosił: „Artykuły kolonialne i ogólne Goodmana”. W całym Willow Flat nikt nie pamiętał, kim był ów Goodman, artykuły kolonialne również odeszły do przeszłości, więc powszechnie przyjęła się potoczna nazwa „sklep ogólny”. Można było w nim kupić wszystko - od koperty po buty kowbojskie, od jo-jo po worek mąki, od mrożonek po strzelbę. Ba, znajdowała się tam nawet nieduża oszklona gablotka z biżuterią.

Kiedy Ryan był mały, matka zabrała go raz do największego sklepu z zabawkami w Nowym Jorku, ale nawet on nie wywarł na nim takiego wrażenia jak jakiś czas później ów sklep w Willow Flat, gdzie leżały i stały obok siebie najbardziej nieprawdopodobne rzeczy. Dwadzieścia lat

później Ryan znów zrobił wielkie oczy na widok tego miejsca, ponieważ za drzwiami natknął się na wymalowanego Indianina - jedną z tych drewnianych figur, jakie na początku wieku ustawiano w sklepach z tytoniem.

Siedząca za ladą pulchna rudowłosa kobieta podniosła głowę, uśmiechnęła się przyjaźnie i odłożyła romans, który czytała.

- Cześć, Ryan. Co u ciebie?
- Wszystko w porządku. A u ciebie?

Chodzili razem do szkoły średniej, Bonnie Rayczek była od niego o rok młodsza. Jej brat, starszy o kilka lat od nich, nieźle kiedyś przyłożył Ryanowi w szczękę, kiedy ten po jednej randce odwiózł Bonnie do domu dopiero o piątej rano. Kiedy okazało się, że Ryan nie kłamał i faktycznie w drodze powrotnej zepsuł mu się samochód, Bobby przeprosił i za rękoczynny, i za podejrzenia. Ani jego siostra, ani jej ówczesna sympatia nie opowiadali nigdy, jak spędzili czas, czekając w zepsutym samochodzie, aż ktoś z przejeżdżających zabierze ich do miasta.

Ależ to stare dzieje, zadumał się Ryan. Od razu po szkole Bonnie wyszła za Jacka Dillarda, urodziła mu czwórkę dzieci, z których najstarsze miało już dwanaście lat, a najmłodsze osiem, pomagała rodzicom w prowadzeniu sklepu i śmiała się, że jej mąż jest najśłynniejszą

osobistością w całej okolicy. Jack pisywał kryminały o znakomitym hakerze, który równie sprawnie strzelał, jak łamał kody komputerów, a oprócz tego miał zwyczaj co i rusz natykać się na jakieś zwłoki. Ryan przeczytał kilka z tych książek, ale nawet najbardziej zdumiewająca zbrodnia nie intrygowała go w równym stopniu jak fakt, jakim cudem facet, który codziennie spędza długie godziny przed komputerem, ma stalowe mięśnie, sokoli wzrok i strzela jak legendarny rewolwerowiec.

- U mnie nieźle, a za kilka godzin będzie bosko - odpowiedziała wesoło Bonnie. - Mama weźmie dzieciaki na całe dwa dni, bo Jack obiecał zabrać mnie w rocznicę ślubu do Cheyenne. Czekają mnie dwa noclegi w dobrym hotelu, tuzin róż i pyszne jedzenie, które nie ja będę gotować. W dodatku żadnych garów do zmywania i żadnego zasmarkanego nosa do wycierania. Wołami mnie stamtąd nie wyciągną.

- Jakim cudem udało ci się oderwać Jacka od komputera? - zdziwił się Ryan, ponieważ mąż Bonnie potrafił tak się zapamiętać w pracy, że wylatywały mu z głowy takie drobiazgi jak jedzenie, wywiązywanie się z obietnic czy odbieranie dzieci ze szkoły.

- Zagroziłam rozwodem i tym, że to on dostanie dzieci.

- Aj! - Ryan skrzywił się przesadnie. - Twarda jesteś.

- I jakże skuteczna! - pochwaliła się.

Ruchem głowy wskazał stojącego przy drzwiach drewnianego Indianina.

- To ma być ozdoba czy co?

Parsknęła z dezaprobatą.

- Tata go kupił, chce postawić go przed wejściem, żeby nadać sklepowi charakter. To paskudztwo waży chyba z tonę!

- Przynajmniej nie musisz się bać, że ktoś go ukradnie - pocieszył ją Ryan.

- A szkoda! Gdyby ktoś chciał go ukraść, to jeszcze bym mu pomogła załadować to paskudztwo na furgonetkę.

- Skoro tak ci na tym zależy, to ja go ukradnę - zaofiarował się. - Ale musisz poczekać, aż mi w przyszłym tygodniu zdejmą gips.

- Trzymam cię za słowo. - Oparła się łokciami o ladę, zadowolona z tego, że ma z kim pogadać. - Pojedziesz potem na kolejne rodeo?

- Jeszcze nie zdecydowałem, co zrobię - odparł wymijająco, ponieważ ze względu na panujące między nim a Nathanem napięcie nie był już pewien, czy zostanie na ranczu.

Brzęknął dzwonek u drzwi, obwieszczając przyjście kolejnego klienta. Oboje z Bonnie spojrzeli ku wejściu. Ryanowi poprawił się humor na

widok Maggie Drummond. Przez ostatni tydzień na przemian czuł żal, że nie spróbował się jakoś z nią umówić, i ulgę, że postanowił trzymać się na dystans. To drugie uczucie zaczęło przeważać, lecz znikło w jednej chwili, gdy Maggie uśmiechnęła się do niego ciepło. Psiakość, trzeba jednak było coś zaproponować!

- Cześć, Maggie. - Bonnie powitała ją serdecznym uśmiechem. - Co u ciebie?

- Dziękuję, wszystko dobrze. A u ciebie?

- Jeszcze lepiej. Za parę godzin pozbywam się dzieciaków, a Jack porywa mnie na romantyczny wypad do Cheyenne.

- Tylko nie zapomnij ukryć jego laptopa, bo jak go weźmie...

- Nie obawiaj się, jest pod kluczem. Jack już wie, że jeśli tylko wspomni o jakimś morderstwie, choćby wyczytał o nim w gazecie, wpuszczę nasze najmłodsze do jego pokoju. Timmy jest geniuszem, jeśli chodzi o najróżniejsze urządzenia. Rozbierze wszystko na składniki pierwsze. Oczywiście w drugą stronę to już nie działa, niczego złożyć z powrotem nie potrafi, ale demontaż idzie mu znakomicie. W przypadku komputera powinno mu wystarczyć dziesięć minut. Dać mu drugie tyle, a upora się też z faksem i drukarką.

- Twarda jesteś - stwierdziła z podziwem Maggie.

- To samo jej powiedziałem przed chwilą
- rzekł z uśmiechem Ryan.

- Czy wy się znacie? - spytała Bonnie, w razie czego gotowa ich sobie przedstawić.

- Tak, Ryan podwiózł mnie do miasta dwa tygodnie temu, kiedy w moim wozie wysiadła prądnica.

- Właśnie, jak twój samochód? - zagadnął.
Maggie zrobiła wielce zdumioną minę.

- Wyobraź sobie, że ze sprawną prądnicą działa znacznie lepiej.

- Kto by pomyślał! Słyszałem kiedyś podobne pogłoski, ale jakoś nie dawałem im wiary - odparł z kamienną twarzą i ucieszył się, kiedy zaśmiała się cicho.

Znowu widział ten jej leciutko przekrzywiony ząb, który nieodmiennie wydawał mu się uroczy. Nie miał pojęcia, co czyniło tę drobną skazę tak atrakcyjną w jego oczach. W ogóle Maggie kojarzyła mu się z pysznym domowym obiadem, firankami w oknach i ogniem na kominku - i z tym wszystkim Ryan się zgadzał, lecz jej widok przywodził mu też na myśl wspólne zimowe poranki, spędzane pod kołdrą wśród wybuchów śmiechu.

- Co właściwie chciałeś kupić, Ryan? - spytała Bonnie, przerywając przedłużające się milczenie.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, że stoi i gapi się z cielecym uśmiechem na Maggie zupełnie jak nastolatek, któremu po raz pierwszy w życiu spodobała się dziewczyna. Z trudem ode-rwał od niej wzrok i przeniósł spojrzenie na Bonnie, która miała opinię największej plotkar-ki w całym stanie. Jeszcze dziś wszyscy będą wiedzieli o nim i o Maggie, choć nie umiał powiedzieć, co będą wiedzieli. Bonnie nie robiła takich rzeczy ze złości, ponieważ nie miała jej w sobie ani krzty, ona po prostu uwielbiała zajmować się życiem innych ludzi, wałkować w nieskończoność dotyczące ich sprawy, a gdy czegoś nie wiedziała na pewno - snuć domysły.

- Sara podobno dzwoniła do ciebie i złożyła zamówienie - wyjaśnił.

- Tak. Część rzeczy już przygotowałam, re-szta będzie lada moment, bo zaraz przyjedzie dostawa. Możesz trochę poczekać?

- Pewnie. Chwilowo nie mam nic innego do roboty, bo z tym gipsem do niczego się nie nadaję. W takim razie pokręcę się trochę dookoła i wrócę za jakieś pół godziny.

- A gdzie w Willow Flat można się pokręcić?
- mruknęła sceptycznie Bonnie. Zerknęła w kie-runku Maggie, która właśnie wyjmowała coś z lodówki. - Chyba żebyś poszedł do Billa na

partię bilardu. Albo na pogawędkę. Idziesz może do pracy, Maggie?

- Nie, wybieram się do parku - odparła, kładąc na ladzie owiniętą w folię kanapkę, a obok niej stawiając butelkę z napojem owocowym. - Pojawiła się tam rodzinika pręgowców, chciała-bym zrobić im zdjęcia.

Ryan dopiero teraz zauważył, że miała przewieszoną przez ramię dużą torbę. Przez chwilę zastanawiał się, o jakim parku mowa, wreszcie przypomniał sobie obsadzony drzewami skwer, wciśnięty między siedzibę lokalnej gazety a motel, gdzie zatrzymywali się turyści jadący w pobliskie góry.

- Na pewno wyjdą pięknie, chociaż akurat ja za gryzoniami nie przepadam. Dzieciakom strasznie się podobały te zdjęcia, które im zrobiłaś u nas. - Bonnie zwróciła się do Ryana: - Z niej jest fotograf z prawdziwego zdarzenia, mówię ci!

- Nic mi o tym nie wiadomo - zaśmiała się Maggie. - Jak tylko gdzieś wyślę zdjęcie, to nie chcą go drukować. Chyba mam największą na świecie kolekcję odrzuconych zdjęć.

- To znaczy, że w tej dziedzinie jesteś mistrzem - pocieszył ją Ryan.

- A może poszlibyście do parku razem? - wypaliła nagle Bonnie.

Obrócili ku niej głowy, jednakowo zaskoczeni.

- Ryan, przecież i tak chciałeś jakoś zabić czas, zanim nie przyjdzie dostawa. Chyba lepiej mieć towarzystwo, niż kręcić się gdzieś samemu, prawda?

O mało nie jęknął na głos, widząc podejrzaną błysk w oku dawnej sympatii. Podobny widział rano u dziadka. Czy wszyscy w całym stanie uwzięli się, żeby go swatać? Co on jest - ostatnia lebiega? Sam potrafi umówić się z dziewczyną, jeśli tylko zechce.

- Gdybyś miał ochotę się do mnie przyłączyć, to zapraszam - powiedziała Maggie z tak nieśmiałym uśmiechem, jakby spodziewała się odmowy.

Wahał się zaledwie przez ułamek sekundy. Byłby idiotą, gdyby odmówił tylko po to, by sobie udowodnić, że nie potrzebuje korzystać z niczyjej pomocy w takich sprawach.

- Jeśli pręgowce nie będą miały nic przeciw temu, to chętnie skorzystam.

Bonnie zapakowała im lunch dla dwojga i obiecała przygotować wszystkie zamówione przez Sarę rzeczy.

- Mrożonki oczywiście włożę do lodówki, wyjmę, jak przyjdiesz. Nie musisz się spieszyć, jestem do piątej - dodała, przyglądając się im obojgu z podekscytowaną miną.

Podziękował i wyszedł za Maggie na ulicę. Kiedy dyskretnie zerknął przez okno wystawowe do wnętrza sklepu, ujrzał, jak Bonnie sięga po telefon.

- Jest bardzo sympatyczna, ale ma skłonność do rozsiewania plotek - mruknęła Maggie.

Zauważył, że ona też ukradkiem sprawdziła, co robi Bonnie. Widać oboje pomyśleli o tym samym.

- Jak możesz tak o niej mówić? - oburzył się Ryan. - Skłonność? To prawdziwa mistrzyni świata w plotkarstwie w stylu dowolnym! Powinna dostać złoty medal.

Zaśmiała się perliście.

- Ale ona nie robi tego w złych zamiarach.

- Wiem. Po prostu kocha wsadzać nos w cudze sprawy. Już w szkole była taka. Jeśli chciałaś coś o kimś wiedzieć, wystarczyło spytać Bonnie. Wydawałoby się, że dom, czwórka dzieci i praca zajmą ją bez reszty, ale te wszystkie obowiązki jakoś jej nie przeszkadzają...

- Podobno człowiek zawsze znajdzie czas na to, co naprawdę kocha - rzuciła żartobliwym tonem.

- Jak widać - przytaknął z uśmiechem i skinął głową Lee Hardemanowi.

Dość wiekowy już Lee wydawał lokalną gazetę, tygodnik „Kurier Willow Flat”. Chyba akurat

miał niewiele do roboty, gdyż siedział przed biurkiem, wygrzewając się na słońcu i rozglądając się dookoła.

- Witaj, Ry.

Ryan zwolnił.

- Witaj. Jak się miewa Abby? - zagadnął.

- Całkiem nieźle - odparł Lee, wyraźnie ucieszony zainteresowaniem Ryana. - Powtórzę jej, że o nią pytałeś.

- Powtórz koniecznie.

- Abby to jego żona? - upewniła się Maggie, kiedy minęli niewielką siedzibę gazety.

- Nie, mulica.

- Słucham?! - Maggie aż się potknęła na nierównym chodniku, a Ryan natychmiast chwycił ją za ramię, by się nie przewróciła. - Mulica?

- Aha - przyświadczył wesoło. - Lee jest do niej ogromnie przywiązany.

Nie cofnął ręki, gdyż miło było czuć pod palcami ciepłą skórę Maggie, a krzywy chodnik dostarczał znakomitego pretekstu do trzymania jej pod ramię.

- Abby pewnie doceni, że o niej pamiętałeś.

- Bez wątplenia. Jak na muła jest całkiem dobrze wychowana.

Zachichotała.

- Ciekawe, jakie są główne zasady mulej etykiety?

- To jedno z tych pytań, na które chyba lepiej nie znać odpowiedzi - odparł z udawaną powagą.

Poczuła ukłucie żalu, gdy zeszli z chodnika na trawę i Ryan puścił jej ramię. Ta krótkotrwała bliskość fizyczna sprawiła jej przyjemność. Maggie postanowiła skończyć z fantazjowaniem na temat, jak by się czuła, gdyby Ryan dotknął jej dla samej przyjemności.

Wyjęła z torby podniszczony kocyk, strzepnęła go i rozłożyła na trawie. Usiadła ze skrzyżowanymi nogami na samym brzegu i wykonała zapraszający gest.

- Rozgość się. Możesz zająć dowolne miejsce, to przyjęcie nieoficjalne.

- Uff, co za ulga! Akurat oddałem smoking do pralni - odparł i usiadł na kocu.

Maggie znów sięgnęła do torby, tym razem po ich lunch. Starła się nie myśleć o tym, że oczy Ryana są jeszcze bardziej niebieskie od nieba nad ich głowami - a przecież niebo nad Wyomingiem chyba nie miało sobie równych.

Park był odgradzony od motelu nieregularnym murkiem z płaskich kamieni, które wydobyto z ziemi i odrzucono na bok, gdy wyrównywano teren pod budowę motelu i parkingu. Ktoś wpadł na pomysł, by zamiast wywozić je za miasto, odgradzić nimi prywatny parking od publicznego

skweru, po prostu układając kamienie jeden na drugim bez użycia zaprawy. Wiejący nieustannie w tej okolicy wiatr z czasem nawiał w szpary ziemi, w której zaczęły rosnać niewielkie rośliny. Latem na szczycie murku wygrzewały się jaszczurki, a u jego stóp można było od niedawna spotkać śliczne małe gryzonie, które musiały mieć tam norkę.

Maggie bardzo lubiła ten maleńki ekosystem, spędziła niezliczone godziny, fotografując malownicze fragmenty murku, wyrastające ze szczelin małe polne kwiatki i tkwiące nieruchomo jaszczurki o oczach jak lśniące koraliki. Ostatnio zachwyciły ją wiecznie zaafetowane pręgowce o uroczych pyszczkach.

Tego dnia nie było ich widać, lecz nie zmartwiła się tym zbytnio. Zerknęła na swego towarzysza. Ryan położył się na boku, podpierając głowę zgiętą w łokciu ręką i przyglądał się pszczołom krążącym nad jedynym w parku klombem, a raczej jego pozostałością, gdyż tylko najodporniejsze kwiaty wytrzymałyby tutejsze surowe zimy.

Zwykła biała bawełniana koszulka przylegała do umięśnionego torsu i płaskiego brzucha Ryana. Sprane niemal do białości džinsy o wystrzępionych nogawkach leżały na jego długich nogach i wąskich biodrach niczym druga skóra. Całości dopełniały czarne buty noszące ślady długiego używania.

Maggie poczuła w brzuchu gorące mrowienie i wiedziała, że to oznaka czysto fizycznego pożądania. Jeszcze nigdy nie doznała go z równą intensywnością. Ale oprócz tego poczuła jeszcze jedno silne pragnienie, które znała dużo lepiej, ponieważ często go doświadczała - chciałaby zrobić zdjęcie. Oczyma wyobraźni już widziała gotową fotografię, koniecznie czarno-białą, by oddać jego zdecydowane rysy, mocno zarysowaną brodę, wysokie kości policzkowe. Zawahała się. A może ze względu na kolor oczu i na mahoniowy połysk ciemnych włosów jednak lepiej wyszedłby w kolorze? Tak czy owak, byłby wspaniałym modelem.

Ciekawe, czy zgodziłby się na zrobienie mu zdjęcia. Ale czy w ogóle byłoby rozsądnie go fotografować? Maggie sięgała po aparat wtedy, gdy coś - lub ktoś - przemawiało do jej serca, a sam proces robienia zdjęć jeszcze bardziej ją do obiektu przybliżał, jakby wraz z nastawianiem ostrości wyostrzały się również emocje Maggie. I tak już interesowała się nadmiernie Ryanem Lassiterem. Nie ma sensu pakować się w kłopoty. Czy nie wystarczy, że myślała o nim często przez minione dwa tygodnie, siedzi z nim razem na kocu w parku, zjadła z nim lunch i rozmawia z nim o jego sprawach?

Tymczasem Ryan zastanawiał się, nad czym

ona tak duma. Jej szare oczy przybrały trochę nieobecny wygląd, z czym zresztą było jej bardzo do twarzy. W ogóle była znacznie ładniejsza, niż mu się wydawało w pierwszej chwili. A do tego okazała się znakomitą słuchaczką. Wiele osób jedynie udawało, że słucha, podczas gdy w rzeczywistości tylko czekało na pierwszą przerwę w wypowiedzi towarzysza, by szybko wpaść mu w słowo. Inni z kolei nie przerywali i pozwalali się drugiemu wygadać, lecz tak naprawdę myśleli w tym czasie o czym innym.

Maggie naprawdę słuchała rozmówcy, co miało ten efekt, że Ryan powiedział jej więcej, niż planował. Nim się obejrzał, wiedziała już o płochliwej klaczy i o planach ułożenia jej oraz przysposobienia do pracy na ranczu. Ponieważ zaczęła o to wypytywać, wyjaśnił, że wśród ranczerów najwyżej cenione są konie, które potrafią odłączyć od stada wskazaną przez jeźdźca krowę. Podobne umiejętności mają psy pasterskie, lecz psy sprawdzają się przy owcach, do bydła są za małe. Wytłumaczywszy jej to wszystko, przyznał się do marzenia, że chciałby założyć niedużą hodowlę takich właśnie specjalnie tresowanych koni. Powiedział więc dziewczynie, która zupełnie nie знаła się na tych sprawach, rzeczy, o których powinien usłyszeć dziadek, Tucker lub któryś z bliższych znajomych.

- O czym myślisz? - zainteresował się nagle, wciąż przyglądając się trochę nieobecnej Maggie, która wyraźnie borykała się w duchu z jakimś problemem.

Drgnęła gwałtownie i spojrzała na niego w popłochu. Przecież nie powie mu, że o nim i o tym, że za bardzo jej się podoba. Zerknęła na murek, szukając natchnienia i powiedziała pierwszą rzecz, jaka jej przyszła do głowy:

- Jak wołasz na pręgowce?

- Co? - zdumiał się Ryan, unosząc wysoko brwi.

- No, przecież są różne sposoby wabienia zwierząt, na przykład na kota wołasz kici-kici i przychodzi. Oczywiście, jak zechce - dodała.

- Spróbuj tak samo z pręgowcami - poradził.

- Chyba żartujesz! Żaden szanujący się gryzoń nie przyjdzie, jak go zaczniesz wabić jak jego wroga.

- Skąd wiesz, czy one nie należą do tego rodzaju gryzoni, który się nie szanuje?

- Gdyby się nie szanowały, nie chciałabym robić im zdjęć - rzekła z kamienną twarzą.

- Przekonałaś mnie. Co by tu więc innego...? Cip, cip?

Odpowiedziało mu pełne dezaprobaty spojrzenie pięknych oczu.

- Kiepsko się starasz.

- Przepraszam. - Próbował zrobić skruszoną minę, lecz mu się to nie udało. Na jego twarzy wciąż malował się wyraz zadowolenia. Ale czy można było mu się dziwić? Leżał wygodnie na kocyku rozciągniętym na miękkiej trawie, właśnie zjadł sporą kanapkę z szynką, słonko przygrzewało i ozłacało włosy uroczej kobiety, która mu towarzyszyła. Życ, nie umierać.

- Truś, truś, jak na królika? - mruknęła. - To w końcu też gryzoń.

A gdyby tak wyciągnął rękę i wygładził palcem zmarszczkę, jaka przecięła jej czoło? Jak Maggie by na to zareagowała?

- Albo taś, taś - rzucił z roztargnieniem.

- Czy gryzoń to kaczka? - ofuknęła go.
- Równie dobrze mogłeś zaproponować gul, gul, skoro już jesteśmy przy drobiu. Ale gryzonie są mądrzejsze niż drób.

- To może wołać na nie jak na psy?

Łypnęła na niego podejrzliwie.

- Nie ma żadnego takiego wołania na psa.

- Jak to nie? - spytał z udawanym zdziwieniem. - Do nogi!

- To się nie liczy - rzekła zdecydowanie, lecz w jej oczach pojawiły się wesołe iskierki.

- Przychodzą, więc się liczy. W dodatku źle sformułowałaś pytanie - bronił się. - Na zwierzę-

ta nie tylko się woła, zwierzęta się wabi. Na różne sposoby. Na psa gwizdzesz, na konia cmokasz...

- Jakbym nie wiedziała!

- ...na świnię chrząkasz - zmyślił na poczekaniu.

- Oszukujesz.

- wcale nie. To stary sposób ranczerów, nie wszyscy go znają.

- Ranczerzy nie hodują świń - zauważyła przytomnie. - Od świń są farmerzy.

- O, przepraszam, znam się na tym lepiej od ciebie. Trzymamy parę świń do prywatnego uboju - zełgał bez mrugnięcia okiem. Nigdy żadna racica nie powstała na terenie posiadłości jego dziadka.

Skrzywiła się lekko, kiedy wspomniał o uboju.

- Coś mam wrażenie, że próbujesz wykręcić się od udzielenia odpowiedzi na moje pierwotne pytanie - oświadczyła. - Ja stawiam poważny problem, a ty robisz sobie żarty. To za trudne wyzwanie dla ciebie, przyznaj się.

- W żadnym wypadku - zaoponował natychmiast. - Oczywiście wiem, jak się wabi gryzonie. To stary indiański sposób, wielki sekret, więc nie byłem pewien, czy ci go zdradzać. Otóż na gryzonie... - Zawiesił głos dla większego efektu. - Na gryzonie się milczy. Trzeba bardzo, bardzo intensywnie milczeć. Tak właśnie Indianie wabili

pręgowce, robili im zdjęcia i wygrywali konkursy fotograficzne.

Z trudem powstrzymywała śmiech.

- Przecież przez jakiś czas nic nie mówiliśmy, a one wcale się nie pokazały - wytknęła.

- Bo za cicho milczałaś.

Nie wytrzymała i zaczęła chichotać. Ryan uśmiechnął się. Pobliskie drzewo rzucało cień na jego twarz, zmiękczając surowość jego rysów, podczas gdy niebieskie oczy aż błyszczały, tyle w nich było wesołości i przekory. W tym momencie wydał jej się prawie piękny. Odruchowo sięgnęła po aparat, w którym miała założony kolorowy film.

- Czy mogę zrobić ci parę zdjęć?

- Chyba musisz być naprawdę zdesperowana, skoro z braku pręgowców i ja się nadam - rzekł, lecz nie protestował, gdy skierowała na niego obiektyw.

Przyglądał jej się z zaciekawieniem, gdyż takiej jej jeszcze nie widział. Błyskawicznie, lecz bez śladu nerwowości nastawiła ostrość, czas i przesłone, szczupłe palce poruszały się szybko i pewnie. Przez moment w skupieniu komponowała kadr, bezwiednie przygryzając zębami czubek języka. Ryan równie bezwiednie utkwiał wzrok w jej ustach, czując gwałtowny przypływ pożądania. W tym momencie rozległ się trzask migawki.

Ryan nie wiedział, co Maggie zobaczy na zdjęciu po wywołaniu, żywił tylko nadzieję, że nie miał wypisane na twarzy, o czym myślał. Na wszelki wypadek postanowił skoncentrować się na czymś innym, czymś, co nie pobudzi jego fantazji.

- Czemu właściwie przyjechałaś z tak wielkiego miasta jak Detroit do tej małej miejsciny?

- Moja mama dostała w spadku dom po swojej cioci. - Przekręciła aparat o dziewięćdziesiąt stopni i zrobiła Ryanowi zdjęcie w pionie. - Przeprowadziła się więc tutaj, a ja przyjechałam z nią, bo do tej pory jakoś nie miałyśmy okazji... żeby się bardziej zżyć z sobą. Właściwie nic takiego mnie nie trzymało w Detroit, miałam tam nudną biurową pracę, bardzo kiepsko płatną.

Znów nacisnęła spust migawki, po czym opuściła aparat. Ich spojrzenia spotkały się. Maggie uśmiechnęła się lekko i równie lekko wzruszyła ramionami.

- Tak naprawdę mama spodziewała się, że odziedziczyła po cioci Margaret ranczo. Na widok domu... trochę się rozczarowała. Ciagle... ciagle nie zdołała do końca się z tym pogodzić.

Mówiła z wahaniem, jakby starannie dobierała słowa i Ryan zastanowił się, co próbowała ukryć.

- Mieszkasz więc razem z matką?

- Mhm. - Ponownie podniosła aparat do oczu,

jakby chciała się za nim ukryć. - I ze starszą siostrą. Podoba mi się tutaj.

- A im nie? - odgadł.

Bez pośpiechu zrobiła mu jeszcze jedno zdjęcie, potem opuściła aparat, nie patrząc na Ryana.

- Nie powiem, żeby darzyły Willow Flat jakimś szczególnym uczuciem - rzekła wreszcie.

Wyczuł, że bardzo oględnie oddała postawę matki i siostry.

- Co je więc tutaj trzyma?

- Pieniądze, a raczej ich brak. - Nałożyła pokrywkę na obiektyw i wzruszyła ramionami.

- Mama pracowała w fabryce, miała papierkową robotę, mało zarabiała. Któregoś dnia w windzie wyciekł smar, mama poślizgnęła się i upadła, potem dostała niewielką rentę inwalidzką. Tutaj życie jest tańsze niż w wielkim mieście, więc lepiej, żeby tu została.

- A twoja siostra?

Właściwie nie miał pojęcia, czemu tak wypytuje o jej rodzinę, skoro zamierzał trzymać się na dystans. Ale to postanowienie i tak już do jakiegoś stopnia stanęło pod znakiem zapytania, gdy postanowił iść z Maggie do parku. Paradoksalnie Ryanowi byłoby łatwiej wytrwać przy pierwotnej decyzji, gdyby chodziło o jakąś tlenioną blondynkę z biustem jak z „Playboya”. Maggie wywoływała w nim jednak znacznie bardziej skom-

plikowane odczucia niż zwykłe pożądanie. Chciałby ją... naprawdę poznać. Niech to szlag.

- Ona też tkwi tutaj z powodów finansowych - odparła. - Pracuje jako kelnerka w „Kropelce”, więc raczej jej się nie przelewa - zażartowała blado i spuściła wzrok. W rzeczywistości nie była do końca pewna, co trzyma Noreen w Willow Flat. Chyba tylko nadzieja na pieniądze ze sprzedaży domu. W każdej chwili mogła wyjechać, mimo braku jakichkolwiek oszczędności, ponieważ bez problemu namówiłaby kogoś ze swoich rozlicznych kochanków na pożyczenie jej pieniędzy, na pewno też znalazłoby się paru takich, którzy chętnie by ją zabrali w dowolne miejsce.

- A twój ojciec?

Maggie schowała aparat do torby.

- Zostawił nas, kiedy miałam parę miesięcy. Widać byłąm bardzo niezdolnym niemowlakiem i nie mógł dłużej tego wytrzymać - wyjaśniła i uśmiechnęła się samymi ustami, a jej oczy pozostały smutne.

Ryana zaciekało, komu udało się wmówić Maggie, że ojciec właśnie przez nią porzucił rodzinę. Matce? Starszej siostrze?

- Jakoś nie chce mi się wierzyć, by to był prawdziwy powód.

- Mnie też nie.

- Mimo to czujesz się winna - zauważył bystro.

- Ale tylko podświadomie. - Na widok jego uniesionych brwi wyjaśniła: - Z racjonalnego punktu widzenia nie mam sobie nic do zarzucenia. Człowiek nie może mieć do siebie żalu o coś, co zrobił jako małe dziecko. To byłoby głupie.

- Nawet wyjątkowo głupie - poprawił. - Żaden mężczyzna nie porzuca rodziny z powodu niezdolnego dziecka. Robi to, bo jest ostatnim dupkiem - oznajmił stanowczo, myśląc o swoim ojcu.

Duncan, przynajmniej teoretycznie, nie porzucił rodziny, ale dla jego syna rezultat był praktycznie taki sam. W ciągu tych dwudziestu lat ojciec zawitał parokrotnie na ranczo z krótką wizytą, ewidentnie spowodowaną wyrzutami sumienia, a nie tęsknotą za synem. Dzwonił też, za każdym razem z innego miejsca świata, z życzeniami na święta Bożego Narodzenia i na urodziny. W oczach Ryana była to jedyna różnica między jego ojcem a ojcem Maggie. I chociaż jej została matka, a jemu nie, wydawało mu się, że mimo wszystko to on miał więcej szczęścia. Nathan miał swoje wady, ale...

Myśl o dziadku przypomniła mu o Sarze, która czekała na jego powrót z zakupami, żeby zacząć robić kolację, którą mieli dziś podjąć

Shelly. Biedna eksaktorka nie wiedziała jeszcze, że to ona ma być głównym daniem, gdyż Nathan chce ją podsunąć swemu wnukowi jak na tacy. Sara na pewno ugotuje coś dobrego, ale dziadek przyprawi to tak, że chyba wszyscy dostaną niestrawności.

- Powinienem sprawdzić, czy do Bonnie już przyszła ta dostawa - powiedział z ociąganiem.

Maggie z wysiłkiem stłumiła ogromne rozczarowanie. Oczywiście to popołudnie nie mogło trwać w nieskończoność, ale czy musiało kończyć się tak szybko? Zdławiła poczucie żalu i wstała z kocyka.

- Ja też muszę już wracać - rzekła, chociaż nie czekało na nią nic oprócz zwykłych codziennych obowiązków i nieustannego gadania telewizora, przed którym tkwiła mama.

Ryan podniósł się również.

- Przykro mi, jeśli wystraszyłem pręgowce.

Maggie już nawet nie pamiętała, z jakim zamiarem przyszła do parku i nie żałowała nieobecności zwierzątek. Zdecydowanie wolała towarzystwo Ryana.

- Nie rób sobie wyrzutów. Może po prostu nie były dziś w nastroju do pozowania - zażartowała.

- Myślisz, że mogły mieć tremę? Nie ma nic gorszego niż nieśmiały gryzoń. - Mrugnął do niej

z takim wdziękiem, że Maggie natychmiast pożałowała schowania aparatu.

Przeciągnął się, by rozprostować kości, a ona nie wytrzymała i powiodła wzrokiem po jego sylwetce, podziwiając szerokie ramiona, płaski brzuch i długie nogi. Potem jej spojrzenie powędrowało z powrotem ku górze, by zatrzymać się na torsie Ryana. Aż zaswędziały ją opuszki palców, gdy pomyślała o tym, jak miło byłoby przesunąć dłońmi po jego skórze, poczuć jej ciepło, poczuć bicie jego serca.

Co za mężczyzna, pomyślała z zachwytem. Na sam widok Ryana po całym jej ciele rozlewało się charakterystyczne gorąco, którego nie dało się pomylić z niczym innym. Nigdy dotąd nie odczuwała fizycznego pragnienia tak intensywnie.

Nagle zdała sobie sprawę z tego, że on przestał się przeciągać i stoi przed nią nieruchomo, bacznie ją obserwując. Gwałtownie podniosła wzrok, napotkała spojrzenie Ryana i pospiesznie odwróciła oczy. Na jej policzkach wykwitły rumieńce, więc schyliła się po kocyk, by ukryć zawstydzenie.

Świetnie, po prostu znakomicie! Nie ma to jak dać się przyłapać na rozbieraniu mężczyzny wzrokiem. Tylko tak dalej. Może jeszcze powinna zacząć się ślinić na jego widok? To dopiero byłby numer.

Ryan przypatrywał się, jak Maggie strzepuje kocyk, tak energicznie, jakby chciała z niego wytrząsnąć całą osnowę. Wciąż miał przed oczyma wyraz jej twarzy, który od razu bezbłędnie rozszyfrował, ponieważ widział go u kobiety nie po raz pierwszy. Na każdym rodeo pojawiały się dziewczyny wybierające sobie co atrakcyjniejszych facetów i nie ukrywające swych zamiarów. Ryan nawet nie pamiętał, ile propozycji otrzymał, tyle ich było. Niektóre kobiety preferowały bardzo bezpośrednie podejście. W knajpie w Abilene jedna chętna postawiła mu drinka, razem z nim posyłając Ryanowi również swój stanik. Z kolei w Santa Fe pewna ruda podeszła do niego, bezceremonialnie złapała go za krocze i powiedziała dość kwiecistym językiem, co mogliby zrobić przez najbliższe godziny.

Żadna z tych propozycji nie wywarła na Ryanie pożądanego wrażenia. Budziły w nim jedynie lekki niesmak, zaś w przypadku ataku owej rudej poczuł się autentycznie zawstydzony. Ledwo jednak ujrzał wzruszające w swej nieśmiałości pragnienie w szarych oczach Maggie, natychmiast odczuł pożądanie. Zamierzał trzymać się od niej z daleka, ponieważ sądził, że z nich dwojga tylko on jest zainteresowany, ale skoro patrzyła na niego w taki sposób, to... to zupełnie zmieniało postać rzeczy.

- Daj mu spokój, już zdechł - powiedział, gdy ona wciąż strzepywała kocyk z takim zapamiętaniem, jakby zależało od tego jej życie.

Bez zastanowienia chwycił zdrową ręką brzeg kocyka i pociągnął go lekko ku sobie, by pociągnąć ku sobie również Maggie. Spojrzała na niego niepewnie. Mogła puścić kocyk. Mogła udać, że nie rozumie, o co chodzi. Wiedział jednak, że nie zrobi ani jednego, ani drugiego.

Chyba zwariowałem, pomyślał, dalej ciągnąc kocyk ku sobie. Przecież nie chciał się z nikim wiązać, a znał tę dziewczynę już na tyle dobrze, by wiedzieć, że pocałunek będzie oznaczał coś w rodzaju zobowiązania. Wciąż jeszcze mógł się wycofać, nim zrobi coś, czego oboje będą żałować. Mógł obrócić to w żart. Maggie się roześmieje i to erotyczne napięcie między nimi zniknie równie szybko, jak się pojawiło. Niepotrzebnie jednak pomyślał o jej uśmiechu, bo to kazało mu spojrzeć na jej usta, a kiedy już na nie spojrział, nie zdołał oprzeć się pokusie sprawdzenia, jak smakują.

Gwałtownie szarpnął kocyk i zaskoczona Maggie wpadła wprost na niego. Oparła dłonie o jego tors, uniosła wzrok ku twarzy. Ryan puścił kocyk i wsunął dłoń w jej lśniące włosy, odchylił jej głowę do tyłu. Zupełnie oszalałem, pomyślał, kiedy szare oczy Maggie pociemniały, a potem przestał myśleć.

Marzyła o tym, odkąd się spotkali, pragnęła tego, wyobrażała to sobie... i udawała, że wcale jej na tym nie zależy. Jednak te sny na jawie zbladły wobec rzeczywistości. Zrobiło jej się gorąco, kolana się pod nią ugięły, a wszelkie opory stopniały jak śnieg na wiosnę. Owszem, całowano ją już przedtem, ale nigdy tak!

Wszystko dookoła znikło, Maggie przestała odczuwać ciepło słońca na skórze, przestała słyszeć bzyczenie pszczół krążących nad kłombem i warkot przejeżdżającej ciężarówki. Istnieli tylko oni dwoje. Ryan mocniej odchylił jej głowę, pogłębiając pocałunek, a Maggie bez wahania rozchyliła usta, spragniona tak samo jak on.

Przecięgnął językiem po jej dolnej wardze, wyczuwając słodki smak soku, który przedtem piła. To podnieciło go jeszcze bardziej, w czym nie było nic dziwnego, ponieważ w tym momencie wszystko, co dotyczyło Maggie, kazało mu myśleć tylko o jednym. Seksowne były i jej krągłości, i zapach jej szamponu, i sposób, w jaki ścisnęła w drobnych garściach jego koszulkę, trzymając ją tak mocno, jakby Ryan był jedynym punktem oparcia w wirującym wszechświecie.

Poczuła, jak ostrożnie obejmuje ją chorą ręką, przyciskając gips do jej pleców, by nakłonić ją do przysunięcia się bliżej. Uczyniła to z największą ochotą, wtulając się w jego ciało.

Ryanowi aż zakręciło się w głowie. To, co zaczęło się właściwie z ciekawości, zapowiadało się na potężną nawałnicę. Poczul szalone podniecenie, jakiego nie odczuwał od lat. Pragnął zanurzyć się w tej kobiecie, zapamiętać się w niej. Wydawała się idealnie pasować do jego objęć, chociaż była od niego o wiele niższa i drobniejsza. Rozsunął szerzej palce zdrowej ręki, czując na nich kuszący dotyk jej miękkich włosów, i pocałował Maggie jeszcze mocniej. Całe lata był tego pozbawiony. Całe lata...

Nagle ta myśl otrzeźwiła go. Dotarło do niego, że znajdują się w miejscu publicznym, w parku w samym środku miasta, a jego pieszczoty lada moment staną się... cokolwiek nieprzyzwoite. A przecież to była porządna dziewczyna.

Maggie omal nie zaprotestowała, gdy uścisk Ryana zelżał. Wypuścił ją z objęć. Nie mogła dojść do siebie, nie chciała tego, pragnęła dalej doświadczać cudownych i oszałamiających emocji. Próbowwała przywołać się do porządku, powtarzając sobie, że to przecież tylko zwyczajny pocałunek. Nic wielkiego.

Jasne, a „Titanic” był papierowym stateczkiem, który utonął w kałuży...

Z trudem uniosła dziwnie ciężkie powieki i spojrzała na Ryana, a na widok jego półprzytom-

nego spojrzenia poczuła przypływ satysfakcji. Proszę, nie tylko ona była pod wrażeniem.

Ledwo wypuścił ją z objęć, już miał ochotę przygarnąć ją do siebie z powrotem, i to jeszcze mocniej niż poprzednio. Ta pokusa okazała się tak silna, że na wszelki wypadek cofnął się szybko o krok. Nie był na to gotowy. Cokolwiek to było. Wolał nawet tego nie nazywać. W każdym razie okazało się trochę za intensywne jak na jego aktualne potrzeby. I za szybko się rozwijało. Przecież zamierzał uporządkować swoje życie, a nie jeszcze bardziej je komplikować. W dodatku ta konkretna komplikacja miała piękne oczy i usta wprost stworzone do całowania.

Schylił się po leżący na trawie kocyk i podał go Maggie. Powinien coś powiedzieć, najlepiej coś niezobowiązującego. Przecież właściwie nic się nie stało, prawda? Pocałował ją, owszem. No i co z tego? W końcu nie był mnichem, w ciągu tych czterech lat całował wiele kobiet. Tak, tylko że żadna z nich nie doprowadziła go przy tym do podobnego stanu. To odkrycie wcale mu się nie podobało. Spojrzał gdzieś w bok, byle nie patrzeć na usta Maggie i nie ulec pokusie.

- Muszę już wracać, Sara pewnie czeka na zakupy.

Chociaż nie wykonał przy tym żadnego ruchu, poczuła, jakby się od niej odsunął, i to na znaczną

odległość. Powiedziała sobie stanowczo, że nie ma o to do niego żalu, starannie zwinęła kocyk, przyklekła i upchnęła go w torbie. Za nic nie zdradzi, że cała się trzęsie. Kiedy się wyprostowała, wyglądała na zupełnie opanowaną. Uśmiechnęła się swobodnie do Ryana.

- Zostawiłam samochód przed sklepem, więc pójdziemy razem.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

W drodze powrotnej rozmawiali niewiele. Maggie zauważyła, że zrobiło się wyjątkowo ciepło jak na środek wiosny. Ryan zgodził się z nią. Potem żadne z nich nie miało już nic do dodania.

Lee Hardeman wciąż siedział przed biurem i znów obaj z Ryanem wymienili pozdrowienia, choć tym razem bez wzmianki o mulicy Abby. Maggie najpierw zdziwiła się, że staruszek spędza w ten sposób pół dnia, po czym zdziwiła się jeszcze bardziej, zerknąwszy na zegarek. Od poprzedniego spotkania z nim minęła niespełna godzina. Jej pomyłka była jednak zrozumiała, w końcu tyle zdążyło się przez ten czas wydarzyć.

Bez przesady, jakie tyle? Jeden pocałunek. Nie był to w końcu żaden kataklizm. Powtarzała to sobie, ale z coraz mniejszym przekonaniem.

Ryan zwolnił, kiedy zbliżyli się do parkingu. Niebieski samochód Maggie stał obok jego furgonetki, rozpoznałby go wszędzie. Trudno było mu uwierzyć, że razem z Dougiem podwozili tę dziewczynę do miasta zaledwie dwa tygodnie wcześniej. Miał wrażenie, jakby znał ją dużo dłużej.

Poczekał na chodniku, gdy tymczasem ona otworzyła drzwiczki od strony pasażera, położyła na siedzeniu swoją dużą torbę, zamknęła drzwiczki i obróciła się do Ryana z uśmiechem. Wolałby, żeby się nie uśmiechała, ponieważ to znowu kazało mu myśleć o jej ustach, a wtedy przypominał mu się ich smak.

- Było mi bardzo miło - powiedziała i nagle zarumieniła się, ponieważ mógł to źle zrozumieć. Pospieszyła z wyjaśnieniem: - To znaczy, mam na myśli piknik. Był bardzo miły. I w ogóle...
- Umilkła, zakłopotana.

- Tak, to był bardzo miły piknik - zgodził się Ryan, a po chwili dodał: - A „w ogóle” było nawet miłsze.

Miał nadzieję, że Maggie zarumieni się jeszcze bardziej i nie zawiódł się. Spuściła oczy i powiedziała zmienionym głosem do jego obojczyka:

- Tak. Też. To znaczy, też tak myślę.

A niech to, muszę się z nią znowu spotkać, pomyślał. Nie było to rozsądne, ale jeśli człowiek

zawsze kieruje się rozsądkiem, to życie robi się niezdalnie nudne. Przez kilka lat ryzykował zdrowiem i życiem po to, by zarobić pieniądze na kolejne rodeo, w którym znów będzie ryzykował zdrowiem i życiem. Teraz mógł odważyć się na coś innego.

- Mam nadzieję, że dostawa już była - odezwała się Maggie, co uprzytomniło mu, że od dłuższej chwili stoi jak słup i gapi się na nią bez słowa.

- Maggie... - zaczął, sięgając po jej dłoń, lecz nagle opamiętał się.

Jeśli Bonnie wyjrzy przez okno i zobaczy, jak trzymają się za ręce, to jeszcze tego samego dnia cały stan będzie się trząść od plotek. Połowa będzie twierdzić, że są zaręczeni, a druga połowa, że mają gorący romans.

Jasne, najpierw całujesz ją na skwerze w biały dzień, gdzie każdy może was zobaczyć, a teraz boisz się wziąć ją za rękę, żeby nikt nie gadał. Bardzo mądrze! Przygadując tak sobie w duchu, włożył kciuki w kieszenie dżinsów, walcząc z narastającym zmieszaniem. Maggie przyglądała mu się pytająco, czekając na dalszy ciąg zdania, a Ryan, który od lat nie umawiał się na randki, nie bardzo pamiętał, jak to się właściwie robi.

- Maggie, co...

- Maggie, co za zbieg okoliczności!

Kobięcy głos, który rozległ się za plecami Ryana, był przyjemnie niski i zdecydowanie bardzo zmysłowy. Maggie spojrzała w tym kierunku, w jej oczach błysnęło coś, czego Ryan nie zdołał rozszyfrować, gdyż błyskawicznie znikło.

- To ty, Noreen - powiedziała zupełnie bezbarwnie Maggie.

- We własnej osobie.

Ryan odwrócił się i aż zaniemówił z wrażenia. Zbliżała się ku nim wysoka kobieta, która zdawała się jeszcze wyższa dzięki seksownym czerwonym sandałkom na cieniotkich obcasach. Była szczupła, lecz krągła tam, gdzie trzeba, a owe krągłości zostały wciśnięte w szkarłatne dżinsy i kusą białą bluzeczkę, która nie pozostawiała zbyt wiele dla wyobraźni. Właściwie nie zostawiała nic, poprawił się w myślach Ryan, gdy zjawisko podeszło bliżej i mógł ujrzeć zarys sutek prześwitujących przez cieniotką dzianinę.

Platynowa blondynka wsunęła smukłą dłoń w rozpuszczone włosy i odrzuciła je do tyłu, jeszcze bardziej eksponując biust, choć wrażenie już i tak było piorunujące. Na jej widok każdy mężczyzna musiał pomyśleć o seksie, i to gorącym. Kiedy Ryan z trudem przeniósł wzrok na twarz nieznajomej, ujrzał malującą się w jasnoniebieskich oczach satysfakcję.

- Podobno miałaś być w pracy - stwierdziła Maggie, która nie mogła znieść tego, w jaki sposób Noreen patrzyła na Ryana. Ale jeszcze gorsze było to, jak on patrzył na Noreen. - Mówiłaś rano, że koleżanka zachorowała i musisz ją zastąpić.

- No, ale poczuła się lepiej i przyszyła, więc wracam do domu. Zabiorę się z tobą.

- A co się stało z twoim samochodem? - Maggie jakimś cudem zachowywała doskonale neutralny ton głosu. Za nic nie mogła zdradzić się przed siostrą, jak bardzo jest wytracona z równowagi. Równie bezpiecznie byłoby dać jej do ręki naładowany pistolet. Noreen potrafiła wykorzystać przeciw Maggie dosłownie wszystko.

- Zabrakło benzyny. - Zerknęła na Ryana i ze śmiechem znów odrzuciła włosy do tyłu. - Wiem, zachowałam się jak klasyczna słodka idiotka z dowcipów o blondynkach, ale po prostu nie spojrzałam na wskaźnik paliwa.

- Każdemu mogło się zdarzyć - zauważył spokojnie, nie odrywając wzroku od jej twarzy, chociaż przy tym ostatnim gościu z jej biustem musiały się dziać interesujące rzeczy. Słodka idiotka? Nonsens. Z całą pewnością nie była idiotką. I nie było w niej nic słodkiego.

- I tak czuję się głupio - odparła, a potem lekko wyduła wargi, jakby była z siebie niezadowolona.

To jeszcze bardziej zwracało uwagę na jej pełne i umalowane usta. Nagle uśmiechnęła się do Ryana szeroko. - Skoro Maggie nie chce nas sobie przedstawić, sama muszę się tym zająć. Jestem Noreen, starsza siostra Maggie. Ale niewiele starsza-dodała, zaśmiawszy się zmysłowo.

Maggie miała ochotę uściślić, że chodzi o siedem i pół roku, lecz powstrzymała się. Choćby stanęła na głowie, nie dorównałaby siostrze w złośliwości, więc nawet nie było co próbować. Zamiast tego dokończyła prezentacji:

- To jest Ryan Lassiter.

Noreen wyciągnęła do niego rękę.

- Miałam nadzieję, że kiedyś się spotkamy. Maggie opowiadała, jak jej pomogłeś dwa tygodnie temu, kiedy zepsuł jej się samochód. Ktoś z rodziny powinien ci za to podziękować.

- Maggie mi podziękowała - odparł i cofnął dłoń, którą tamta próbowała przytrzymać. Cały czas nie mógł uwierzyć, że ma przed sobą rodzone siostry.

Noreen zmrużyła oczy, jakby raziło ją słońce, po czym przesunęła się tak, by promienie nie padały wprost na jej twarz. Przy tym manewrze częściowo zasłoniła Maggie, wyłączając ją w ten sposób z rozmowy. Oczywiście mogło się to stać przypadkiem.

- Chętnie postawię ci jednego. W ramach

podziękowania - dodała, gdy pytająco uniósł brwi.

- Naprawdę nie ma takiej potrzeby.

- Ale byłoby mi miło. - Powiodła palcami wzdłuż głęboko wyciętego dekoltu, ponownie zwracając uwagę Ryana na swój biust. - Pracuję w „Kropelce”, zazwyczaj na nocnej zmianie. Wpadnij kiedyś. - Przez dłuższą chwilę bezceremonialnie przyglądała się jego ustom, potem popatrzyła mu w oczy i przesunęła językiem po karminowych wargach. - Kiedy tylko zechcesz - dodała z kocim pomrukiem.

- Dziękuję za zaproszenie - rzekł z niezobowiązującym uśmiechem, wiedząc, że równie bezpiecznie byłoby przyjąć kielich z winem od słynnej Lukrecji Borgii.

Noreen wyglądała jak wcielenie marzeń prawie każdego faceta. Zabójcza figura, piękna twarz, wysokie kości policzkowe, idealnie zarysowane ciemne brwi, pełne usta z wydatniejszą dolną wargą i jasnoniebieskie oczy ocienione długimi czarnymi rzęsami. Ryan znał ten odcień błękitu ze zdjęć gór lodowych. Niewykluczone jednak, że góry lodowe miały w sobie więcej ciepła.

Przypomniał mu się nagle pewien wypad w górze razem z Tuckerem. Mieli obaj po kilkanaście lat, szli stromym jarem, gdy nagle Ryan zetknął

się prawie nos w nos z grzechotnikiem wygrzewającym się na skalnym występie. Wąż znajdował się na tyle daleko, że nie trzeba było obawiać się ataku, lecz na tyle blisko, by poczuć się nieswojo. Przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem, a potem Ryan poszedł dalej, jednak już nieco ostrożniej. Przez długie lata nie pamiętał o tym zdarzeniu, wróciło dopiero na widok Noreen.

Zerknął na Maggie, lecz ona z natężeniem wpatrywała się w popękane płyty chodnikowe. Nie mógł jej teraz zaproponować ponownego spotkania, kiedy między nimi stała jej siostra, cała chętna i do wzięcia. Innym razem, zdecydował i poczuł zarazem ulgę i żal. Cóż, jednak był tchórzem.

- Wybaczcie, ale muszę odebrać zakupy i wracać na ranczo - oznajmił, pragnąc zakończyć tę nieco kłopotliwą sytuację.

- Po co ten pośpiech? Może postawiłabym ci drinka teraz? - zaproponowała Noreen, przysuwając się do niego nieznacznie i znowu zwilżając językiem usta.

Znów przypomniał sobie grzechotnika i jego rozwidlony język.

- Innym razem. - Z grzeczności postarał się, by w jego głosie zabrzmiało rozczarowanie, którego wcale nie odczuwał.

- Będę czekać - wymruczała Noreen.

Ryan przeniósł spojrzenie na Maggie, lecz ponieważ nadal z wielkim przejęciem studiowała rysy na chodniku, powiedział ogólne „do widzenia” i z ulgą uciekł do sklepu.

- Ale się dobrze złożyło - skomentowała Noreen, ledwo zamknął za sobą drzwi. - Wiedziałam, że w końcu na niego wpadnę.

Maggie podniosła głowę, starannie omijając wzrokiem okno sklepu. Jeśli Ryan gapił się przez nie na jej siostrę, to nie chciała o tym wiedzieć. Poczowała, jak coś wbija jej się boleśnie w palce, więc rozluźniła dłoń, którą bezwiednie zaciskała z całej siły na kluczykach od samochodu. Pomyślała z żalem, że to chyba jakiś atawizm, skoro wszyscy mężczyźni lecą na szczupłe laski o dużym biuście i wyzywającym wyglądzie. Przypomniała sobie, jak Ryan znieruchomiał na widok tego, co Noreen miała pod bluzką. Z drugiej strony trudno, żeby nie spojrzął, w końcu na dobrą sprawę machała mu tym biustem pod samym nosem!

Lata praktyki pozwoliły jej ukryć przed Noreen targające nią emocje.

- Naprawdę chcesz, żeby cię podwieźć, czy to był tylko wybieg? - spytała z doskonałym opanowaniem.

- Naprawdę. Silnik zaczął nawalać, wołałam

nie ryzykować. Każę Dave'owi rzucić na to okiem.

Dave Lufton, spokojny osiłek o łagodnej, nieco bezmyślnej twarzy, był jednym z tych mężczyzn, z którymi Noreen spotykała się dość regularnie - w odróżnieniu od tych, których brała sobie na jedną noc. Maggie nie rozumiała, czemu jej siostra sypia z kimś, kto nie ma za wiele pieniędzy ani nie jest spokrewniony z nikim bogatym. Dave pracował w magazynie paszy, gdzie nosił worki ze zbożem, więc zarabiał raczej niewiele. Zagadka się rozwiązała, gdy Noreen rzuciła kiedyś uwagę, że Dave ma wyjątkowo dużego i nigdy nie męczy się w łóżku, mógłby całą noc. Od tej pory Maggie czuła w jego obecności pewne zakłopotanie.

- Chyba zrobiłam na Rynie całkiem spore wrażenie - ciągnęła Noreen, siadając na fotelu pasażera. - Czemu mi nie powiedziałaś, że to największy przystojniak w całej okolicy? Poszukałabym go wcześniej.

Maggie ruszyła z parkingu dość gwałtownie.

- Mówiłam, że jest atrakcyjny.

- To mało powiedziane. - Noreen aż się oblizowała na samo wspomnienie. - Kawał byczka. No i mają z tym starym dużą kasę. Nie co dzień trafia się ktoś taki.

- Nie każdy ranczer, który ma dużo ziemi, ma też i dużo gotówki - ostrzegła Maggie.

- Ziemię można sprzedać. Lassiter ma jej tyle, że jest warta majątek. Już widzę te wszystkie krowy zamienione na brylantowe kolie i podróż dookoła świata, oczywiście pierwszą klasą.

Maggie tak mocno zacisnęła palce na kierownicy, jakby to była szyja Noreen. Oczywiście nie wolno myśleć w podobny sposób, ale... ale całe szczęście, że żadne z dziesięciu przykazań nie mówiło nic o szanowaniu rodzeństwa. Nawet Boży nakaz nie zmieniłyby jej nastawienia do Noreen, której z całego serca nie cierpiała.

- To ranczo należy do rodziny od kilku pokoleń. Ryan nie zechce go sprzedać.

Noreen tylko wzruszyła ramionami.

- Każdego faceta można sobie owinać wokół palca. Może to cię zgorszy, siostrzyczko, ale droga do serca mężczyzny nie wiedzie przez żołądek, tylko przez rozporek. Oni zazwyczaj nie wiedzą, że tak naprawdę myślą za pomocą dwóch rzeczy, i tylko jedna z nich jest powyżej pasa. Jak masz w garści tę, która jest poniżej, masz w garści całego faceta i dostaniesz, czego chcesz.

- Nie każdy problem da się rozwiązać za pomocą seksu. I nie pal w moim samochodzie - dodała ostro na widok paczki papierosów, którą Noreen wyjęła z torebki.

- Wszystko, co dzieje się między mężczyzną a kobietą, sprowadza się ostatecznie do seksu

- zawyrokowała Noreen, wrzucając papierosy z powrotem do torebki. Nagle obróciła się do siostry z wyraźnym zaciekawieniem. - Coś ty za bardzo próbujesz mnie zniechęcić. Sama masz na niego chrapkę, co?

Maggie skrzyła w boczną uliczkę prowadzącą do ich domu.

- Nie.

Noreen uśmiechnęła się zjadliwie.

- I tak trzymaj, mała. On już jest właściwie mój, i tak nie zwróciłyby na ciebie uwagi.

Maggie miała na końcu języka, że Ryan uważał ją na tyle, by się z nią namiętnie całować, ale powstrzymała się. Taka informacja oczywiście starłaby z twarzy Noreen ów nieznośny uśmiezek złośliwej satysfakcji, ale potem przyszłoby Maggie drogo zapłacić za krótką chwilę triumfu. Już Noreen umiałaby wykorzystać tę wiedzę.

- Nie próbuję cię zniechęcać i nie jestem zainteresowana Ryanem Lassiterem - skłamała, parkując przed domem. - Po prostu twój ogląd rzeczywistości wydaje mi się cokolwiek zawężony. W życiu liczy się nie tylko seks.

- Pewnie, że nie. Liczą się jeszcze pieniądze.

Wysiadły z samochodu i spojrzały na siebie ponad jego dachem.

- Dam ci jedną radę. - Noreen włożyła papie-

rosa między szkarłatne wargi i zapaliła go zgrabną srebrną zapalniczką, prezentem od jakiegoś dawno zapomnianego kochanka. - Trzymaj się z dala od Ryana Lassitera.

- To ma być ostrzeżenie? Przed czym?

- Przed wyjściem na idiotkę, siostrzyczko.

- Noreen wydmuchnęła dym i wygięła usta w uśmiechu, lecz jej oczy pozostały zimne jak lód. - Ośmieszysz się, jak zaczniesz robić do niego słodkie oczy. Żeby złowić takiego faceta, potrzebna jest naprawdę dobra przynęta, a ty nią nigdy nie będziesz. Masz za mało do zaoferowania. - Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i poszła w kierunku domu.

Zaciskając dłonie w pięści, Maggie odprowadziła ją spojrzeniem.

- Ryan nie jest żadną rybą i nikt nie będzie go łowił - mruknęła z furją, gdy Noreen weszła do domu.

Nakazała sobie spokój, otworzyła tylne drzwi samochodu i zabrała z siedzenia dużą torbę, w której miała aparat i kocyk.

Maggie uniosła wysoko głowę. Ryan nie całował się z Noreen, tylko z nią. I ona postara się, by nie był to ostatni raz. A Noreen może sobie zabrać ten swój zgrabny tyłek, te swoje gołe piersi pod przejrzystą bluzką i iść prosto do diabła. Ha! I Maggie trzasnęła drzwiami.

Ryan poznał Shelly Taylor niedługo po zamieszaniu u dziadka. Była w tym samym wieku co on i Tucker, ale na tym podobieństwa się kończyły. Nie dość, że była dziewczynką, to jeszcze nie wyglądała na mieszkankę rancza. Podczas gdy prawie wszystkie dzieci chodziły w dżinsach - do szkoły, do miasta, a nawet do kościoła - ona zawsze nosiła sukienki, najczęściej różowe, białe albo niebieskie, ozdobione falbankami lub koronką. W jedwabistych kasztanowych włosach, które skręcały się w loki, często miała pasującą do sukienki kokardę. Jej buciki zawsze lśniły czystością. Nawet kiedy wkładała tenisówki, musiały być w kwiatki. Ryan nie znosił jej od pierwszego wejrzenia. Z wzajemnością.

Ponieważ mieszkali na sąsiadujących ranczach, jeździli do szkoły razem, odwożeni przez Sarę lub opiekunkę Shelly. Te przymusowe codzienne spotkania nastrajały ich do siebie jeszcze bardziej wrogo. On miał ją za zarozumiałą księżniczkę, a ona jego za głupiego brudasa. Minęło ledwie parę tygodni, gdy wybuchła otwarta wojna. Zaczął Ryan. Po prostu któregoś dnia Shelly przechodziła koło wielkiej błotnistej kałuży. Który dziesięciolatek oparłby się podobnej pokusie? Ryan „potknął się”, wpadł na Shelly i popchnął ją wprost do kałuży. Klapnęła na pupę w swojej ślicznej sukience, dla odmiany żółtej.

Gdyby był sprytniejszy, natychmiast by udał, że to czysty przypadek, ale Ryan aż się pokładał ze śmiechu, tak to komicznie wyglądało.

Shelly zachowała się dziwnie jak na wymuszaną dziewczynkę. Nie uderzyła w bek, nie zaczęła mu wymyślać piskliwym z wściekłości głosem. Poczerwieniała na buzi, ale nic nie powiedziała. Podniosła się. Rzadkie błoto kapało jej z sukienki, spływało po białych podkolanówkach i wypastowanych bucikach. Ciemne smugi miała nawet na policzkach i w ślicznych lokach.

Wyszła z kałuży, odsunęła brudną ręką włosy, które opadły jej na twarz i spojrzała Ryanowi w oczy.

- Zrobiłeś to specjalnie.

- Potknąłem się przez przypadek - zełgał, przypominając sobie poniewczasie, że jej ojciec i jego dziadek są zaprzyjaźnieni, więc pewnie nie ominie go bura, gdy cała sprawa wyjdzie na jaw.

- Naprawdę.

- Zrobiłeś to specjalnie - powtórzyła, mrużąc oczy.

Oho, zaraz się poryczy, pomyślał. Wszystkie dziewczyny to beksy. Tylko czekał na pojawienie się pierwszej łzy, żeby uśmiechnąć się z pogardą, lecz nie doczekał się. Shelly zwinęła delikatną dłoń w piąstkę i przywaliła mu prosto w splot słoneczny z siłą, na jaką stać rozwścieczoną małą

kobietkę. Zaskoczony Ryan tylko sapnął i z bólu zgiął się w pół.

- Nie lubię cię - oświadczyła gniewnie Shelly i gwałtownie pchnęła go do kałuży.

Wylądował twarzą w błocie. Kaszłąc, plując i klnąc, dźwignął się i usiadł. Kiedy przetarł oczy, ujrzał dumnie wyprostowane plecy oddalającej się Shelly. Przez następnych kilka lat omijali się szerokim łukiem, lecz w wieku siedemnastu lat Ryan nagle doszedł do wniosku, że jego okropna sąsiadka dobrze robi, wciąż nosząc sukienki, ponieważ ma do pokazania najzgrabniejsze nogi w całym liceum. Ona natomiast zobaczyła, że Ryan jest świetnie zbudowany. Zdaniem koleżanek miał zabójcze spojrzenie i był niesamowicie seksowny. To wystarczyło, by zakopać topór wojenny.

Chodzili z sobą przez prawie cały rok szkolny, ale ponieważ właściwie niezbyt się lubili, kłócili się niemal bez przerwy. Tak naprawdę byli razem, bo uchodzili wśród rówieśników za idealną parę. Jej zazdrościły wszystkie koleżanki, a jemu wszyscy koledzy. W rzeczywistości mężczyli się z sobą jak potępieńcy.

Po awanturze w dzień balu na koniec szkoły, kiedy to Shelly podbiła Ryanowi oko, rozstali się bez żalu i każde poszło w swoją stronę. Widzieli się przelotnie parę razy w ciągu następnych lat,

kiedy Shelly przyjeżdżała odwiedzić ojca. Ostatni raz spotkali się na pogrzebie żony Ryana. Przypominał sobie jak przez mgłę zapłakaną twarz byłej dziewczyny, która znała przecież Sally od lat i przyjaźniła się z jej najstarszą siostrą. Była autentycznie poruszona tą tragedią i zapewniła Ryana o swoim ogromnym współczuciu.

Głównie ze względu na to wspomnienie, a nie z powodu żądań dziadka, Ryan zdecydował się uczestniczyć w tej nieszczęsnej kolacji. Wziął prysznic i wyjął z szafy świeżą koszulę. Starał się nie pamiętać o ciosie w brzuch i o podbitym oku, powtarzając sobie, że nawet jeśli nie przepada za Shelly, to skoro lubił jej ojca, winien jest jej uprzejme zachowanie. Miał tylko nadzieję, że dziadek nie zacznie ich swatać zbyt otwarcie, stawiając wszystkich w niezręcznej sytuacji.

Zapiął guziki sportowej czarnej koszuli, wepchnął jej poły w spodnie, sięgnął po grzebień. Czesząc się, nagle uśmiechnął się do swojego odbicia w lustrze. Hej, może właśnie byłoby dobrze, gdyby dziadek zaczął na siłę popychać ich nawzajem ku sobie i tym samym rozwścieczył Shelly? Ryan z łatwością wyobraził sobie, jak jego bojowa była dziewczyna podbija Nathanowi oko. Rozbawiony rzucił grzebień z powrotem na komodę i wyszedł z pokoju. Kurczę, gdyby

naprawdę przywaliła dziadkowi, to Ryan gotów był ożenić się z nią.

Kiedy rozległ się dzwonek, Ryan akurat był bliżej drzwi, więc musiał otworzyć. Podchwycił błysk w oku dziadka. Ech, Nathan cały czas miał nadzieję, że wnuk na sam widok Shelly zapala miłością. Albo żądzą. Wszystko jedno, byleby tylko połączyć ziemię.

Chwilę później okazało się, że Nathan budował swoją nadzieję na całkiem solidnych podstawach. Shelly wyrosła na przepiękną kobietę, która w dodatku umiała podkreślić swoją urodę. Szkła kontaktowe zmieniły kolor jej oczu z jasnobrązowego na przejrzyste zielony, w kasztanowych włosach połyskiwały subtelne jasne pasemka. Jak zwykle miała na sobie sukienkę, lecz tym razem była to dopasowana mała czarna z dzianiny, sięgająca do połowy uda. Dzięki pantoflom na wysokich obcasach jej nogi wydawały się jeszcze dłuższe.

- Witaj, Ryan - przywitała się, podając mu wypielęgnowaną dłoń. - Świetnie wyglądasz.

- Ty również - rzekł z przekonaniem.

Jej dłoń ojedwabisce miękkiej skórze wydała mu się krucha i delikatna - w odróżnieniu od dłoni Maggie, która przecież była sporo mniejsza, ale jej uścisk zdradzał wewnętrzną tężyznę. Pew-

nie nie byłaby zbyt zachwycona tym określeniem, on jednak używał go w odniesieniu do Maggie z upodobaniem, gdyż właśnie ta tężyzna, zaskakująca u tak niedużej kobiety, dziwnie go pociągała. Może dlatego, że trochę kojarzyła mu się z dzielną Marilee Lassiter?

Z trudem oderwał myśli od Maggie i skoncentrował się na pięknej kobiecie, która stała przed nim.

- Przykro mi z powodu twojego taty.

Na moment uśmiech znikł z jej twarzy.

- Dziękuję - powiedziała cicho. - On zawsze bardzo cię lubił.

- Cóż, nawet najlepsi ludzie popełniają czasem pomyłki - skomentował Tucker, pojawiając się za jej plecami.

Na widok niezawodnego przyjaciela Ryan uśmiechnął się z ulgą, za to Shelly na moment zacisnęła usta i obrzuciła go dziwnym spojrzeniem.

- Cześć, Tucker.

Uśmiechnął się do niej tak przyjaźnie, że aż wydawało się to podejrzanе.

- Miło cię znowu widzieć. Szmata czasu, nie? - zagał.

- Całe dwa dni - skwitowała chłodno, lecz ton jej głosu kontrastował z jej nagle zaróżowionymi policzkami.

- Wystarczyło, żeby się stęsknić za widokiem twojej uśmiechniętej twarzy.

Ponieważ Shelly nadal patrzyła na jego przyjaciela bez śladu uśmiechu, Ryan wiedział, że uwaga Tuckera miała być co najmniej dwuznaczna, nie rozumiał jednak, czemu między tym dwojgiem panuje takie napięcie.

- Czy wy naprawdę musicie tkwić w progu?
- odezwał się z niezadowoleniem Nathan, wyglądając z pokoju dziennego.

- Nie musimy - odparła Shelly i pospieszyła ku niemu z wyraźną ulgą.

Za jej plecami Ryan rzucił przyjacielowi pytające spojrzenie, lecz Tucker z nieznacznym uśmiechem pokręcił głową, wyraźnie odmawiając udzielenia jakichkolwiek wyjaśnień. Co on taki skryty, pomyślał z lekką irytacją Ryan, którego zaciekawiło, co zaszło między tym dwojgiem podczas podróży z Los Angeles.

Naraz pomyślał ze zgrozą, że zaczyna upodabniać się do Bonnie. Nigdy przecież nie był ciekawski. Widać głupiej z nudów przez ten przeklęty gips. Niech mu go zdejmą jak najszybciej, bo inaczej zacznie przesiadywać w sklepie, plotkując o znajomych, zastanawiając się, kto do kogo robi maślane oczy, a kto się z kim rozstanie. Potem jeszcze wymienia się z Bonnie przepisami na ciasto ponczowe i...

- A ty co? Korzenie zapuściłeś? - warknął Nathan, marszcząc brwi.

Jego wnuk stał dalej przy drzwiach wejściowych, gapiąc się przed siebie i marząc o niebieskich migdałach, podczas gdy w pokoju to Tucker nalewał Shelly wody sodowej z lodem i zabawiał ją rozmową.

Ryan zamrugał powiekami i potrząsnął głową.

- Przepraszam, zamyśliłem się.

- Lepiej skup się na tym, że mamy gościa - ofuknął go Nathan, zniżając głos. - I to jakiego! Piękna kobieta, od lat zaprzyjaźniona z rodziną.

- Nie wspominając o tym, że ma ranczo, które chciałbyś połączyć ze swoim - mruknął Ryan, mijając go.

Nathan nastroszył brwi. Czy ten chłopak nie rozumiał? Nie chodziło mu o ranczo Taylorów, tylko o szczęście wnuka. Jeśli Ryan będzie dalej gorączkowo uciekał przed tragicznymi wspomnieniami, nigdy nie zazna spokoju. Najlepiej więc, by znalazł sobie nową żonę. Znał Shelly od łąt, w dodatku dziewczyna była jak malowanie. Bez problemu mógłby się w niej zakochać, gdyby tylko trochę się postarał.

Sara zostawiła gotową kolację w nagrzanym piekarniku. Nie siliła się na nic specjalnego, gdyż nadal traktowała Shelly jak dziewczynę z sąsiedztwa, a nie jak aktorkę z Hollywood. Posiłek dostosowała raczej do potrzeb Nathana i Tuckera,

k którzy ciężko pracowali cały dzień, wszyscy dostali więc przyrumienione żeberka z pieczonymi ziemniakami i duszone warzywa. Do tego Sara upiekła jeszcze cały koszyk chrupiących bułek z pełnoziarnistej mąki. Jedyne ustępstwem na rzecz eleganckiego gościa była miska sałaty.

Shelley aż zrobiła wielkie oczy na widok ilości jedzenia, jakie Ryan postawił na stole.

- Cóż, nie jest to kuchnia kalifornijska - odezwał się Tucker, zauważywszy jej wyraz twarzy.

- Jak okiem sięgnąć ani jednej kolby rukoli - dodał współczującym tonem Ryan.

- Rukola nie jest w kolbach, to rodzaj orzecha - poprawił go Tucker.

- A skąd! Widziałem ją kiedyś w jakimś lepszym sklepie i pamiętam.

- Nie, to orzech. Oni tam w Kalifornii posypują nim wszystko od lodów po jajka sadzone. Prawda? - zwrócił się do Shelly.

- Moim zdaniem to raczej zioło, ale głowy nie dam - powiedziała ostrożnie.

- Wszystko jedno, co to jest, grunt, że Sara nie kazała nam tego jeść - uciał zdecydowanie Nathan, który nie aprobował żadnych nowinek kulinarnych. - Poproszę bułki.

Ryan sięgnął po koszyk z pieczywem i podchwycił przy tym rozbawiony wzrok Shelly, co go zaskoczyło. Dawniej nie przejawiała poczucia

humoru. Tak, ale przecież to było piętnaście lat temu, ludzie się zmieniają. On sam też się zmienił, i to bardzo. Czemu więc założył, że ona została taka sama jak dawniej?

- To miało być skrzyżowanie „Robin Hooda” z „Tańczącym z wilkami”, akcja toczyła się w dziewiętnastym wieku w Peru - opowiadała Shelly. - Grałam rolę ukochanej bohatera, ale jego koń występował częściej ode mnie. - Uśmiechnęła się smętnie.

- A dlaczego w Peru? - zainteresował się Tucker.

Ryan wyciągnął się wygodniej w fotelu ze szklaneczką szkockiej w dłoni. Wieczór okazał się, jak dotąd, całkiem przyjemny. Zjedli dobrą kolację, a na kawę i drinki przeszli do salonu, gdzie Shelly zabawiała ich anegdotkami z planu filmowego. Nie zgrywała gwiazdy, czasami nawet z siebie żartowała, czego dawniej zupełnie nie potrafiła.

- Ponieważ reżyser miał wizję artystyczną, jak cała obsada jedzie przez pampę. Uznał, że to będzie znakomita scena początkowa.

Nathan z zakłopotaniem zmarszczył czoło.

- Zawsze myślałem, że pampy są w Argentynie.

- Bo tak jest! - Shelly zaśmiała się zaraźliwie.

- Freddy dostał szału, kiedy się dowiedział, że jego wymarzona sceneria znajduje się nie w tym kraju, co trzeba. Uznał to za spisek przeciw sobie i trochę trwało, zanim go przekonano, że nikt nie przeniósł pampy do Argentyny w celu zrobienia mu złośliwego kawału.

- I co? Kazał zmienić scenariusz? - spytał Tucker.

- Żartujesz? - Shelly uniosła brwi, autentycznie zdumiona, jak ktoś mógł zadać podobne pytanie. - To jest Hollywood! Jak reżyser potrzebuje mieć pampę w Peru, to pampa jest w Peru i kropka. Zresztą i tak kręciliśmy to w okolicy Los Angeles. Mimo podobnych wpadek może coś by jednak wyszło z tego filmu, gdyby Freddy poświęcił reżyserii tyle uwagi, co szlifowaniu swego przemówienia, które zamierzał wygłosić po otrzymaniu Oscara. W efekcie nikt nie potrafił się połapać w fabule, ze scenarzystą i reżyserem włącznie. Cud, że to w ogóle trafiło do wypożyczalni, bo nawet na to nie zasługiwało. O wielkim ekranie nie było co marzyć.

Tucker przyglądał jej się, opierając się ramieniem o kominek i leniwie kołyszając złocisto-brązową brandy w swojej szklaneczce.

- To musiało być dla ciebie frustrujące.

- Pierwsza rzecz, jakiej aktor musi się nauczyć, to duża odporność na stresy i porażki.

Większość czasu upływa na czekaniu. Czekasz na zrobienie makijażu, na dostarczenie kompletnej garderoby, na zmianę planu... Większość ludzi wyobraża sobie, że aktorzy mają ekscytujące życie. Jednak rzeczywistość jest znacznie bardziej szara.

Ona sama należała kiedyś do tej większości, Ryan pamiętał to doskonale. Widać życie ułożyło jej się całkiem inaczej, niż planowała. Wielki Boże, a komu nie ułożyło się inaczej? W zamyśleniu potarł kciukiem o pusty palec serdeczny i nieco melancholijnie przypomniał sobie zasłyszany gdzieś cytat. Podobno życie to jest to, co się człowiekowi przydarza, kiedy jest zajęty myśleniem o przyszłości.

- Co zamierzasz dalej robić? - spytał nagle Nathan.

- Cóż... - Shelly lekko wzruszyła ramionami. - Aktualnie nie pracuję nad żadnym filmem. To taki żargon zawodowy - wyjaśniła. - Lepiej brzmi, niż przyznanie, że nikt do człowieka nie dzwoni z propozycją angażu. - Napiła się kawy, a potem zaśmiała się z zakłopotaniem i powiedziała, nie patrząc na nikogo: - Właściwie zdecydowałam się tu zostać. Chyba zaczynam być za stara na te hollywoodzkie gierki i podchody. No i ktoś musi doglądać rancza.

Ryana aż przebiegły ciarki na widok uciesznej miny dziadka. Gdyby Shelly wiedziała, w co ich właśnie pakuje!

- Masz przecież Raya - przypomniał szybko.

Z westchnieniem założyła jedną fantastycznie zgrabną nogę na drugą, a wtedy brzeg jej krótkiej sukienki podjechał nieco wyżej. Ryan nawet tego nie spostrzegł.

- Tak, ale on coraz częściej wspomina o swojej rodzinie w Idaho. Tęskni do wnuków. Sądzę, że wkrótce wyjedzie.

- Na pewno zostanie przynajmniej dopóty, dopóki nie znajdziesz następnego zarządcy - stwierdził z przekonaniem Ryan, ignorując wymowne spojrzenia dziadka.

- Też mam taką nadzieję, ale... - Westchnęła.

- Rzecz w tym, że jemu nie w smak praca u kobiety. W dodatku pamięta, jak byłem mała i jak mnie pierwszy raz sadzał na kucyka, więc nie bardzo widzi mnie w roli szefa.

- Dlatego powinnaś wyjść za mąż - zawyrokował Nathan, nie bawiąc się w żadne subtelności. - Trudno kobiecie samej prowadzić ranczo. W ogóle każdemu ciężko w pojedynkę - dodał na wszelki wypadek, by nie poczuła się urażona.

- Będzie ci znacznie łatwiej, jeśli znajdziesz sobie porządnego mężczyznę, który zna się na tej robocie. - Kostki lodu w jego szklaneczce za-

grzechotały, gdy wskazał nią swego wnuka. - Na przykład Ryan jest do wzięcia.

Ryan z rozpaczą zacisnął powieki. Czuł wściekłość, był głęboko zakłopotany i jednocześnie chciało mu się śmiać. Tupetu dziadkowi nie dało się odmówić.

Otworzył oczy i zerknął na Shelly, spodziewając się jednego z tych wybuchów gniewu, które znał aż za dobrze. Tymczasem ona wyglądała bardziej na zaskoczoną niż rozeźloną. Kiedy odpowiedziała mu spojrzeniem, uśmiechnął się przepraszająco i wzruszył ramionami, pokazując, że nie ma z tym nic wspólnego i że nie odpowiada za pomysły dziadka. Zaśmiała się cicho.

- Gdybym zaczęła się rozglądać za mężem, będę miała to na uwadze - obiecała.

Nim Nathan zdążył się odezwać, Tucker szybko zmienił temat rozmowy, zadając Shelly pytanie na temat aktora, o którym przedtem wspomniała. Kiedy niedługo potem odstawiła pustą filiżankę i oznajmiła, że musi już iść, Ryan poczuł niekłamana ulgę. To była bystra dziewczyna, będzie trzymać się od nich z dala, by unikać kłopotliwych sytuacji.

- Ja też już idę, więc odprowadzę cię do samochodu - zaoferował Tucker.

Nathan rzucił wnukowi wymowne spojrzenie,

sugerujące niedwuznacznie, że to on powinien odprowadzić gościa, lecz Ryan nic sobie z tego nie robił. Odetchnął, gdy za tamtym dwojgiem zamknęły się drzwi.

- Jak ty się zachowujesz? - naskoczył na niego dziadek. - Prawie wcale się do niej nie odzywałeś!

- Widać nie miałem jej nic do powiedzenia.

- Ryan włożył swoją szklaneczkę do pustej filiżanki Shelly.

- Nie widzisz, jaka to piękna kobieta? - naciskał dziadek.

- Widzę.

- No i?

Ryan podniósł zdrową ręką filiżankę ze szklaneczką i spojrzał na dziadka. Był zmęczony, czuł nieprzyjemne pulsowanie w skroniach, na domiar złego wściekle swędziała go skóra pod gipsem, od czego prawie dostawał szału, bo nie mógł się podrapać. Przez chwilę miał ochotę powiedzieć Nathanowi, co naprawdę myśli, a pohamowała go jedynie świadomość, że zachowanie dziadka wynikało z troski i miłości.

- Nie żyjemy w średniowieczu - odparł, próbując zachować spokój. - Teraz nie aranżuje się małżeństw w taki sposób.

- A kto ci każe żenić się z nią? - spytał Nathan bez mrugnięcia okiem. - Ja tylko podsuwam ci

myśl, że mógłbyś się z nią umówić. Przecież nie widzisz się z nikim innym.

- Skoro się nie widuję, to widocznie w ogóle nie mam takiej potrzeby - skwitował, wiedząc jednocześnie, że to kłamstwo.

Od kilku godzin nie przestawał myśleć o Maggie. Czemu się z nią nie umówił, dureń jeden? Co go powstrzymało? Nigdy przedtem nie miał kłopotu z zaproponowaniem randki. Ale też nigdy przedtem - z wyjątkiem Sally - nie przejmował się zbyt, czy dostanie kosza. Za nic nie chciał, żeby Maggie posłała go do diabła. Niedobrze.

- Zaniosę to do kuchni i idę spać. Dobranoc - rzekł zdecydowanie, ucinając dalszą rozmowę.

- Naprawdę nie musisz mnie odprowadzać - rzekła Shelly, gdy tylko Tucker zamknął za nimi drzwi.

~ Ale i tak mi po drodze. - Wskazał stojący opodal stary drewniany dom, w którym mieszkał z rodzicami, po czym wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów.

Spodziewał się, że ona odwróci się na pięcie i pójdzie, lecz się pomylił. Mimo swej wcześniejszej uwagi poczekała, aż on zapali. Interesujące. Zauważył też, że jej pasemka w świetle księżyca stały się srebrne, za to oczy ciemne i tajemnicze. Dzięki wysokim obcasom niemal dorównywała

mu wzrostem, więc mógłby ją łatwo pocałować. Gdyby chciał.

- To w końcu odprowadzasz mnie do samochodu czy palisz? - spytała z irytacją.

- Trochę tego, trochę tego - mruknął i uśmiechnął się, gdy fuknęła, odwróciła się i zeszła po stopniach werandy.

Ruszył za nią, doganiając ją bez trudu. Ciągnął się za nią mocny, słodki i zmysłowy zapach perfum, który kazał mężczyźnie myśleć o seksie. Podobnie jak ta krótka dopasowana kiecka, pod którą chciało się wsunąć rękę i...

- Och!

Shelly potknęła się na nierównym gruncie i straciła równowagę. Tucker chwycił ją w pól i przyciągnął mocno do siebie. Na moment przylgnęła do niego całym ciałem. Przez cienki materiał sukienki wyczuł ciepło jej wypielegnowanej, miękkiej skóry, gwałtowne bicie serca. Wstrzymała oddech, w jej oczach coś błysnęło. W następnej chwili oparła dłonie na jego torsie, pchnęła. Puścił ją, nie stawiając oporu, ona zaś natychmiast cofnęła się o krok.

- Dziękuję - powiedziała ochryple.

- Cała przyjemność po mojej stronie - odparł dla czystej przyjemności zirytowania jej.

Resztę drogi do samochodu przebyli w milczeniu.

- Wygląda na to, że Nathan ma plany wobec ciebie i Ryana - odezwał się nagle Tucker, zaskakując nie tylko Shelly, ale i samego siebie.

- Nie wiem, o czym mówisz.

- Wiesz. - Rzucił na ziemię na wpół wypalonego papierosa, przydeptał. - Te jego swaty były mało subtelnie.

Otworzyła drzwi samochodu i stanęła za nimi jak za tarczą.

- Nie rozumiem, co tobie do tego.

Powtórzył sobie w duchu, że prowadzi tę rozmowę dla dobra przyjaciela.

- Właściwie nic. Zważywszy, co było między tobą i Ryanem, po prostu czekałem, aż powiesz staremu, żeby kazał się wypchać.

- Między mną a Ryanem było coś specjalnego.

- Przed czy po tym, jak mu podbiłaś oko?
- zainteresował się uprzejmie.

Gwałtownie wciągnęła powietrze, a Tucker był gotów błyskawicznie się uchylić, gdyby się na niego zamierzyła, ale to nie nastąpiło. Niemal czuł, jak Shelly z całych sił próbuje się opanować.

- Nie oczekiwałam, że zrozumiesz - rzekła wreszcie z godnością.

- Wątpię, czy Ryan by rozumiał - rzucił.

- Nie mam pojęcia, czemu w ogóle z tobą rozmawiam - warknęła, zapominając o godności.

- W życiu nie spotkałam równie okropnego mężczyzny.

- Miło mi, że jestem nie do pobicia.

Znów fuknęła jak kotka, wsiadła do samochodu i trzasnęła drzwiami. Kiedy uruchomiła silnik, Tucker cofnął się na wszelki wypadek. Znając jej temperament, nie zdziwiłby się, gdyby próbowała go rozjechać. Albo jednak z wiekiem złagodniała, albo nie chciała uszkodzić samochodu, ponieważ wykręciła i wyjechała z podwórza, nie poświęcając Tuckerowi nawet jednego spojrzenia.

Przypalając kolejnego papierosa, w zamyśleniu odprowadził wzrokiem oddalające się czerwone światła. Shelly nie wydawała się aż tak wkurzona pomysłem Nathana, jak Ryan. Hm, ciekawe, co z tego wyniknie.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W pewne dni nawet nie warto wstawać z łóżka, gdyż i tak wszystko pójdzie na opak. Maggie powinna była wiedzieć, że to właśnie jeden z tych dni, kiedy obudziła się i ujrzała na swojej poduszce martwą mysz. Dumny z siebie Max siedział obok, mrużąc cicho, i czekał na reakcję pani. Wskoczyła z łóżka jak oparzona, i to przesądziło sprawę, ponieważ skoro wstała, dzień potoczył się swoim torem.

Chociaż nie, miała jeszcze szansę się zastanowić i odmówić wychodzenia z domu. Mogło dać jej do myślenia to, że suszarka wleciała jej do pełnego zlewu. Trzeba było nic nie robić i natychmiast zabarykadować się w pokoju! Ale nie, Maggie wyjęła wtyczkę z kontaktu, wyłowiła suszarkę z wody i wyrzuciła ją do śmieci, mówiąc

sobie, że miała szczęście, bo suszarka nie była włączona.

Albo mogła wziąć sobie do serca kolejny zły znak, gdy zalała mlekiem porcję płatków śniadaniowych, a ono okazało się skwaśniałe. Zamiast zagrzebać się z powrotem w łóżku, w którym nie było już nieszczęsnej myszy, Maggie zjadła na śniadanie jabłko i pojechała do pracy.

To był błąd.

Właściwie nie stało się nic strasznego. Po prostu nic nie szło tak, jak powinno. W soboty w knajpie „U Billa” panował duży ruch i ta nie stanowiła wyjątku. Jak zwykle Bill otworzył o siódmej rano. Kwadrans po siódmej zadzwoniła kelnerka, która miała pracować razem z Maggie na porannej zmianie. Jej najmłodsze dziecko czymś się zatruiło, chorowało przez całą noc i oczywiście musiała zostać w domu. Już o ósmej Maggie czuła się tak, jakby wydeptała ścieżkę do kuchni, bezustannie wpadając do niej z zamówieniami i wypadając z tacami.

Oprócz okolicznych mieszkańców, którzy w drodze na targ zajeżdżali na śniadanie, zjawiali się też liczni turyści, zamierzający spędzić weekend w górach oraz kierowcy TIR-ów, jedni jadący na południe do Kolorado, inni jadący na północ do Montany lub Idaho. Wszystkim było pilno

w dalszą drogę, więc każdy chciał zostać obsłużony jak najszybciej.

Maggie nalewała kawę, przynosiła cukier i śmietankę, po czym przyjmowała zamówienia: „Sadzone, dobrze wysmażony bekon, frytki, ale migiem, dobrze?“, „Panienko, dla mnie jajka na miękko, szyneczka, aha, i dodatkowa porcja masła“, „Maggie, przynieś mi jajecznicę na kiełbasie, nie żałuj ziemniaków i dorzuć jeszcze kilka ostrych papryczek, które Bill ukrywa na zapleczu“. Witając kolejnych gości, uśmiechała się, pospiesznie bazgrała na karteczkach kolejne zamówienia, starała się dokładnie pamiętać, kto co zamawiał, i dolewała więcej kawy.

Kolo dziesiątej zabrakło cukru. Bill ostro rozmówił się z kucharzem, który zresztą był jego bratem, na temat tego, kto powinien pilnować regularnego uzupełniania zapasów. Awanturę usłyszeli klienci siedzący bliżej baru, co akurat miało dobry skutek, mianowicie jeden ze stałych gości zaofiarował się, że pójdzie do sklepu i kupi Billowi worek cukru. Ledwie ten kryzys został zażegnany, Maggie upuściła dzbanek, wylewając sobie kawę na nogi. Szczęściem w nieszczęściu nie była to gorąca kawa prosto z kuchni, ale zła passa nie ustąpiła i Maggie skaleczyła się w palec, zbierając rozbite szkło.

Reszta przedpołudnia przebiegła równie pe-

chowo. Żadna wielka katastrofa nie nastąpiła, za to seria drobnych wypadków trwała w najlepsze. A to zacięła się kasa, a to ktoś zostawił odkręconą solniczkę i danie następnego gościa znikło pod warstwą soli, a to...

O pierwszej Maggie miała wreszcie okazję, by przez moment odpocząć. Nawet nie kryjąc westchnienia ulgi, usiadła na stołku przy barze. Chwilowo nikt nie zwracał na nią uwagi. Bill rozmawiał przez telefon, Walter i Ernie jak zwykle grali z bilard, żaden z gości nie sygnalizował, że chce kawę, deser lub rachunek. Ktoś uruchomił szafę grającą i wokalistka wyśpiewywała, jaka jest szczęśliwa. Maggie żałowała, że nie może tego samego powiedzieć o sobie.

- W ciężarówce dostawczej złamała się oś - oznajmił Bill, podjeżdżając do niej po rampie za barem. - Nie dadzą rady skombinować nowej furgonetki przed poniedziałkiem. Myślisz, że goście zdemolują mi lokal, jak zabraknie piwa?

- Biorąc pod uwagę, jak wszystko się dziś układa, zdemolują lokal nawet wtedy, gdy piwa nie zabraknie - mruknęła i z wdzięcznością skinęła głową, gdy podał jej szklanekę zimnej coli. Pociągnęła duży łyk, który podziślał kojąco na jej zupełnie wyschnięte gardło. - Wierzysz w znaki?

- Nie wiem, nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Czemu pytasz?

- Dziś rano Max położył mi na poduszce martwą mysz - wyjaśniła ponuro. - Powinnam była od razu zrozumieć, że to zły znak. Przecież dzień nie może potoczyć się dobrze, skoro zaczął się tak okropnie.

Bill mrugnął wesoło.

- A co ma powiedzieć mysz? Dla niej dzień zaczął się jeszcze gorzej.

Maggie roześmiała się, pociągnęła kolejny łyk coli, poczuła, jak ustępuje lekki ból w skroniach i troszeczkę odżyła. Wokalistka skończyła przechwalać się swoim szczęściem, jej miejsce zajął piosenkarz, który dla odmiany był tak samotny, że chciało mu się płakać. Bill sięgnął po papierosa, wyciągnął jednego i przypalił, cały czas wahając się, czy poruszyć z Maggie pewien temat. Generalnie nie mieszał się do niczych spraw, gdyż doświadczenie mówiło mu, że nawet kiedy człowiek ma jak najlepsze intencje, czasami wychodzi fatalnie. Z drugiej strony naprawdę serdecznie lubił Maggie i nie chciał, by cierpiała.

Wydmuchnął dym i rzucił niby od niechcenia:

- Wczoraj zajrzał tu Burt Miller.

- I jak jego artretyzm? - zainteresowała się.
- Dokuczał mu, gdy ostatnio z nim rozmawiałam.

- Chyba jest trochę lepiej. - Strzepnął popiół do popielniczki. - Podobno to ty mu powiedziałaś, że spacerować mogą trochę pomóc.

- Czytałam kiedyś artykuł na ten temat w jakimś piśmie poświęconym zdrowiu. - Zaczęła wyginać palce, by ulżyć obolałym stopom. Jak by to było cudownie, gdyby mogła zrzucić choć na chwilę te pochłapane kawą tenisówki...

- No więc Bill zaczął spacerować po mieście. I podczas jednego ze spacerów zobaczył ciebie i Ryana w parku.

Maggie zamarła. Sądząc z tonu Billa, Burt nie trafił na moment, gdy niewinnie siedzieli na kocyku i jedli kanapki z szynką. Udało jej się zachować neutralny wyraz twarzy, ale zdradziły ją rumieńce.

- Oczywiście możesz mi powiedzieć, że to nie moja sprawa - ciągnął Bill.

Żałował, że w ogóle zaczął o tym mówić. Jego zdaniem każdy miał swój własny rozum i miał też prawo popełniać własne błędy. Jednak w Maggie było coś, co budziło w nim uczucia opiekuńcze. Ta dziewczyna troszczyła się o wszystkich nokoło i chyba nigdy nie przyszło jej do głowy, by dla odmiany pomyśleć trochę o sobie. Ktoś więc musiał zrobić to za nią.

- Nigdy bym tak do ciebie nie powiedziała - zapewniła, delikatnie dotykając spoczywającej na ładzie dłoni Billa.

- A może powinnaś - mruknął szorstko, by ukryć wzruszenie. - W każdym razie nie chcę,

żebyś potem była nieszczęśliwa. Ryan to wyjątkowo porządny facet, ale też kobiecie może być z nim ciężko ze względu na jego przeszłość. Powinnaś o tym pamiętać, zanim się naprawdę zaangażujesz.

- W nic się nie angażuję. - Ujrawszy jego uniesione brwi, zapewniła: - Naprawdę nic między nami nie ma. Po prostu wpadliśmy na siebie w sklepie, to wszystko.

- Według Burta wpadliście na siebie również w parku. - Ponieważ Maggie już chciała coś odpowiedzieć, uniósł rękę. - Nie musisz nic mówić ani niczego tłumaczyć. Ja tylko nie chcę, żebyś potem czegoś żałowała.

- Doceniam twoją troskę o mnie - odparła i pewnie dodałaby coś jeszcze, gdyby jeden z gości nie podniósł swojej filiżanki i nie pokazał, że prosi o kolejną kawę. Z trudem stłumiła jęk i zsunęła się ze stołka. - Pora wracać do kopalni - mruknęła.

Odpoczynek okazał się stanowczo za krótki, lecz z drugiej strony Maggie była zadowolona, że im przerwano i nie musi dalej rozmawiać o swoim związku z Ryanem. Chyba zresztą nie było żadnego związku, ponieważ od tamtego spotkania w parku upłynął tydzień, podczas którego Ryan nie próbował się z nią zobaczyć ani skontaktować. Tłumaczyła sobie, że wcale nie czuje

się dotknęła jego milczeniem. Na pewno nie zapomniał o niej ze względu na Noreen, bo gdyby zadzwonił do jej siostry, ta natychmiast z satysfakcją poinformowałaby o tym Maggie.

Znów otworzyły się drzwi. Zerknęła na wchodzącego gościa i poczuła bolesne rozczarowanie. Virgil Mortenson nie zachodził do knajpy od dobrych kilku dni, więc Maggie poczuła przypływ nadziei. Może wreszcie zmądrzał? Ech, sama mogłabyś zmądrzeć, zganiła się w myślach. Przecież to kompletna naiwność sądzić, że ktoś tak łatwo wyjdzie z nałogu. Westchnęła i podeszła do jego stolika.

- Witaj, Virgil. Nie widziałam cię tu ostatnio.

- Cześć, Maggie. - Zerknął na nią, lecz szybko odwrócił wzrok. - Pojechałem na kilka dni do Casper, do siostry.

- Nie wiedziałam, że masz rodzinę w Casper.

- Tylko siostrę. - Z zakłopotaniem zaczął bawić się odstającym przy brzegu stołu kawałkiem forniru. - Jest ode mnie dużo starsza. Właściwie mnie wychowała.

- Jesteście z sobą zżyci?

Wzruszył ramionami. Znowu jego spojrzenie prześlizgnęło się po twarzy Maggie i szybko uciekło w bok.

- Kiedyś byliśmy. Ale nie widziałem jej szmat czasu.

- W takim razie musiało być miło znowu ją zobaczyć.

Virgil jeszcze nigdy nie powiedział jej tyle o sobie. Maggie miała wrażenie, że ta rozmowa dokądś zmierza, lecz zupełnie nie potrafiła odgadnąć dokąd.

- Jej zdaniem zachowuję się jak skończony dureń - wyrzucił z siebie gwałtownie. - Nie warto na mnie splunąć, powiedziała.

Maggie zamrugwała. I co właściwie miała na to odpowiedzieć?

- Po prostu martwi się o ciebie.

- Bez powodu. - Podchwycił jej sceptyczne spojrzenie, zaczerwienił się i rzekł szybko: - Przecież mam pracę i mieszkanie, nie?

- Może twoja siostra uważa, że w życiu potrzeba czegoś więcej - podsunęła ostrożnie.

- Może. - Kawałek forniru, którym się bawił, ułamał się nagle z trzaskiem i został mu w palcach. Virgil popatrzył na niego z wyraźnym zaskoczeniem, po czym podniósł nieśmiałe spojrzenie na Maggie.

Uśmiechnęła się z lekką rezygnacją i wyciągnęła dłoń.

- Przepraszam - wymamrotał, podając jej ułamany kawałek.

- Przynieść ci coś do jedzenia czy wpadłeś zdemolować lokal?

' - Przyszedłem na hamburgera.

Tym razem jej uśmiech był wyjątkowo szeroki.

- Krwisty, prawda? I z frytkami? A co do picia?

- Wodę.

- A może mleko? - spytała, przekomarzając się z nim.

Po raz pierwszy, odkąd go znała, Virgil uśmiechnął się, niezbyt szeroko, ale zawsze.

- Wystarczy woda.

Maggie poszła do kuchni z rozjaśnioną twarzą. Oczywiście Virgil na pewno nie został cudownie wyleczony, ale jednak nastąpiła poprawa.

Maggie zaparkowała przed domem, wyłączyła silnik i z ulgą opadła na oparcie fotela, rozkoszując się panującą wokół ciszą. Gdyby już nikt nigdy na nią nie wołał, żeby dołała mu kawy, gdyby już nigdy nie musiała wycierać pochłapanego stołu i gdyby już nigdy nie musiała zanosić stosu naczyń do kuchni, uznałaby przed śmiercią, że jednak miała szczęśliwe życie. Na razie miała dwa dni wolnego.

Otworzyła oczy i spojrzała przed siebie. Niebo było zasłane cienką warstwą chmur, które miękko rozpraszały światło słońca. Spodziewano się deszczu, lecz Maggie liczyła na to, że zacznie padać dopiero wieczorem. Obiecała sobie miłe popołu-

dnie, co oznaczało robienie zdjęć. Bill powiedział jej o pewnej drodze prowadzącej na łąkę u samego podnóża gór, gdzie mogłaby „upolować” jakieś ciekawe rośliny i zwierzęta. To brzmiało naprawdę interesująco. Może tym razem uda jej się zobaczyć coś większego od pręgowca?

Na myśl o pręgowcach zmarszczyła brwi, gdyż natychmiast przypomniała sobie o Rynie. Nie, na razie nie chciała o nim myśleć, podobnie jak nie chciała myśleć o Virgilu i o swoich obolałych stopach. Zamierzała wykorzystać to wspaniałe miękkie światło, które nie rzucało cienia i pozwalało na zrobienie naprawdę dobrych zdjęć. Dzięki temu zrelaksuje się nieco i ten upiorny dzień przynajmniej zakończy się w miły sposób.

Gdy weszła do domu, poraziła ją panująca w nim cisza. Od trzech lat telewizor grał prawie non-stop, gdyż mama nie wyłączała go nawet wtedy, gdy raz na jakiś czas zdarzało jej się wyjść na miasto. Podobno nienawidziła wracać do kompletnie cichego domu. Lydia wyłączała telewizor dopiero wtedy, gdy szła do siebie, ale w swojej sypialni i tak natychmiast włączała mały telewizorek turystyczny.

Zdumiona Maggie zajrzała do pokoju dziennego. Siedząca na brzegu kanapy Lydia akurat zachichotała, pochylając się nad czymś, co leżało na stoliku do kawy. Noreen prawie leżała

w fotelu, leniwie wydmuchując papierosowy dym i przyglądając mu się zmrużonymi oczami.

- Słuchaj, piszą, że każdej nocy jest dancing pod gwiazdami - obwieściła podekscytowana Lydia. — Ja tak uwielbiam tańczyć!

- Powinnaś kupić sobie kieckę z rozkloszowaną spódnicą, taką, co będzie płatać się facetom między nogami podczas tańca. Takie rzeczy ich rajcują.

Lydia zachichotała.

- Koniecznie różową. Kocham różowy.

- Kup różową - zgodziła się Noreen i nagle dostrzegła stojącą w progu siostrę. W jej jasnoniebieskich oczach zamigotało rozbawienie.

- Zobacz, kto przyszedł.

- Maggie! - Matka spłoszyła się, zerwała z kanapy i zasłoniła sobą stół. - Kiedy wróciłaś?

- Przed chwilą. - Spojrzała ponad jej ramieniem i ujrzała rozrzucone na szklanym blacie kolorowe broszury. - O czym rozmawiacie?

- O bardzo przyjemnych rzeczach. Mama ma dobre wieści - oznajmiła Noreen.

- Jakie wieści, mamo?

Wzrok Lydii błędził nerwowo po pokoju, jakby szukała drogi ucieczki.

- No, ja... My obie...

Noreen wydmuchnęła dym, wyginając wargi, po czym przerwała matce, mówiąc:

- Mama postanowiła sprzedać dom. - Pochyliła się do przodu, zdusiła niedopałek w porysowanej metalowej popielniczce. - Weźmie pieniądze, przeniesie się do Los Angeles, wynajmie mieszkanie, kupi sobie nowe ubrania i popłynie w rejs, na którym przygrucha sobie nadzianego przystojniaka i wreszcie będzie mogła pożyć na odpowiednim poziomie.

- Właśnie. - Lydia wyprostowała się dumnie i rzuciła młodszej córce wyzywające spojrzenie. - Właśnie to zamierzam zrobić.

Maggie spojrzała na Noreen.

- A jeśli nie znajdzie sobie żadnego nadzianego przystojniaka, to co wtedy?

Noreen wzruszyła ramionami.

- W życiu trzeba ryzykować. Zresztą mama bez trudu złowi jakiegoś starego durnia.

- Ale nie aż tak bardzo starego - zaprotestowała Lydia, chichocząc jak nastolatka.

- Nie aż tak bardzo starego - zgodziła się Noreen. - Zrobi sobie nową fryzurę, sprawimy jej ładne ciuchy i nie będzie mogła opędzić się od facetów.

- Pewnie przy okazji pomagania jej w kompletowaniu nowej garderoby nie zapomnisz też o kupieniu czegoś dla siebie, a może i parę dolarów trafi na twoje konto? - Maggie nawet nie starała się ukryć swojej niechęci i dezaprobaty.

Słyszając oskarżycielski ton głosu siostry, No-reen wysoko uniosła brwi.

- Jeśli mama zechce mi coś dać, nie odmówię.

- Oczywiście, że coś jej dam. - Lydia patrzyła na Maggie z oburzeniem. - Czemu miałabym się z nią nie podzielić? Przecież jest moją córką.

Ja też, pomyślała Maggie, lecz nie powiedziała tego na głos, bo to i tak nic by nie dało. Czekwała, aż pojawi się znajomy ból, jaki ogarniał ją zawsze, gdy Lydia niemal ostentacyjnie dawała do zrozumienia, że młodsza córka nawet nie umywa się do starszej, takiej ładnej, bystrej i rozumiejącej potrzeby matki. Tym razem jednak poczucie krzywdy, żalu i dotkliwego smutku nie nadeszło. Zamiast tego Maggie poczuła ze zdumieniem, że... że nie czuje nic. Zupełnie, ale to zupełnie nic.

Patrzyła na mamę i siostrę, jakby spoglądała na nie ponad niewidzialnym ogrodzeniem. Zawsze znajdowała się po innej stronie muru niż one, lecz teraz uświadomiła to sobie z całą oczywistością. Zrozumiała też jeszcze coś. Po pierwsze, nie ona wzniosła mur między nimi, po drugie, jak do tej pory była jedyną osobą zainteresowaną jego obaleniem. Tamte dwie czuły się w istniejącej sytuacji bardzo dobrze.

- To mój dom i mogę z nim zrobić, co zechcę
- oznajmiła buńczucznie Lydia, chwyciła koloro-

wą broszurę o rejsach statkiem i zacisnęła ją w dłoni jak broń, którą zamierzała się bronić przed argumentami córki.

Maggie nadal przyglądała jej się bez żadnych emocji. Widziała zaniedbaną kobietę, ongiś bardzo ładną, która wyglądała na więcej niż swoje pięćdziesiąt lat. Szpeciły ją ciemne odrosty i niestaranny makijaż - plamy różu wyraźnie odcinały się od policzków ostrą linią, za grubo nałożony tusz sklejał jej rzęsy, a obwiedzione grubą czarną kreską oczy wydawały się mniejsze niż w rzeczywistości. Mina nadąsanej nastolatki jeszcze uwydatniała charakterystyczne bruzdy wokół ust, wyżłobione przez grymas wiecznego niezadowolenia.

Przeniosła wzrok na Noreen, która paliła kolejnego papierosa. Jej pełne usta wykrzywiał pełen satysfakcji uśmiešek, w oczach lśniła czysta, niezmacona złośliwość. Maggie poczuła nagle, że jest tymi dwiema śmiertelnie zmęczona. Miała dość pazerności swojej płytkiej siostry, miała dość nieodpowiedzialności matki, która nie chciała dorosnąć, miała dość swoich daremnych prób dogadania się z nimi. Nie miały sobie nic do powiedzenia, nic ich nie łączyło oprócz więzów krwi, a to jednak było za mało, by stworzyć prawdziwą rodzinę. Kiedy to sobie uświadomiła, ogarnęła ją niewypowiedziana ulga. Nie musiała

się już więcej starać. Nie musiała zadrećzać się pytaniem, co z nią jest nie tak, skoro nie potrafi zasłużyć na ich miłość. Nie musiała się już nimi przejmować.

- Masz rację - rzekła bez żadnego żalu, bez żadnego gniewu. Jej głos był zupełnie spokojny.
- To jest twój dom i możesz z nim zrobić, co zechcesz. Poszukam sobie innego.

Z twarzy Noreen znikł uśmiezek zadowolenia. Patrzyła na młodszą siostrę w absolutnym zdumieniu, lecz nawet to Maggie przyjęła obojętnie. Przedtem czułaby satysfakcję, gdyby udało jej się zszokować Noreen, ale teraz zupełnie o to nie dbała. Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i wyszła z pokoju.

Starając się nie myśleć o niczym, weszła do sypialni i wyjęła z szafki aparat fotograficzny. Oczywiście będzie musiała zastanowić się, co dalej i podjąć ważne decyzje, ale na razie musiała po prostu wyjść z tego domu. Kiedy szła korytarzem, dobiegł ją zdenerwowany głos matki, która wymieniła jej imię. Widać jej spokojna zgoda wywołała większy wstrząs, niż sprawiłby to nawet najbardziej zacięty sprzeciw. Lydia zamilkła gwałtownie, gdy zobaczyła przechodzącą córkę, lecz Maggie nawet na nią nie spojrzała, wzięła ze stojącego przy drzwiach stolika torebkę, którą tam zostawiła ledwo dziesięć minut wcześniej i opuściła dom.

Wsiadła do samochodu, przekręciła kluczyk w stacyjce, ale nie ruszyła od razu. Przez dłuższą chwilę siedziała z dłońmi zaciśniętymi na kierownicy, wpatrując się w góry, które z tej odległości wydawały się zupełnie niebieskie. Czuła w sobie kompletną pustkę. Nie wiedziała, co myśleć, wiedziała tylko, że pewien rozdział w jej życiu zakończył się bezpowrotnie.

Nie miała pojęcia, jak powinien wyglądać następny.

Ryan wszedł do lokalu Billa i przystanął na moment przy drzwiach, by przyzwyczaić wzrok do półmroku. Na zewnątrz chylące się ku zachodowi słońce oblewało wszystko pomarańczowym światłem, dziwnie ostrym w zestawieniu z grubą warstwą nadciągających czarnych chmur.

Kiedy podszedł do baru, z kuchni wyłonił się Bill. Na kolanach miał tacę pełną czystych szklaneczek i kieliszków.

- Cześć, Ryan.

- Cześć. Jak leci? - Usiadł na wysokim stołku, a Bill odstawił tacę, by sięgnąć do lodówki po puszkę z colą.

- Teraz już całkiem nieźle, za to do jakiejś drugiej... Wiesz, to jeden z tych dni, kiedy wszystko idzie pod górkę. Hej, kiedy ci zdjęli gips? - zawołał naraz, wskazując rękę Ryana.

- Dzisiaj. - Poruszył ręką i aż się skrzywił. Mięśnie miał jak z waty, nie mógł tego znieść. Powtarzał sobie, że to kwestia czasu, ale i tak był zły na swoją niesprawność.

Bill mrugnął do niego wesoło.

- To co? Siłujemy się na rękę?

Ryan roześmiał się.

- Kiedy indziej, na razie pięcioletnia dziewczynka dałaby mi wycisk. Dzięki - rzekł, gdy Bill postawił przed nim szklanę z colą i wiśniami z likieru.

- Skoro już trochę się podreperowałeś, pewnie znów pojedziesz występować na rodeo?

- Sam nie wiem. - Ryan w zamyśleniu przesunął palcami po zroszonej szklance, czując pod opuszkami przyjemną, chłodną wilgoć. - Zamierzałem z tym skończyć, ale teraz już nie jestem tego taki pewien. - Ponieważ znali się od lat i wiedział, że przyjaciel się nie obrazi, zapytał: - Nie brakuje ci tego?

- Mnie? - Zaskoczony Bill uniósł brwi i przestał ustawiać na półce czyste kieliszki i szklanki.

- Nie, wyobraź sobie. I to od całkiem dawna. Co innego, kiedy w tym wylądowałem. - Uderzył dłonią o poręcz swojego wózka. - To pewnie zabrzmia głupio, ale brakowało mi byków tak samo wściekle, jak chodzenia. - Na jego twarzy pojawił się odrobinę zakłopotany uśmiech. - Ni-

gdy nie czułem się bardziej żywy niż wtedy, kiedy siedziałem okrakiem na grzbiecie pół tony szalejącej wołowiny.

Ryan pokiwał głową.

- Wszyscy, którzy ujeżdżają byki, są zdrowo stuknięci - skwitował, ale oczywiście doskonale rozumiał, o czym Bill mówi. Nic na całym świecie nie mogło się równać z tymi ośmioma sekundami, kiedy na oczach setek lub tysięcy widzów człowiek musiał utrzymać się na grzbiecie rzucającego się zwierzęcia. Nie myślało się wtedy o niczym, tylko przeżywało się tych kilka sekund tak intensywnie, jak tylko można sobie wyobrazić. Niektórzy uzależniali się od tego uczucia jak od narkotyku.

- I co? Już nie czujesz żadnego żalu?

Bill znowu uderzył w poręcz wózka.

- W związku z tym? Nie czuję nic, z czym nie umiałbym sobie poradzić. Nie uważam się za kalekę. To sposób myślenia robi z człowieka prawdziwego kalekę, a ja na głowę nie narzekam. Do wypadku życie układało mi się całkiem dobrze. I od wypadku też układa mi się całkiem dobrze. Zresztą i tak w którymś momencie trzeba zejść z areny.

- To prawda.

Ryan zapatrzył się ponuro na rzędy butelek za plecami Billa. Kiedy leżał w szpitalu, czekając, aż

go poskładają do kupy, wszystko wydawało mu się znacznie prostsze. Wróci do domu i zamie się pracą na ranchu. Niestety, rzeczywistość okazała się bardziej skomplikowana. Między nim a dziadkiem utrzymywało się nieprzyjemne napięcie, w dodatku Nathan wbił sobie do głowy, że wyswata go z Shelly Taylor. No a jego nowa klacz wciąż patrzyła na niego spode łba i uparcie nie dawała mu się do siebie zbliżyć.

Właściwie mógł na to wszystko machnąć ręką i najzwyczajniej w świecie kupić własne rancho. Miał w banku dość pieniędzy. Nie wiedział dokładnie, ile, ponieważ nigdy dotąd nie interesował się kontem, na które powodowany poczuciem winy ojciec regularnie wpłacał przez szereg lat jakąś sumę. Na pewno starczyłoby na kawałek ziemi. Może w Montanie, gdzie było naprawdę ładnie i zielono?

Tyle tylko, że miał gdzieś Montanę. I zakładanie własnego rancha. Jego dom był tutaj, do jasnej cholery! Chciał zostać tutaj, założyć własną stadninę i, jak Bóg da, wychowywać dzieci. W jednej kwestii dziadek bez wątpienia miał rację - najwyższa pora, by Ryan przestał oglądać się za siebie i pomyślał wreszcie o przyszłości.

- Maggie już poszła do domu - poinformował go Bill, a wtedy Ryan zdał sobie sprawę z tego, że

gapi się na drzwi do kuchni w nadziei ujżenia jej, chociaż nie dostrzegł na parkingu jej samochodu.

- Niby czemu miałbym jej szukać? - zachnął się z nagłą irytacją. Czy aż tak łatwo było się zorientować, o czym myślał?

Bill uniósł wymownie jedną krzaczastą brew.

- A czemu miałbyś jej nie szukać po tym, co niedawno wyprawialiście w parku?

- Nic nie wyprawialiśmy. Pocałowałem ją.

- Ryan spochmurniał. - Czy ludzie nie mają nic lepszego do roboty, tylko łązić i sprawdzać, co robią inni?

- Wiesz, jak całujesz dziewczynę w biały dzień w samym środku miasta, to ktoś musi to zauważyć.

Z tym akurat Ryan nie mógł polemizować, co wcale nie poprawiło mu humoru. Nachmurzył się jeszcze bardziej. Bill skończył ustawiać kieliszki, sięgnął po paczkę papierosów, postukał nią o kant dłoni, by wysunąć jednego, zapalił i uważnie przyjrzał się swemu gościowi przez zasłonę błękitnego dymu.

- Planujesz coś w związku z Maggie?

Ryan z wrażenia omal nie zakrztusił się colą.

- Jezu, chyba nie pytasz, czy mam poważne zamiary?

- Jak najbardziej. - Bill przyglądał mu się spokojnie. - Lubię tę dziewczynę. Dlatego martwię się o nią. Ona sama tego nie zrobi, bo zawsze

troszczy się o innych, a jej rodzinka nie jest warta funta kłaków.

- Spotkałem jej siostrę... - mruknął Ryan, przypominając sobie lodowate oczy Noreen i jej tak obcisłe ubranie, jakby je sobie namalowała na gołym ciele.

- Ach, tę! - prychnął z obrzydzeniem Bill.
- Pracowała tu u mnie przez jakiś czas, ale jak na mój gust przesadzała, wychodząc co noc z innym gościem. Nie chciałem tu żadnych kłopotów, więc ją wylałem. I powiem ci coś jeszcze. - Wy-celował w Ryana żarzącym się czubkiem papierosa. - Ta napalona lala jest jednocześnie zimną suką. Widziałem już niejednego, którego oskubała z całej wypłaty. Byłoby uczciwiej, gdyby po prostu założyła jednoosobową agencję towarzyską i dała ogłoszenie do gazety. Matka z kolei prawie nie wychodzi z domu, podobno całymi dniami nic nie robi. Widziałem ją raz czy dwa. Resztki trwałej, fatalny makijaż, wiszące na tyłku workowate spodnie. - Potrząsnął głową. - Nie wiem, jakim cudem w podobnej rodzinie mógł się uchować ktoś taki jak Maggie.

- Czasem zdarzają się dziwne rodziny. - Ryan wpatrywał się w swoją prawie pustą szklankę.
- A odpowiadając na twoje pytanie, to nie mam żadnych sprecyzowanych planów wobec Maggie. Zresztą nie twój interes.

- Pewnie i nie mój - zgodził się Bill. - Ale nie chciałbym widzieć jej smutnej. To nie jest dziewczyna na krótką przygodę. Jakby to usłyszała któraś z tych najbardziej zawziętych feministek, to pewnie by mnie powiesiła, ale widzisz, niektóre kobiety potrzebują po prostu męża, domu, dzieci...

- Gotować pyszne obiady i wieszać firanki w oknach - dopowiedział z irytacją, pamiętając, z czym Maggie kojarzyła się Dougowi.

Bill zupełnie nie przejął się jego ostrym tonem.

- Właśnie.

Ryan dopił colę i dość gwałtownie postawił szklankę na blacie. Stuknęła głośno.

- W porządku. Czuję się ostrzeżony.

- Ja cię nie ostrzegam, tylko przypominam ci to, co pewnie już sam wiesz. - Zamachał ręką, gdy Ryan wyciągnął portfel. - Na mój koszt. Za to, że nie dałeś mi w nos, gdy go wsadziłem w nie swoje sprawy.

Ryan schował pieniądze, a na jego wargach zaigrał lekki uśmiech,

- Nie dałem ci w nos, bo nie mam z tobą szans.

- Zwinnie ześlizgnął się z wysokiego stołka.

- Powiedziałem Maggie o tej łączce nad strumieniem Bartleson Creek - zauważył Bill tak obojętnie, jakby rozmawiali o pogodzie.

- Chyba wybierała się tam dzisiaj porobić

zdjęcia. - Zaciągnął się głęboko i niespiesznie wydmuchnął długą smugę dymu. - Tak tylko mówię, gdyby to kogoś interesowało.

- Tak tylko mówisz? - powtórzył wymownym tonem Ryan, pożegnał Billa gestem dłoni i wyszedł.

Ciemne, nisko wiszące chmury zdążyły już zasłonić całe niebo. Zerwał się wiatr, zaczynało padać. W oddali przetoczył się odgłos grzmotu. O tej porze roku nad Wyomingiem często szalały burze. Ryan wskoczył za kierownicę, włączył silnik, wrzucił tylny bieg. Pod kołami zazgrzytał żwir.

Maggie mieszka tu dopiero od trzech lat, pewnie jeszcze nie zna kaprysów tutejszej pogody, pomyślał. A przecież podczas silnych opadów strumienie wzbierały gwałtownie, zdarzały się niewielkie powodzie. Mogło rozmyć drogę i uniemożliwić Maggie powrót do miasta. Jasne, mogła też zjawić się chmara szarańczy i zeżreć jej samochód, dopowiedział z ironią, jednocześnie rozbawiony i zirytowany, że próbuje oszukać sam siebie, wymyślając bzdurne wykrety. Czemu nie przyzna szczerze, że zwyczajnie chce ją znów zobaczyć?

Kiedy zjechał z asfaltowej szosy w wąską boczną drogę, padało już porządnie. Ryan czuł się

jak idiota. Maggie pewnie dawno wróciła do domu, przecież nawet osoba zupełnie nieznająca się na pogodzie dawno by się zorientowała, że nadciąga ulewa. Nie ma sensu pchać się dalej. Dopiero byłby ubaw, gdyby to on utknął gdzieś po osie w błocie i musiał na piechotę wracać w deszczu do miasta. Postanowił zawrócić, kiedy tylko dojedzie do jakiegoś szerszego miejsca, gdzie da się wykręcić.

Droga biegła przez szczyt niewielkiego pagórka i stamtąd Ryan zobaczył niecały kilometr przed sobą stojący na poboczu znajomy niebieski samochód, zwrócony przodem do niego. Sam już nie wiedział, czy na ten widok poczuł ulgę czy żal. Właściwie z różnych powodów wygodniej byłoby się z nią nie spotkać. Zatrzymał furgonetkę obok jej samochodu, w ogóle nie przejmując się tym, że w ten sposób zupełnie blokuje wąską drogę. I tak jeździł nią góra jeden wóz na miesiąc.

Za kierownicą nie ujrzał nikogo i to go trochę zaniepokoiło. Na pewno nie poszła robić zdjęć w takim deszczu. Czemu wyszła z samochodu i czemu do niego nie wróciła? Nagle wydało mu się, że coś dostrzega, więc podjechał pół metra dalej i ze zdumieniem ujrzał siedzącą na przydrożnym kamieniu kompletnie przemoczoną Maggie.

Odruchowo zaciągnął hamulec ręczny i wy-

skoczył na drogę. Od razu zaatakował go deszcz, wielkie krople zaczęły skapywać z ronda kapelusza Ryana i spływać mu za kołnierz koszuli. Zauważył, że jedno z tylnych kół ma przebitą dętkę. Maggie patrzyła na niego, lecz nawet nie drgnęła.

- Co się stało? - Przykucnął i z niepokojem przeciągnął dłońmi po jej nagich ramionach, sprawdzając, czy nie złamała sobie czegoś lub się nie poraniła. - Co ci jest?

Zamrugła powiekami, rzęsy miała zlepione od deszczu. A może od łez, ponieważ w jej oczach widniała bezbrzeżna rezygnacja.

- Złapałam gumę.
- Widzę. Ale czemu tu siedzisz?
- Nie mogłam odkręcić tych przeklętych śrub.
- Chlipnęła, potwierdzając jego podejrzenia.
- Wiem, jak zmienić koło, ale nie daję rady ich odkręcić.

- Chodźmy do samochodu - zaproponował, obejmując ją ramieniem i podnosząc z kamienia.

- I zatrzasnęłam w środku kluczyki - ciągnęła, gdy ją prowadził do furgonetki. - Złapałam gumę, nie udało mi się zmienić koła, nie mogłam wrócić do samochodu i zaczęło padać.

Ryan słuchał tego ze współczuciem i rozbawieniem jednocześnie. Mój Boże, chyba każdy by się rozpłakał z bezsilności, gdyby miał taki niefart.

- Najpierw cię osuszemy, o twój samochód będziemy się martwić później. Wskakuj! - Podsadził ją do furgonetki od strony kierowcy, gdyż oba wozy stały za blisko siebie, by mogła wsiąść od strony pasażera.

- Zamoczę całe siedzenie - jęknęła, przesu-
wając się na bok.

- Wyschnie - skwitował.

Wskoczył za nią, zdjął kapelusz i położył go na desce rozdzielczej, po czym sięgnął za fotel i wyciągnął stamtąd w miarę czysty ręcznik.

- Masz, wytrzymaj się.

Znów zaczął grzebać w kłębówisku rzeczy za siedzeniem i tym razem wyjął niemiłosiernie pogniecioną niebieską flanelową koszulę. Ponieważ Maggie nie patrzyła, powąchał ją dyskretnie. Czysta. To jest, trochę zakurzona, ale poza tym w porządku. Oczywiście, o ile nie brać pod uwagę przetartego kołnierza i naderwanego mankietu. Ryan wątpił jednak, by Maggie w obecnej sytuacji przejmowała się podobnymi drobiazgami.

Tymczasem Maggie osuszyła ręcznikiem ramiona i zaczęła wycierać włosy, całkiem zadowolona, że może schylić głowę i schować twarz. Musiała się jakoś opanować i potrzebowała na to trochę czasu.

Nie pamiętała, jak usiadła na tym kamieniu i tak została. Ostatnie, co jej utkwiło w pamięci, to

widok dyndających w stacyjce kluczyków. Nawet się nie zdziwiła. Ten dzień był tak upiorny, że coś podobnego musiało się przydarzyć. Zaczęło się od zdechłej myszy, a skończyło na przejrzeniu na wylot najbliższych osób z rodziny, z którymi odtąd nie chciała mieć już nic wspólnego.

Łzy znów zaczęły jej się cisnąć do oczu, lecz rozpaczliwie próbowała je powstrzymać. I tak już nieźle się popisała, pewnie wyszła w jego oczach na idiotkę. Nie musiała dodatkowo pogarszać sprawy, uderzając w bek. Zaczęła wycierać włosy ze zdwojoną energią i kurczowo zacisnęła powieki, walcząc ze łzami.

Ryan chwycił ją za rękę i przytrzymał.

- Wyłysiesz, jak będziesz je dalej tak tarła.

Pociągnął za ręcznik, Maggie przez moment nie chciała go oddać, gdyż dzięki niemu miała czym zasłaniać twarz, wreszcie puściła. Ryan odłożył ręcznik na bok, ujął Maggie pod brodę i unióśł jej twarz. Nadal miała zamknięte powieki - niczym dziecko, które wierzy, że kiedy nie patrzy, to samo też jest niewidzialne. Nie była jednak dzieckiem i nie mogła się łudzić w podobny sposób. Z westchnieniem otworzyła oczy.

Odległe błyskawice rozświetlały wnętrze samochodu zimnym blaskiem, w którego świetle tęczęwki Ryana wydawały się jeszcze bardziej

niebieskie. Wzrok Maggie padł na ciemny cień zarostu na jego policzkach. Miała ogromną ochotę przejechać po nich dłońmi, poczuć ich szorstkość, tak bardzo męską. Przyjemnie też byłoby odgarnąć mu z czoła gęste ciemne włosy. Był niemal piękny. Za to ona pewnie wyglądała jak wyciągnięta psu z gardła. Nie musiała przeglądać się w lusterku, żeby wiedzieć, że włosy sterczą jej wokół twarzy, oczy ma czerwone od płaczu i rozmazał jej się tusz do rzęs.

- Zły dzień, co? - spytał ze zrozumieniem Ryan.

Jego współczucie wzruszyło ją do głębi. Znów zaczęło jej się zbierać na płacz.

- Jak się obudziłam, znalazłam na poduszce martwą mysz, a to był dopiero początek. - Dzielnie próbowała się uśmiechnąć, ale jej nie wyszło.

Ryan zrobił wielkie oczy.

- Martwą mysz? - powtórzył ze zdumieniem.

- Tak. A potem utopiłam w zlewie suszarkę, i skwaśniało mleko, i Michelle zadzwoniła, że nie przyjdzie do pracy, i upuściłam sobie na nogi dzbanek z kawą, i wszyscy ciągle chcieli więcej kawy, i bekon mniej wysmażony, i bekon bardziej wysmażony. - Głos zaczął jej się rwać, lecz Maggie już nie mogła się powstrzymać, więc mówiła dalej: - I przyszedł Virgil, i powiedział, że był u... u siostry, i prawie... no, prawie

normalnie rozmawiał, więc myślałam, że z nim lepiej, a on... a on zjadł i zamówił whisky. - Wzięła chusteczkę, którą jej podał i osuszyła oczy. - A potem wróciłam do domu, a tu mama... mama zamierza go sprzedać i płynąć na głupi rejs, żeby złapać jakiegoś nadzianego starego głupca, a Noreen... Noreen jeszcze ją do tego zachęca, podczas gdy naprawdę chce dobrać się do pieniędzy. I mama zostanie bez... bez niczego. I wcale mnie nie kocha. - Zaczęła szlochać, lecz słowa płynęły dalej: - Przez te wszystkie lata stawałam na... na głowie, żeby mnie pokochała, ale ona... ona nie chce, a mnie już teraz wszystko jedno. Powiedziałam, że się wyprowadzę. - Powinna była w tym momencie zamilknąć, wiedziała o tym dobrze, lecz coś ją popychało, by powiedzieć wszystko. - Mam dwadzieścia trzy lata i nie mam... nie mam żadnych ambicji, ale nie chcę... nie chcę przez całe życie być kelnerką. - Łkając, ukryła twarz w chusteczce.

Ryan przez kilka chwil przyglądał jej się lekko zbaraniałym wzrokiem, po czym powiedział pierwsze, co mu przyszło do głowy:

- To na statkach dają teraz wędki do łapania głupców?

Z zaskoczenia aż przestała szlochać. Odechnęła głęboko, starając się uspokoić.

- Ważniejsze, czy dają przynęty - zażartowa-

ła blado. - Przepraszam, zachowuję się jak idiotka. Faktycznie, zły dzień. Jutro będzie lepiej.

- Jeśli się nie mylę, to najgorsza ze wszystkiego była ta mysz, prawda?

Na jej drżących wargach pojawił się leciutki uśmiech.

- Mniej więcej.

- Przepraszam, że pytam, w końcu to nie moja sprawa, ale skąd na twojej poduszce wzięła się mysz? Tak po prostu przyszła i zdechła?

- To był prezent od Maksa. Mojego kota - wyjaśniła, widząc jego wysoko uniesione brwi.

- Ach, rozumiem. Śniadanie do łóżka.

Poczuł się bardzo dumny z siebie, gdy zachichotała. Cóż, był typowym facetem i nie potrafił znieść kobiecych łez. To już wolałyby spotkać się oko w oko z rozszalałym bykiem. Nie wzruszał go jednak udawany płacz, który miał na innych coś wymóc. Jego matka często w ten sposób szantażowała otoczenie i Ryan bardzo szybko uodpornił się na jej sztuczki. Prawdziwych łez bał się za to jak ognia. Sally płakała rzadko. Jeśli już jej się to zdarzało, zgodnie ze swym temperamentem wybuchała prawdziwą fontanną łez, a potem szybko zapominała o wszystkim. Maggie z kolei walczyła ze łzami jak z wrogiem, któremu nie można ulec, gdyż będzie to świadczyło o słabości.

Delikatnie przejechała chusteczką pod oczami, bezskutecznie próbując wytrzeć czarne smugi tuszu.

- Muszę wyglądać jak szop pracz - mruknęła pod nosem.

Ryan przechylił głowę na bok i przyjrzał jej się z dociekliwą miną.

- Tak, da się zauważyć pewne podobieństwo - oznajmił z powagą badacza.

Ta nieoczekiwanie szczerą odpowiedź wywołała autentyczną wesołość Maggie. Zadowolony Ryan sięgnął po flanelową koszulę.

- Włóż to.

Pomógł jej się ubrać, potem troskliwie podwinął zbyt długie rękawy, bo w ogóle nie było widać jej dłoni. Dwie takie Maggie dałoby się zapakować do tej koszuli i jeszcze zostałyby trochę miejsca. Ryan nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Z tymi potarganymi wilgotnymi włosami, ciemnymi smugami na policzkach i w za dużym ubraniu wyglądała jak sierota z niemego filmu. Brakowało tylko czarnego charakteru, który śmiałby się szyderczo, podkrecając wypomadowany wąs.

Wyjął z dłoni Maggie zmiętą chusteczkę i podsunął jej do ust.

- Popluj.

Zrobiła to posłusznie, a potem siedziała bez

ruchu, gdy Ryan ostrożnie wytarł jej tusz spod oczu i z policzków.

- Zdjęli ci gips - zauważyła nagle. - Kiedy?

- Dziś rano. - Wyprostował się i popatrzył na nią, oceniając swe dzieło. - Tak lepiej.

- Dzięki. - Lekko dotknęła jego ramienia.

- I jak ręka?

- Słaba jak diabli. - Zauważywszy jej zatroskane spojrzenie, uśmiechnął się uspokajająco.

- Dojdzie do siebie, tylko potrzeba trochę czasu. Już to przerabiałem.

- Mimo to pewnie przyjemnie było pozbyć się tego gipsu.

- Tak, nie tęsknię za nim zbyt - przyznał.

Maggie usiadła wygodniej, oparła się i zasłuchiwała w bębnienie deszczu o karoserię. Grzmoty brzmiały coraz donośniej, błyskawice pojawiały się jedna za drugą.

- Burza jest coraz bliżej - zauważyła półgłosem.

Poczuła się ogromnie zmęczona. Ten dzień ją wykończył, płacz też dołożył swoje. Wiedziała, że potem będzie żałować wybuchu i zrobienia z siebie kompletnej idiotki, ale na razie nie miała siły się tym martwić. Po czymś takim Ryan już na pewno się z nią nie umówi. Dobrze jednak, że teraz był przy niej i okazywał życzliwość. Chwilowo nie potrzebowała nic więcej. Chyba

samo niebo jej go zesało w tym krytycznym momencie.

- Co ty tu właściwie robisz? - spytała.

- Wiedziałem od Billa, dokąd pojechałaś robić zdjęcia.

A więc przyjechał, by się z nią zobaczyć! Rozkoszowała się tą świadomością, chociaż teraz już nic nie mogło z tego wyniknąć. Wyszła w jego oczach na histeryczkę, Ryan więcej się do niej nie zbliży.

- Była tam łania z malutkim jelonkiem - wymruczała nieco sennie. - Powinno wyjść kilka ładnych zdjęć.

- To dobrze. - Wziął ją za rękę i zaczął się bawić jej palcami. - Podoba ci się tutaj? No, w Wyomingu.

- Bardzo. - Nie dodała, że jego dotyk podobał jej się jeszcze bardziej. - Nie wyobrażam sobie mieszkania znowu w wielkim mieście. Już nigdy.

Zacisnął dłoń na jej dłoni tak, by ich palce się splotły. Rozluźnił uścisk, a potem znów uścisnął ją mocniej, jakby coś sprawdzał. Maggie obróciła ku niemu głowę. Ryan wpatrywał się w ich złączone dłonie, ściągając brwi w głębokim namyśle. Zaintrygowało ją, nad czym tak duma, lecz na wszelki wypadek wołała nie pytać. Nie wiedziała, czy odpowiedź przypadłaby jej do

gustu. Naraz Ryan podniósł wzrok i spojrział na nią dziwnie roziskrzonymi oczami.

- Lubisz hazard?

- Nie wiem, nigdy go nie uprawiałam - odparła, zaskoczona pytaniem. Chciał z nią zagrać w karty, czy co? - Raz grałam w pokera, ale nawet nie pamiętam, czy ful bije strita, czy na odwrót.

- Nie chodzi o pokera. - Ucisnął jej rękę jeszcze mocniej, a na jego wargach zaigrał cudownie łobuzerski uśmiech, na widok którego przyspieszył jej puls. - Co myślisz o Las Vegas?

Maggie była coraz bardziej skonfundowana. O co mu chodziło?

- Nie mam pojęcia, nigdy tam nie byłam.

- A nie chciałabyś pojechać? Jeszcze dziś.

Teraz.

Aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- Teraz? Po co?

- A po co ludzie jeżdżą do Las Vegas?

- Żeby stracić w kasynie wszystkie zarobione pieniądze?

Ze śmiechem chwycił jej drugą dłoń i pociągnął, by Maggie musiała usiaść twarzą do niego.

- Żeby wziąć ślub. W Vegas dostaje się ślub od ręki.

- Owszem, słyszałam - potwierdziła ostrożnie, zastanawiając się, czy przy zdejmowaniu gipsu nie podano mu na przykład jakichś środków

przeciwbólowych, na które tak dziwnie zareagował. Zdecydowanie mówił od rzeczy.

- No to zróbmy to! - zażądał.

Nic już nie rozumiała.

- To znaczy co?

- Pobierzmy się. - Ponieważ nie odpowiedziała, tylko wpatrywała się w niego tymi swoimi szarymi oczami, okrągłymi ze zdumienia, uśmiechnął się szelmowsko i wyjaśnił: - Proszę cię o rękę, Maggie.

ROZDZIAŁ ÓSMY

To musi być stres, pomyślała. Jestem tak wykończona tym koszmarem, że zaczynam mieć halucynacje. A może walnął we mnie piorun, kiedy siedziałam na tym kamieniu i to jest jakiś rodzaj życia po życiu?

Spojrzała po sobie, lecz zamiast powłóczystej białej szaty dalej miała na sobie zakurzoną i zmiętą flanelową koszulę z naderwanym mankietem. Nie umarła więc, po śmierci nie wyglądałaby chyba jak wracający z roboty drwal?

- Maggie?-Ryan uściśnął jej dłonie, starając się przywołać ją do rzeczywistości.

Z trudem próbowała pozbierać myśli. Tak, miała halucynacje. Przynajmniej przyjemne. Potrafiła sobie wyobrazić znacznie gorsze. Oświadczyły Ryana zdecydowanie plasowały się bardzo

wysoko w jej rankingu możliwych halucynacji. Jak przez mgłę usłyszała jego głos:

- Wiem, że to brzmi trochę wariacko.

- Trochę? - Zaśmiała się nieco histerycznie.

Gwałtownie cofnęła dłonie i równie gwałtownie wzburzyła już i tak potargane włosy. - To najbardziej obłąkany, szalony, absurdalny, niedowarzony... - Urwała, gdyż w końcu dotarło do niej, że Ryan poprosił ją o rękę. I nie wyglądał na kogoś, kto postradał zmysły. - Mówisz serio? - wyszeptała.

- Jak najbardziej.

- Ale przecież... Nie, to jakieś... Nie możemy... - Uświadomiła sobie, że duka bez sensu, zamilkła, wzięła głęboki oddech, przycisnęła dłoń do mocno bijącego serca i powiedziała tylko jedno słowo: - Dlaczego?

Dobre pytanie, pomyślał. Chętnie dałby jej jakąś logiczną, w pełni racjonalną odpowiedź, ale sam nie wiedział, skąd mu ten pomysł przyszedł do głowy. Po prostu znienacka wydało mu się, że tak będzie najlepiej. Nie kierował się rozumem, tylko instynktem. Grając na zwłokę, ponownie sięgnął po jej dłoń. Czekał na natchnienie, a gdy nie chciało na niego spłynąć, odpowiedział pytaniem ma pytanie:

- A dlaczego nie?

- Dlaczego nie? - Maggie aż parsknęła. - Po-

nieważ właściwie wcale się nie znamy. Ponieważ to szaleństwo. Ponieważ normalni ludzie nie pędzą na złamanie karku do Vegas, gdy tylko strzeli im do głowy, że mogliby się pobrać.

- Jak to nie? Cały czas ktoś to robi - przekonywał Ryan.

- Tak, a sześć tygodni potem jedzie do Reno po rozwód.

Pomyślała naraz, że kiedy odrzuca się czyjeś oświadczyzny, chyba nie powinno się trzymać z nim za ręce. Nie cofnęła jednak dłoni, ponieważ palce Ryana były przyjemnie ciepłe i silne, a ona czuła się zziębnięta i dziwnie osłabiona.

Ryan Lassiter siedział tuż przed nią - prawie sto dziewięćdziesiąt centymetrów przystojnego faceta plus cudownie niebieskie oczy, i wszystko do wzięcia, a ona dawała mu kosza? Kto tu zwariował?

- Nawet nie byliśmy na randce - dodała jeszcze.

- Przecież właśnie zaprosiłem cię do Vegas, prawda? Przed ślubem możemy pójść na kolację. I do kina, jeśli chcesz. - Przybrał pełen nadziei wyraz twarzy, na co Maggie zaśmiała się jak ktoś, kto nie wie, czy ma się śmiać czy płakać.

- Kolacja, kino i ślub! Oryginalna pierwsza randka.

- Nie takie rzeczy ludzie robią - mruknął,

przyglądając się jej dłoni, która ginęła w jego ręku. - I nie każdy ślub wzięty w Las Vegas kończy się rozwodem.

- Nie każdy, kto ma kontakt z chorym na ospę, musi się zarazić, ale prawdopodobieństwo jest duże.

Zachichotał.

- Sugerujesz, że małżeństwo jest jak choroba?

- Nie. - Pokręciła głową i postarała się dojść do ładu ze swoimi myślami, by przemówić mu do rozsądku. Trudno jej jednak było się skupić, ponieważ Ryan gładził kciukiem wewnątrz jej dłoni, co nie ułatwiało Maggie zadania. - Nie mam nic przeciwko małżeństwu. Chcę wyjść za mąż, mieć dzieci, dom...

- Z kominkiem i frankami w oknach? - dopowiedział wesoło.

- Mniej więcej. - Wzruszyła ramionami.

- Wiem, to oznaka zacofania. Gdybym była nowoczesną kobietą, pojechałabym do kraju, gdzie toczy się wojna, zrobiłabym wstrząsające zdjęcia i dostała nagrodę Pulitzera, ale ja jakoś nie mam takich aspiracji. Wolę fotografować rzeczy piękne i nie przejmuję się tym, że moje zdjęcia nie zmieniają świata. - Uśmiechnęła się z pewnym zażenowaniem. - Nawet niespecjalnie zależy mi na tym, żeby ktoś je kiedyś wydrukował. Widać jestem osobą zupełnie pozbawioną ambicji.

- A czy każdy musi być nie wiadomo jak ambitny? Nie ma nic złego w tym, że człowiek chce mieć rodzinę i dom - rzekł z przekonaniem Ryan i nagle zrozumiał, jak bardzo on sam tego pragnie.

Dziadek miał rację. Te cztery lata były najzwyczajniejszą ucieczką od przeszłości i bolesnych wspomnień. Rzeczywiście najwyższa pora ożenić się ponownie. Ale nie z Shelly Taylor, którą raił mu Nathan. Nawet gdyby ona zmieniła zdanie i nie miała nic przeciw temu związkowi, Ryan nie zamierzał rozważać takiej możliwości. Długie, zgrabne nogi Shelly i jej niemal idealne rysy twarzy nie wywoływały w nim żadnej reakcji. Po prostu żadnej. Co innego Maggie. Kiedy tak patrzył na te pozwijane od wilgoci loczki w kolorze miodu, na zaróżowiony od niedawnego płaczu nos i na ten zdumiewająco uroczy krzywy przedni ząb, czuł dziwne ssanie w żołądku, jakby był głodny, bardzo głodny, i tylko ona mogła zaspokoić ten głód. Nie wiedział, co to jest, nie umiał - albo raczej nie chciał - tego nazwać. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Cokolwiek to było, zamierzał dać temu szansę. Koniecznie musiał więc przekonać Maggie, by i ona zaryzykowała.

- Na terenie rancza jest taki nieduży domek. Kominka tam nie ma, ale jak się pobierzemy,

będziesz mogła powiesić w oknach firanki, jakie tylko zechcesz. A z łazienki dla gości zrobimy ciemnię fotograficzną.

- Ryan, posłuchaj... - zaczęła, po czym umilkła, gdyż tak naprawdę nie miała pojęcia, co chce mu powiedzieć. Na pewno nie mogła przystać na jego szaloną propozycję. Na pewno? Po namyśle odezwała się: - Trudno mi uwierzyć, że mówisz to wszystko na poważnie. Nie podałeś mi żadnego sensownego powodu, dla którego miałbyś... No, dla którego mielibyśmy...

- Się pobrać - dokończył uprzejmie, ponieważ jej jakoś to nie przeszło przez gardło.

- Właśnie. Przecież nie jesteśmy w sobie zakochani - rzekła, dokładając wszelkich starań, by niczego nie zasugerować tonem głosu.

- Ale coś między nami iskrzy. Na początek wystarczy.

W tym momencie nadzieja na to, że Ryan Lassiter zakochał się w niej bez pamięci, legła w gruzach.

- To nie jest wystarczający powód - ucięła z nagłym rozdrażnieniem. Próbowwała cofnąć rękę, lecz bez większego przekonania, więc przytrzymał ją z łatwością.

- Nie jest?

Ryan wsunął drugą dłoń we włosy Maggie i pochylił się, na wszelki wypadek przytrzymując

jej głowę. Maggie jednak nie zamierzała umykać przed pocałunkiem, przeciwnie. Z błogością zamknęła oczy, ledwie poczuła na wargach delikatny dotyk ust Ryana. Od tamtego dnia w parku nie marzyła o niczym innym.

Pocałował ją lekko. I jeszcze raz. I jeszcze. Kusił i obiecywał. Obiecywał i jej, i samemu sobie. Boże, jak on za nią tęsknił. Dokładnie pamiętał jej delikatny zapach - pachniała szamponem i mydłem, co pasowało do niej bardziej niż jakiegokolwiek perfumy. Brakowało mu tego zapachu, brakowało mu tej bliskości. Unikał jej przez cały tydzień, ponieważ trochę go przerażało, że pożąda Maggie z taką intensywnością.

Tak, pragnął jej, potrzebował, i to nie tylko w tym momencie, ale przez resztę życia. Nie obchodziło go żadne „dlaczego”, nie zamierzał tego roztrząsać. Po prostu chciał się z nią ożenić, chociaż to było czyste wariactwo, niezawodna droga do katastrofy.

Zrobi wszystko, żeby Maggie się na to wariactwo zgodziła.

Kolejny pocałunek nie miał już w sobie nic z delikatnej zachęty. To był pocałunek zdobywcy, który żąda odpowiedzi, a tą odpowiedzią ma być bezwarunkowa kapitulacja.

Maggie poddała się bez śladu oporu. Oparła

dłonie na torsie Ryana, zacisnęła w palcach jego koszulę, rozchyliła usta. Pocałował ją jeszcze gwałtowniej, poznając ją, smakując, sycąc się nią. Biorąc jak swoją własność.

Przez zamknięte powieki zarejestrowała oślepiający błysk, tuż potem rozległ się niemal ogłuszający grzmot, lecz szalejące wokół samochodu siły natury wydały jej się niczym w porównaniu z tym, co działo się między nimi, co działo się w niej.

Całowano ją już przedtem. Przy Ryanie nie pamiętała już o niczym i nikim. W każdym razie na pewno żaden mężczyzna nie całował jej jeszcze w taki sposób, jakby musiał ją mieć za wszelką cenę. Ta myśl kazała jej zapomnieć o żywionych dotychczas zasadach. Otoczyła jego szyję ramionami, poddając się magii chwili.

Ryan natychmiast wyczuł jej przyzwolenie i zrobiło mu się gorąco. Wyleciało mu z głowy, że zamierzał ją do czegoś przekonywać, myślał już tylko o jednym. Chciał jeszcze i chciał więcej. Czuł, że nigdy nie będzie miał dosyć. Jego dłoń poszukała kragłej piersi, zamknęła się na niej zachłannie, napawając się jej miękkością i ciepłem. Maggie zadrżała pod dotykiem Ryana, jęknęła gardłowo, a on przeklął w myślach tych kilka warstw ubrań, które dzieliły go od jej ciała. Do diabła z tą starą koszulą, z bluzką i ze stanikiem!

Pragnął ją pieścić, pragnął poznawać smak jej skóry.

Zmienił pozycję, naparł na Maggie, wcisnął ją w fotel, lecz przy tym boleśnie uderzył łokciem w kierownicę. Spróbował inaczej i tym razem rąbnął kolaniem w dźwignię zmiany biegów. Zezłościło go to, ale i rozbawiło jednocześnie. Do licha, zapomniał już, jak to się robi z dziewczyną w samochodzie. Siedemnaście lat wcześniej radził sobie z tym bez żadnego problemu.

Z największym trudem przywołał resztki silnej woli i oderwał usta od warg Maggie. Oparł się czołem o jej czoło i zaśmiał się nieco chrapliwie.

- Jak tak dalej pójdzie, przez ciebie znowu skończę w gipsie.

Zachichotała cichutko i lekko zacisnęła palce na jego barkach, jakby miała ochotę przyciągnąć go z powrotem do siebie. Ryan omal nie powiedział, że do diabła z gipsem i że jest gotów połamać sobie wszystko. Powstrzymała go przed tym jedynie świadomość, o co tak naprawdę mu chodziło. O coś znacznie ważniejszego. Wziął się w garść, odsunął się nieco od Maggie i spojrzał w jej zamglone oczy.

- Zaryzykuj. Nie zastanawiaj się nad tym. W ogóle o tym nie myśl. Po prostu leć dziś ze mną do Las Vegas.

Na razie i tak nie bardzo potrafiła myśleć

o czymkolwiek, gdyż wciąż była porażona siłą swojego pożądanego. Nigdy w życiu nie przydarzyło jej się nic podobnego. Nie wiedziała nawet, że można odczuwać aż taki głód drugiej osoby.

Musiała się skupić. Odwróciła wzrok od Ryana, lecz to niewiele pomogło. Był tak blisko, a panujący w samochodzie półmrok zdawał się zbliżać ich do siebie jeszcze bardziej. Deszcz wciąż padał, zamykając ich w kabinie furgonetki jak w małym intymnym świecie, w którym istnieli tylko oni dwoje.

- Prawie się nie znamy - wyszeptała, chociaż jej samej ten argument nie przekonywał.

- Po ślubie będziemy mieli na to masę czasu.
- Odsunął jej włosy z twarzy, czule pogładził wrażliwą skórę za uchem. - Jedź ze mną do jaskini hazardu. Możemy wygrać.

Próbowała nie zważać na delikatną pieśczętę jego palców, co było prawie niemożliwe. Musiała jednak skoncentrować się na tym, co najważniejsze. Nie wyznał jej uczucia, nie obiecał szczęścia aż po grób. Obiecał firanki w oknach i ciemną fotograficzną. Czy dla takich rzeczy mogła zapomnieć o zdrowym rozsądku, jakim się zawsze kierowała?

I kogo ona próbowała oszukać? Przecież nie chodziło o firanki i o ciemność. Prawdziwy powód siedział przed nią. Była na najlepszej drodze do

zakochania się w nim. Poznali się niedawno, a ona zdążyła już wielokrotnie o nim marzyć. Teraz te marzenia mogły się ziścić, wystarczyło wyrazić zgodę. Tyle tylko, że w marzeniach Ryan nie mówił o ciemni, lecz o miłości.

- To co? - Wsunął dłoń w rękaw swojej starej koszuli, by pogłodzić ramię Maggie. - Rzykujemy razem? Warto spróbować, mówię ci.

Kiedy miała kilka lat, jej mama przeżyła okres zafascynowania religią. Jednocześnie Lydia przeżywała też okres zafascynowania pewnym akwizytorem z Georgii, który deklarował się jako głęboko wierzący. Mała Maggie podświadomie wyczuwała jakiś związek między tymi dwiema rzeczami, ale nie rozumiała go zupełnie. Wiedziała tylko, że od tej pory musiała spędzać niedzielne poranki w kościele, a dokładniej w podziemiach kościoła, gdzie unosił się lekki zapach stęchlizny i gdzie wysoki, przejęty i śmiertelnie poważny młody człowiek perorował, że za każdy popełniony grzech przyjdzie nam słono zapłacić. Niespełna pięcioletnia Maggie wyniosła z tych spotkań niechęć do piwnic oraz mgliste przekonanie, że grzech to coś bardzo kosztownego.

Po paru miesiącach akwizytor wrócił do Georgii, do żony i dzieci, a Lydia doszła do wniosku, że religia to jednak nic ciekawego, chociaż ma też

pewne zalety - przynajmniej raz w tygodniu jest się po co i dla kogo wystroić. W każdym razie Maggie nie musiała już więcej uczęszczać do szkółki niedzielnej.

Prawie dwadzieścia lat później i tysiące kilometrów od małego kościółka w Detroit Maggie przypomniała sobie nagle przejętego młodego człowieka, ostrzegającego gromadkę znudzonych, wierzących się dzieci przed podszeptami szatana, który podkrada się do człowieka nieopatrzenie i sączy mu do ucha słowa pokusy. Oczyma wyobraźni ujrzała Ryana z rogami i smolistym ogonem.

- Nie możemy tak po prostu lecieć do Vegas.
- Dlaczego?

Istniały miliony powodów, lecz uśmiech Ryana zmaścił jej myśli i podała najmniej istotny z nich:

- Nie mamy ubrań. Przecież musimy się w coś przebrać.
- Wszystko, co będzie nam potrzebne, kupimy na miejscu.

Ujął jej dłoń, podniósł do ust i żartobliwie zaczął skubać zębami jej palce.

- Mój samochód-jęknęła, czując ze zgrozą, jak zdrowy rozsądek naprawdę zaczynają opuszczać. Więcej takich pieścizot, a zgodzi się na każdą rzecz, jaka mu przyjdzie do głowy. - Nie mogę go tak zostawić.

- Zadzwoń na ranczo i ktoś po niego przyjdzie. W porządku?

Od dotyku jego zębów na jej skórze przebiegały ją rozkoszne ciarki.

- To nic nie da, bo kluczyki są w środku - protestowała słabo.

- Jeden z naszych kowbojów odsiadywał kiedyś niewielki wyrok za włamanie do samochodu. Na pewno poradzi sobie i tym razem.

Jęknęła cichutko, gdy Ryan zmysłowo ucałował wnętrze jej dłoni.

- To zupełne szaleństwo. - Zamierzała powiedzieć te słowa z całym przekonaniem, lecz niezbyt jej się to udało.

- W takim razie czeka nas świetna zabawa.

- Przecież nie mówimy o zabawie, tylko o małżeństwie!

- Małżeństwo to też może być świetna zabawa - oznajmił, pochylił się ku niej i wolną ręką pogładził ją lekko po policzku. - Spróbuj, Maggie. Zaryzykuj.

W żadnym wypadku, pomyślała. Mogła stopnieć jak wosk pod jego dotykiem, ale na głowę jeszcze nie upadła. W porządku, nie była ani piękna, ani specjalnie utalentowana, ani szczególnie inteligentna, za to na zdrowym rozsądku jej nie zbywało. Nie pojedzie na wariata do Las Vegas, by wziąć ślub z praktycznie nieznanym

przystojniakiem, choćby nie wiem co diabeł szeptał jej do ucha.

Duvall Avery był właścicielem Kaplicy Wiecznego Szczęścia, gdzie udzielał ślubów zakochanym parom. Chociaż dzięki temu miał z czego żyć, uważał, że minął się z powołaniem, ponieważ jego główny talent polegał na byciu drugim Elvisem Presleyem. Oczywiście po Vegas kręciła się cała masa sobowtórów Króla, lecz żaden nie umywał się do Duvalla. Przynajmniej on tak twierdził. Rodzona matka Elvisa pomyliłaby się i wzięłaby go za syna, gdyby usłyszała „Love Me Tender” w jego wykonaniu.

Mimo tych zapewnień Maggie miała pewien kłopot z wyobrażeniem go sobie szalejącego po scenie w naszywanym cekinami dopasowanym białym wdzianku, ponieważ Duvall miał metr pięćdziesiąt wzrostu i mniej więcej tyle samo w obwodzie.

- Każdy dureń z mikrofonem w łapie i taśmą z playbacku myśli, że może udawać Króla - mówił, otwierając drzwi kaplicy i zapalając światła.
- Wydaje im się, że wystarczy ufarbować włosy na czarno, krzywić wargi i ruszać biodrami jak on. Przyznaję, jest kilku, którym udaje się brzmieć prawie jak on, ale to za mało. Trzeba wczuć się w duszę Elvisa, jeśli marzy się o jego

charyzmie. - Przed ołtarzem odwrócił się i popatrzył na nich z nadzieją w oczach. - To jak, wersja ekstra? Mam się przebrać za Króla? To zajmie kilka minut. Kosztuje niewiele więcej, za to jaki efekt! Jednemu gościowi tak to się podobało, że wszystkich trzech ślubów udzielałem mu jako Elvis.

Ryan zerknął na Maggie, lecz ona wpatrywała się jak urzeczona we wściekle fioletowy neon z profilem Presleya wiszący na lewo od ołtarza. Z kolei na prawo znajdował się duży obraz przedstawiający całą sylwetkę legendarnego piosenkarza. Na szczęście z tyłu za ołtarzem znajdował się tylko nieco przykurzony bukiet sztucznych kwiatów. Ryan nie zniósłby chyba jeszcze jednego Elvisa...

Powinni byli sami poszukać kaplicy, źle zrobili, zdając się na wybór taksówkarza. Facet albo był pomyłony, albo spokrewniony z tym całym Duvalem, albo miał wyjątkowo zły gust.

- Za wersję ekstra chyba dziękujemy - odezwał się Ryan, a ponieważ Duvall miał minę, jakby chciał ich koniecznie przekonać, dodał szybko: - Tak naprawdę wolimy raczej muzykę country.

Tamten prychnął cicho, ale po chwili wzruszył ramionami.

- No, nie jest to najgorszy rodzaj muzyki. Nawet Król sięgnął do niej raz czy dwa.

Ryan wziął Maggie za rękę. Jej palce okazały się niemal lodowato zimne, więc uściśnił je, by dodać jej otuchy.

- Czy możemy zacząć? - spytał Duvalla.

- Oczywiście. - Zatarł pulchne dłonie, zapominając o swoim rozczarowaniu. - Co puścić? Mam wszystko, co Król kiedykolwiek nagrał. Ludzie najczęściej wybierają „Love Me Tender”, chociaż zdarzył się też klient, niejaki John Smith, który zamówił „Więziennego rocka”. Okazało się, że był świeżo po odsiadce i miał szczególny sentyment do tej piosenki. Przyznam, miałem podejrzenia, czy gość podał prawdziwe dane, ale jego prawo jazdy wyglądało na całkiem autentyczne, no i nie da się wykluczyć, że ktoś faktycznie nazywa się John Smith.

Ryan poczuł, jak dłoń Maggie drży w jego dłoni. Sądził, że to z powodu stresu, lecz gdy spojrział w wielkie szare oczy, ujrzał w nich ledwo skrywaną wesołość. Uśmiechnął się szeroko i mocniej uściśnił jej rękę.

- Poprzestaniemy na „Love Me Tender”
- oznajmił.

Duvall wsunął płytę do stojącego pod ścianą odtwarzacza, wrócił do ołtarza i popatrzył na nich pytająco.

- To co? Gotowi?

Pół godziny potem Maggie stała na chodniku i zastanawiała się, czy aby nie jest za późno na to, by powiedzieć, że nie, nie jest gotowa. Ani na obrączkę na swoim palcu, ani na świadectwo zawarcia małżeństwa, które Ryan schował do kieszeni zakupionej w pośpiechu marynarki.

- To powinno było dać nam do myślenia - mruknął, wskazując mechanicznego Elvisa siedzącego w oknie pomalowanej na różowo kaplicy. - Nigdy w życiu nie wysłucham już spokojnie tej piosenki.

Nie musiała pytać, której. Podczas ceremonii, ilekroć utwór dobiegł końca, Duvall, nie przerywając oracji, sięgał po pilota, kierował go w stronę odtwarzacza, naciskał odpowiedni guzik i „Love Me Tender” rozlegało się od początku. Normalnie Maggie umierałaby ze śmiechu, będąc świadkiem równie absurdalnej sytuacji, ale ten dzień z pewnością nie należał do normalnych.

- Duvall musi mnie mieć za straszego dusi-grosza, skoro nie chciałem wydać dodatkowo paru dolców na wersję ekstra - poskarżył się Ryan i z ulgą zobaczył uśmiech na twarzy Maggie. Przez ostatnie pół godziny była tak śmiertelnie poważna, że aż się obawiał, czy na sakramentalne pytanie nie odpowie „nie” zamiast „tak”. - Słuchaj, nie jesteś głodna? Ja bym mógł zjeść konia z kopytami.

To pytanie uświadomiło jej, że minęło już sporo czasu, odkąd podczas lotu wmusiła w siebie jedną kanapkę.

- Też bym coś zjadła - przyznała.

- Chodźmy więc w stronę głównej ulicy, na pewno coś znajdziemy.

Wziął ją za rękę i poszli tam, gdzie migało najwięcej bajecznie kolorowych neonów. Stres zaczął powoli opuszczać Maggie, zamiast niego ogarnęło ją jakieś dziwne odrętwienie. Niby czuła ciepło wieczoru, niby czuła dotyk Ryana, gdy ich ramiona ocierały się o siebie przypadkiem, ale wszystko wydawało jej się równie nierealne jak sen. Jedyne, co nie budziło najmniejszych wątpliwości, to fakt, że cisnęły ją nowe buty. To zresztą o czymś przypomniało Maggie.

- Dziękuję za sukienkę - powiedziała.

W ich hotelu znajdował się sklep ze strojami ślubnymi, dysponujący sukniami „dla każdej panny młodej”, jak z dumą oznajmiła sprzedawczyni. Ponieważ Maggie zdecydowanie protestowała przeciw wyszywanym perełkami strojnym sukniom z trenem, przyniesiono jej w końcu uroczą kremową sukienkę z dopasowanym gorsetem i rozkloszowanym dołem, sięgającą tuż za kolana. Hotelowy fryzjer umył Maggie włosy, podciął nieco i ułożył w miękko opadające loki, a kosmetyczka zrobiła makijaż.

- Nie ma za co, miło mi, że mogłem ci ją kupić. Jest piękna. - Ogarnął Maggie spojrzeniem i uzupełnił: - Ty jesteś piękna.

- Dziękuję.

W jej głosie usłyszał ślad niedowierzania, widać wzięła jego słowa za czczy komplement, lecz postanowił tym razem odpuścić. Miał przed sobą dużo czasu, by ją przekonać, jak bardzo mu się podoba. Całe życie. Ta myśl sprawiła mu nieoczekiwaną przyjemność.

- Byłem tu w grudniu na finale Ogólnokrajowych - odezwał się, gdy wyszli na główną ulicę, gdzie otoczyła ich powódź świateł i zgiełku. - Zwały się wtedy takie tłumy, że było aż czarno od ludzi.

- Ogólnokrajowych czego?

Spojrzał na nią zdumiony.

- Jak to czego? Ogólnokrajowych Zawodów Rodeo!

- Wybacz - powiedziała tak potulnie, że aż się uśmiechnął.

- No, tym razem ci daruję. - Z ubolewaniem potrząsnął głową i przybrał poważny wyraz twarzy. - Ale będziemy musieli zająć się twoją edukacją. Pewne rzeczy żona kowboja po prostu musi wiedzieć. - Zauważył, że drgnęła na dźwięk słowa „żona”, lecz nie skomentował tego. Pociągnął ją w stronę jednego z kasyn. - Tu możemy

coś zjeść, a potem wypróbować automaty do gry. Czuję, że dzisiaj mi się poszczęści.

Maggie dała mu się prowadzić, gdzie chciał, gdyż wreszcie dotarło do niej, że jest czyjąś żoną, i zakreśliło jej się od tego w głowie.

- Wygrałam. Naprawdę wygrałam. Wciąż nie mogę w to uwierzyć.

Powiedziała to już chyba pięćdziesiąty raz w ciągu ostatniej półgodziny. Ryan uśmiechnął się i zaprosił gestem, by Maggie wsiadła do windy.

- Uwierz. Naprawdę wygrałaś.

- Pięćset dolarów. - Popatrzyła na Ryana, jakby szukała u niego potwierdzenia.

- Pięćset dolarów plus drobne - odparł, naciskając guzik z numerem ich piętra.

- Ale ja nigdy nic nie wygrywam.

- Tym razem jednak ci się udało. - Bardzo mu się podobała taka zdumiona i zachwycona. Wyciągnął rękę i przekornie pociągnął Maggie za jeden puszysty lok. - Niepotrzebnie się wycofałaś. Trzeba było grać dalej, w takim tempie rano miałybyś w kieszeni fortunę, a właściciel kasyna na kolanach błagałby cię o litość.

- Proszę bardzo, żartuj sobie ze mnie - powiedziała z godnością. - Ale nie przypominam sobie, żebyś ty coś wygrał.

- Skłonność do przechwałek to wyjątkowo brzydka cecha.

- Zazdrość też - odparowała, obrzucając go wymownym spojrzeniem.

Winda zatrzymała się i do środka weszły dwie pary w strojach wieczorowych. Ryan przysunął się do Maggie, by zrobić miejsce nowo przybyłym. Jeden z mężczyzn wduśił guzik z numerem najwyższego piętra, gdzie znajdowała się restauracja, a któraś z kobiet zaczęła rozważać, czy zamówić połędwicę duszoną w sherry, więc było jasne, że eleganckie towarzystwo udaje się na kolację. Maggie nie miała zegarka, lecz musiało być już koło północy. No, ale przecież znajdowali się w Las Vegas. Tu granica między nocą a dniem wydawała się zatarta, gdyż tysiące neonów rozświetlało ciemność, a ruch i zgiełk nie ustawały ani na chwilę, kasyna działały przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. To było szalone miasto. Tu ludzie nie spali w nocy, tylko tkwili godzinami przy automatach albo przy stołach z ruletką. A rozsądne kobiety wychodziły za mężczyzn, których prawie nie znały.

Tym razem winda stanęła na ich piętrze. Kiedy drzwi otworzyły się, Ryan położył dłoń na plecach Maggie i tak wyszli na korytarz. To był naprawdę bardzo miły wieczór, pomyślała, szczerze zaskoczona. Ryan zabrał ją na kolację i tak

zręcznie zabawiał rozmową, że nim sobie przypomniła, że jest zbyt zdenerwowana, by cokolwiek przełknąć, skusiła się na koktajl z krewetek i zjadła pół porcji łososia. Potem udali się do jaskini hazardu.

Maggie nigdy przedtem nie była w Las Vegas, więc z dużym zainteresowaniem przyglądała się niezwykłemu widokowi. Znaleźli się w dużej sali wypełnionej rzędami mrugających automatów, przed którymi stali lub siedzieli ludzie i wpatrując się jak zahipnotyzowani w migające światła, wrzucali do otworów kolejne monety. Dało się tam dostrzec zamożne pary w wieczorowych strojach, panie w średnim wieku w kolorowych szortach, starszych panów w bermudach. Nikt z nich nie zwracał uwagi na to, co działo się wokół, wszyscy byli całkowicie pochłonięci hazardem.

- Wyglądają, jakby składali ofiary jakiemuś bożkowi - skomentowała Maggie.

Ryan zaśmiał się cicho.

- Bożkowi szczęścia. - Pociągnął ją w głąb kasyna. - Chodź. My też złożymy mu w ofierze parę drobniaków.

- Daj spokój, to nie dla mnie - zaoponowała.
- Jeszcze nigdy nie udało mi się nic wygrać. Po prostu nie mam szczęścia.

- Szczęściu trzeba pomagać. Poza tym nie

możesz przyjechać do Vegas i nie zagrać. - Sięgnął do kieszeni po monety. - Chyba nawet zabrania tego tutejsze prawo.

Maggie raczej nie miała zadatków na hazardzistkę, lecz po niedługim czasie musiała przyznać, że to jednak wciąga. Od pewnego momentu nie myślała już o wygranej, fascynowało ją samo obserwowanie przelatujących z góry na dół rysowniczków. Tak, zdecydowanie wprawiało to człowieka w pewien rodzaj transu.

Oczywiście, miło było również wygrać i schować pieniądze do niewielkiej kremowej torebki, którą miała przewieszoną przez ramię. Pięćset dolarów nie stanowiło co prawda fortuny, ale też nie było sumą do pogardzenia. Będzie za co naprawić dach... Nagle przypomniała sobie, co zaszło przed kilkoma godzinami. Nie musiała się martwić o dach domku w Willow Flat. Już tam nie mieszkała.

Przez tych kilka godzin odsuwała tę myśl od siebie i udało jej się spędzić cały wieczór w stanie dość błogiej nieświadomości. Powoli jednak zaczynała to i owo kojarzyć, a oprzytomniała zupełnie, gdy Ryan wyjął z kieszeni kartę magnetyczną, by otworzyć drzwi pokoju.

Ich pokoju.

Owszem, był to dość przestronny apartament, w którym zresztą spędzili wspólnie trochę czasu,

szykując się do ślubu, lecz wtedy Maggie miała inne problemy na głowie, takie jak: gdzie ona ma rozum, dlaczego się w ogóle na to wszystko zgodziła i czemu nie powie Ryanowi, że zmieniła zdanie.

Teraz zdania zmienić już nie mogła, a dwie sypialnie i salon nagle wydały jej się zbyt małą przestrzenią dla nich dwojga.

- Nie cierpię tych cholernych wynalazków
- wymruczał po nosie Ryan, przesuwając kartą w czytniku i czekając, aż zaświeci zielona dioda.
- Komu przeszkadzał stary dobry klucz?

Maggie przez moment żywiła nadzieję, że może karta nie zadziała, więc będą musieli spać w holu, lecz drzwi otworzyły się bez problemu. Wewnątrz paliła się stojąca lampa, rzucając ciepły, bursztynowy blask na stolik do kawy, kanapę i miękki dywan. W tym momencie nawet świątynia bogini Kali, gdzie składano ofiary z ludzi, nie wyglądałaby w oczach Maggie równie przerażająco.

- Coś nie tak? - spytał Ryan, gdy gwałtownie obróciła ku niemu głowę i spojrzała na niego dość dziwnie.

- Nie, skądże - odparła, opanowała się jakoś i zmusiła, by wejść do środka.

Słyszała, jak Ryan wchodzi za nią, a potem zamykają się drzwi. Kliknęła automatyczna zapadka. Byli sami.

Ryan odłożył kartę magnetyczną na stół i spojrzał na swoją żonę. Stała przy kanapie, miodowe światło lampy padało na jej włosy. Poczłł typowo męską satysfakcję. Naprawdę mógł się pochwalić swoją kobietą. Tak, wiedział, że w obecnych czasach nie wolno tak mówić, bo zabrania tego polityczna poprawność, ale gdy patrzył na Maggie, w ogóle o to nie dbał. Była jego kobietą i już.

Sądząc po wyrazie jej pobladłej nagle twarzy, była też kobietą śmiertelnie przerażoną.

- Możemy wezwać obsługę, jeśli jesteś głodna - zaproponował.

- Nie, dziękuję, nie trzeba. Nie jestem głodna - odparła, gdyż nie przełknęłaby chyba nawet łyżeczka wody, do tego stopnia miała ściśnięte gardło.

Ryan poluzował krawat.

- Jak ja nie cierpię tego paskudztwa. Nigdy nie udało mi się zrozumieć, jak ktoś może w tym wytrzymać cały dzień.

- Podobno do wszystkiego można się przyzwyczaić - rzekła mechanicznie, chociaż sama doskonale znała jeden wyjątek. Nigdy nie przywyknie do bycia żoną Ryana.

Tymczasem on zdjął marynarkę, rzucił ją na oparcie krzesła, w ślad za nią rzucił krawat. Kiedy rozpiął dwa górne guziki koszuli, Maggie

odwróciła oczy. Nagle uświadomiła sobie jasno, jak on jest dobrze zbudowany i silny. Mógł zrobić z nią, co tylko chciał, nie zdołałaby mu w tym przeszkodzić.

Weź się w garść, przykazała sobie w myślach. Nie panikuj. To przecież Ryan. Czasem nie trzeba znać kogoś od wieków, by wiedzieć, jakim jest człowiekiem i czego można się po nim spodziewać. On by cię nigdy celowo nie skrzywdził. Przynajmniej fizycznie, bo jeśli chodzi o złamanie serca, to jeszcze się okaże.

- Bardzo pięknie wyglądasz-odezwał się cicho.

Zerknęła na niego i pospiesznie spuściła wzrok, gdyż w jego spojrzeniu wyczytała niekłamane pożądanie.

- Dziękuję - wymamrotała. Aż ją ścisnęło w żołądku z przestachu. Nerwowo próbowała znaleźć jakiś inny temat rozmowy, najlepiej jak najbardziej neutralny. - Ładny pokój, prawda? - Pogładziła kolorowe obicie sofy. - Podoba mi się to zestawienie niebieskości i szarości. Jest naprawdę eleganckie. Nigdy nie mieszkałam w hotelu, znam tylko motele, a one są wszystkie takie same. Zupełnie pozbawione smaku. Myślałam, że hotele są tak samo nudne i brzydkie, tylko oczywiście czystsze i porządniejsze. Ale to chyba całkiem dobry hotel - paplała ze sztucznym ożywieniem. - No i jaki stąd widok!

Postanowiła podziwiać widoki, ponieważ okno znajdowało się akurat po przeciwnej stronie pokoju, niż stał Ryan.

- Zdumiewające. - Odchyliła firankę, kurczowo zaciskając na niej palce. - Tak naprawdę jesteśmy na pustyni. Aż trudno uwierzyć, prawda? Środek pustyni, a tu tylu ludzi i światła! Nie wiedziałam, że Las Vegas jest takie duże. Jak myślisz, ile ludzi może tu mieszkać?

- Jak chcesz, zadzwonię do recepcji, żeby ci przynieśli rocznik statystyczny - zaproponował Ryan cierpkim tonem.

Maggie zacisnęła powieki i oparła czoło o chłodną szybę.

- Zachowuję się jak idiotka, wiem.

- Nie. Zachowujesz się jak upiornie wesolotka przewodniczka.

- Ryan, nie mogę tego zrobić - powiedziała nagle, nie odwracając się do niego. - Nie mogę dzisiaj spać z tobą.

- W porządku. Nie musisz robić niczego, na co nie masz ochoty.

- Wiem, że powinnam - ciągnęła, jakby go nie usłyszała. - To nasza noc poślubna, a podczas nocy poślubnej ludzie powinni się kochać, ale nie jestem na to gotowa.

- A nie mogłabyś zamknąć oczu i myśleć, że to dla dobra kraju?

To pytanie było tak zdumiewające, że Maggie oderwała się od szyby, obróciła się i spojrzała na Ryana.

- Co?

- Podobno tak kiedyś radzono pannom, które wychodziły za mąż. Wiesz, to nie musiałyby trwać długo. Gdybyś chciała, mógłbym się pośpieszyć.

Aż otworzyła usta ze zdziwienia.

- Jak to?

- Przynajmniej tyle mógłbym zrobić w zamian za twoje poświęcenie dla ojczyzny.

- Kiedy to by nie było... - Urwała nagle.

- Żartujesz, prawda?

- Ja? Nie widać, że jestem zupełnie poważny?

- spytał, robiąc straszliwego zeza. Maggie nie wytrzymała i zaczęła chichotać.

Uśmiechnął się, zadowolony, że udało mu się ją rozbawić. Oczywiście podobałoby mu się znacznie bardziej, gdyby padła mu w objęcia, roznamiętniona, półprzytomna z pożądania, ale wolał, by się śmiała, niż patrzyła na niego z przestachem lub paplała bez ładu i składu, starając się ukryć zdenerwowanie.

- Ale mnie nabrałeś! Przez chwilę myślałam, że mówisz serio -przyznała. Teraz, gdy udało mu się ją rozbawić, nie czuła się już tak przerażona. Przestała bać się Ryana i jego siły, znów mu ufała.

- Przepraszam cię. To głupie, wiem, ale... Za dużo tego wszystkiego jak na jeden dzień. Wiesz, tyle się dzisiaj wydarzyło, że mam wrażenie, jakbym przed chwilą zeszła z karuzeli. Naprawdę aż kręci mi się w głowie.

- Rozumiem. W porządku. Nie ma sprawy - zapewnił, chociaż coś w nim nie chciało niczego rozumieć, uważało, że jest to cholernie nie w porządku i domagało się tej kobiety. Już, zaraz, natychmiast.

Wiedział, że mógłby ją przekonać. Zważywszy, jak była uległa w samochodzie, prawdopodobnie nie kosztowałoby go to wiele wysiłku i nie zajęło dużo czasu. Jednak rzeczywiście miała za sobą wyjątkowo stresujący dzień, a jej twarz wciąż jeszcze nie odzyskała naturalnej barwy. Sumienie wzięło górę nad pożądaniem, chociaż nie bez walki, i to dość zacieklej. Czuł się tak szlachetnie i rycersko, jak jeszcze nigdy w życiu. Po chwili pochylił się i delikatnie pocałował Maggie w czoło.

- Idź się wyspać.

- Dziękuję za wyrozumiałość - odparła, odrobinę rozczarowana i zaskoczona tym rozczarowaniem. Przecież zrobił, co chciała, prawda? Ale czemu nawet nie protestował? Czemu nie spróbował jej przekonać? Czyżby przestała mu się podobać? Może już mu nie zależało? Może

oprzytomniał i zaczął poniewczasie żałować swego szalonego pomysłu?

Nie, chyba zbyt pochopnie wyciągała wnioski. Była przemęczona i zestresowana, w takim stanie człowiek nie myśli klarownie. Życzyła więc Ryanowi dobrej nocy i poszła do swojej sypialni. W progu zatrzymała się na chwilę i posłała mu niepewny uśmiech.

- Do zobaczenia rano - rzekł i uśmiechnął się również, dzielnie odgrywając rolę rycerza.

Ledwo Maggie zamknęła za sobą drzwi, uśmiech znikł z jego twarzy. Zaciśnął powieki i jęknął cicho, lecz boleśnie. Bycie szlachetnym stanowczo zbyt dużo kosztowało. W sąsiednim pokoju znajdowała się piękna kobieta, i to tak chętna i uległa, jak tylko mężczyzna mógł sobie wymarzyć. W dodatku ta kobieta była jego żoną i właśnie trwała ich noc poślubna. A mimo to Ryana czekał jedynie zimny prysznic.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Miasteczko Willow Flat zdawało się drzemać w świetle popołudniowego słońca. Dwa samochody stały pod „Kropelką”, pojedyncze furgonetki parkowały, a to przed pocztą, a to przed apteką, a to przed filią banku, lecz poza tym nic się nie działo.

- Nic się nie zmieniło - mruknęła do siebie Maggie, rozglądając się dookoła.

Ryan usłyszał to i zerknął na nią pytającym wzrokiem.

- A czemu miałyby się zmienić?

- Właściwie nie ma żadnego powodu - przyznała, wruszając ramionami, by ukryć zakłopotanie. - Po prostu wiele się wydarzyło przez ten czas, a tutaj wszystko wciąż wygląda dokładnie tak samo.

- Nie było nas bardzo krótko - zauważył.
- Wiem...

Czuła oszołomienie na samą myśl o tym, jak niewiele czasu wystarczyło, by wywrócić całe jej życie do góry nogami. Tymczasem w miasteczku Lee Hardeman jak zwykle siedział przed siedzibą swojej gazety, wygrzewając się na słońcu i pykając fajkę. Gdy przejeżdżali, uniósł dłoń w geście pozdrowienia, Ryan zrobił to samo. Przed sklepem leżał duży płowy pies, a Bonnie Dillard zamiatała schodki. Poderwała głowę, zaciękawiona, kto przejeżdża i pomachała im. Jej brwi uniosły się nieco, gdy ujrzała ich razem.

- Myślisz, że wiedzą? - zaniepokoiła się Maggie, przypominając sobie o zamiłowaniu Bonnie do plotkowania.

- Ten pęk białych baloników, który ciągnie się za nami, mógł im dać do myślenia - odparł i zaśmiał się, gdy Maggie aż się odwróciła, by sprawdzić, czy on rzeczywiście nie przywiązał baloników do furgonetki. - Ależ ciebie łatwo nabrać! Skąd mają wiedzieć? Duvall raczej nie dorabia jako reporter lokalnej gazety, a tylko on mógłby im to zdradzić. Oczywiście i tak niedługo wszyscy się dowiedzą, nie zamierzam trzymać naszego małżeństwa w sekrecie.

- Ja też nie - zgodziła się Maggie, choć w rzeczywistości najchętniej schowałaby się

w mysią dziurę. Jakoś nie miała ochoty na rozgłaszanie tej szokującej wieści, przynajmniej dopóki sama nie przywyknie do bycia żoną Ryana, czyli przez kilka najbliższych lat.

Skęcili w boczną uliczkę prowadzącą do domu Lydii i Noreen, bo Maggie nie mogła go już nazywać swoim. Dziwnie się czuła z tą świadomością. Równie dziwnie jak z obrączką na palcu, której nie przestawała ze zdumieniem dotykać.

- Nie musisz wchodzić razem ze mną, możesz zostać w samochodzie - zasugerowała, gdy się zatrzymali i Ryan wyłączył silnik.

Drzemiący na trawniku przed sąsiednią posesją pies leniwie uniósł głowę, szczeknął raz i znów ułożył się wygodnie w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

- Maggie, jesteśmy mężem i żoną. Powinienem poznać moją teściową. - Ryan obrócił się ku niej, opierając ramię na kierownicy. - Myślisz, że twoja matka i siostra nie będą zadowolone, kiedy usłyszą o naszym ślubie? Czy to dlatego nie chcesz, żebyśmy z tobą wchodzili?

Niezadowolone? Maggie próbowała sobie wyobrazić reakcję Noreen na wieść o tym, że przystojny i zamożny Ryan Lassiter ożenił się z jej pulchną, nieatrakcyjną i niezbyt błyskotliwą siostrą. Nie, Noreen nie będzie niezadowolona. Będzie wstrząśnięta, wściekła, szydercza aż do

bólu, może nawet czymś rzuci w tę swoją niewydarzoną młodszą siostrę, która bezczelnie sprzątnęła jej przed nosa smaczny kasek. Zachowania mamy Maggie nie potrafiła tak łatwo przewidzieć, w każdym razie była pewna, że Lydia nie rozpłacze się ze szczęścia.

- Nie, nie powiedziałabym, że będą niezadowolone - odparła ostrożnie.

- W takim razie nie widzę problemu. Pójdziemy, przedstawiś mnie mamie, potem spakujesz swoje rzeczy i pojedziesz ze mną na ranczo, bo Tucker już odstawił twój samochód. - Wskazał na zaparkowany przed domem znajomy niebieski wóz.

- Czy Tucker to ten włamywacz?

- Były włamywacz - poprawił z uśmiechem.

- Nie, Tucker to moja prawa ręka i mój najlepszy przyjaciel. Do samochodów włamywał się Reggie. - Wyskoczył z furgonetki, obszedł ją dookoła, otworzył drzwi od strony pasażera, wyciągnął rękę. - Chodź i miejmy to za sobą.

Poszła jak na ścięcie. Jedyłą pociechą był fakt, że nie zauważyła samochodu Noreen, widać siostra pojechała już do pracy. Całe szczęście! Nagle zaświtało jej straszliwe podejrzenie. A jeśli Ryanowi chodziło o Noreen? Jeśli to ze względu na nią upierał się przy wejściu do domu?

- Mojej siostry nie ma - wyrwało jej się. - Nie widzę jej samochodu. Musiała pojechać do pracy.

- Nic nie szkodzi, już ją poznałem.

Maggie miała ochotę puknąć się w głowę. Zachowywała się jak paranoiczka. Przecież gdyby Ryanowi zależało na Noreen, zupełnie inaczej zabrałby się do rzeczy. Kobieto, myśl logicznie, przykazała sobie w duchu. Ale czy jeszcze to potrafiła? W końcu od dwóch dni w ogóle nie myślała trzeźwo, bo gdyby tak było, nie miałyby teraz na palcu obrączki przywiezionej z Las Vegas.

Otworzyła drzwi wejściowe i oczywiście natychmiast usłyszała telewizor. Nieznośne piski zachwytu mieszały się z nienaturalnie entuzjastycznym głosem prowadzącego teleturniej, hałaśliwie gratulującego komuś wspaniałej wygranej. Maggie nagle przyszło do głowy, że już dla tej jednej rzeczy warto było wziąć ślub i wyprowadzić się z domu - by uwolnić się od nieustannego zgiełku reklam, turniejów i telenowel. Może podświadomie wiedziała o tym i wyszła za Ryana nie dla jego cudownie niebieskich oczu, lecz po to, by uciec od „Koła fortuny”?

- Moja mama bardzo lubi oglądać telewizję - uprzedziła, nie dodając, że jest to wyjątkowo oględnie powiedziane.

- Mnóstwo ludzi lubi oglądać telewizję - odparł, nie rozumiejąc, czemu Maggie sprawia wrażenie aż tak bardzo spiętej. Może niepotrzebnie

upierał się przy tym wejściu do domu i poznaniu jej matki? Ale w ciągu ostatnich dwóch dni tyle rzeczy postawił na głowie, że przynajmniej tę jedną chciał zrobić jak należy. Tymczasem chyba powinien był poczekać albo nawet zrezygnować z tego pomysłu, gdyż Maggie miała minę skazańca idącego na szafot. Trochę ją rozumiał. Na nim samym nieco cierpła skóra na myśl o poinformowaniu dziadka o ich ślubie...

Nerwowo zerknęła na otwarte drzwi pokoju dziennego. Mama na pewno siedzi na kanapie, wpatrując się w migoczące obrazki. Co powie, gdy usłyszy nowinę? Najprawdopodobniej głośno da wyraz swemu zdumieniu, że jakikolwiek przystojny mężczyzna w ogóle zainteresował się jej młodszą nieudaną córką. Co innego, gdyby ożenił się z Noreen.

Maggie przez chwilę zastanawiała się, czy nie lepiej uniknąć tej rozmowy. Bez trudu mogliby przejść za plecami Lydii do jej pokoju, spakować rzeczy i wyjść, mama nie zauważyłaby niczego. Kusiło ją, by tak zrobić, jednak szybko odstąpiła od tego pomysłu. Nie mogła wymknąć się z domu jak złodziej, to byłoby dziecinne.

Westchnęła i zaprowadziła Ryana do pokoju dziennego. Jak zwykle panował tam półmrok, zasłony były zaciągnięte. Lydia tkwiła na kanapie, pochylona do przodu, z przejęciem patrząc na

jakaś piszcząca i podskakująca z radości uczestniczkę teleturnieju z przerażającą blond fryzurą i jeszcze bardziej przerażającym silikonowym biustem.

- Mamo? - Ponieważ Maggie nie doczekała się żadnej reakcji, powtórzyła głośniej: - Mamo?

Lydia drgnęła jak wyrwana ze snu i spytała, nie odrywając wzroku od ekranu:

- To ty, Maggie?

- Tak. Chciałam...

- Bardzo nieładnie się zachowałam. Jak mogłam tak po prostu zostawić wiadomość na sekretarce, że nie będzie cię przez dwa dni? - rzuciła Lydia ostrym tonem, nadal przyglądając się szalejącej z radości blondynce, która właśnie przyciskała gospodarza programu do swego monstrualnego sztucznego biustu. - Nawet nie raczyłaś poinformować, gdzie będziesz i jak można się z tobą skontaktować.

- Nie przyszło mi do głowy, że mogę ci być do czegoś potrzebna - odparła zaskoczona Maggie. Mama w ogóle zauważyła jej nieobecność?

Blondynka wreszcie odebrała nagrodę, teleturniej się skończył, zaczęły się reklamy.

- Noreen rozmawiała z Bobem Hesslewhite'em w sprawie sprzedaży domu. - Lydia sięgnęła po pilota, z wyraźną niechęcią ściszyła telewizor i wreszcie odwróciła się do córki, mrużąc

oczy, gdyż chwilowo nic nie widziała w półmroku. - Według niego nie ma dużego popytu na domy w tej okolicy, więc jak chcemy go sprzedać, to musimy naprawić... - Urwała, kiedy jej wzrok, przez kilka godzin wystawiony na działanie jasnych, migoczących obrazów, przyzwyczał się do mniejszej ilości światła, i spostrzegła Ryana. - Och, nie wiedziałam, że kogoś przyprowadziłaś! Dlaczego...

- Mamo, to jest Ryan Lassiter. Ryan, to Lydia Drummond. Moja matka. - Aż się skrzywiła, tak sztywno to zabrzmiało, lecz nie dała rady zdobyć się na nic więcej. Już wiedziała, czemu mama nagle jej potrzebowała.

- Lassiter? - powtórzyła Lydia, próbując skrzywić się, skąd zna to nazwisko. - Ten, którego dziadek ma w okolicy wielkie ranczo?

- Ten sam, proszę pani - potwierdził, uśmiechając się uprzejmie. - Miło mi panią poznać, pani Drummond.

- Mój Boże, muszę okropnie wyglądać! - jęknęła Lydia, bezskutecznie wygładzając potargane włosy i z zakłopotaniem poprawiając znoszony niebieski kardigan. - Nie spodziewałam się dzisiaj żadnych gości. - Próbowała sobie przypomnieć, czy umalowała się rano. Prawie na pewno tak, lecz głowy by nie dała. Obrzuciła córkę zirytowanym spojrzeniem i rzekła zimno: - Po-

winnaś była mnie uprzedzić. Wystarczyło zadzwonić.

- Przepraszam. Ja...

- Wygląda pani uroczo - wtrącił Ryan z uśmiechem, który zdołałby stopić górę lodową. - I to przeze mnie zjawiliśmy się tu bez zapowiedzi. Chciałem panią poznać.

Komplement przystojnego mężczyzny podziałał na Lydię jak dotknięcie czarodziejskiej różdżki. Rozpromieniła się i zerknęła na niego zalotnie spod posklejanych tuszem rzęs.

- Dziękuję. Naprawdę chciał mnie pan poznać?

- Naprawdę - zapewnił, choć już zaczynał żałować swojej decyzji, gdyż matka Maggie zachichotała jak nastolatka i gestem, który pewnie miał być uwodzicielski, przejechała dłońmi po biodrach, wygładzając spodnie. To znaczy, wygładziła je teoretycznie, gdyż wisiały na niej jak na strachu na wróble, fałdując się i marszcząc.

- Mamo, chciałam ci coś powiedzieć.

- Tak? - spytała obojętnie Lydia, nie odrywając szacującego spojrzenia od Ryana, który poczuł się niezręcznie. - Noreen nie ma w domu - wypaliła nagle, gdy wywnioskowała, czemu ten przystojniak się tu zjawił. To było jedyne logiczne wytłumaczenie. Wszyscy faceci kręcili się wokół jej pięknej starszej córki, co stanowiło

przedmiot dumy Lydii, ale też i zazdrości. Kiedyś tak biegali za nią, lecz czas, niestety, robił swoje.

- Wiem, że jej nie ma - skwitował Ryan. - Nie przy...

- Jest w „Kropelce”, jeśli chce się pan z nią zobaczyć.

Powinien był posłuchać Maggie i zostać w samochodzie. Ta wychudzona kobieta z przechodzoną trwałą i fatalnym makijażem zupełnie nie odpowiadała jego wyobrażeniom o matce tak cudownej dziewczyny jak Maggie. No, ale siostra też do niej nie pasowała. Zresztą Bill go przecież uprzedzał, tylko że Ryan zdążył o tym zapomnieć, zajęty czym innym.

- Jeśli mam być szczerzy...

- Mamo, poleciliśmy z Ryanem do Las Vegas i wczoraj wzięliśmy ślub - oznajmiła zdecydowanie Maggie, która postanowiła uciąć dalszą dyskusję na temat Noreen.

Lydia potrzebowała paru chwil, by dotarło do niej znaczenie słów córki. Gdy wreszcie je zrozumiała, jej bladoniebieskie oczy otworzyły się nieprawdopodobnie szeroko, równie szeroko, jak krzywo umalowane usta.

- Co... Co zrobiliście? - spytała słabo.

- Wzięliśmy ślub - powtórzyła Maggie, która sama nie mogła w to uwierzyć.

- Ale... Ale przecież wy... - Lydia bezradnie

przenosiła wzrok z jednego na drugie. - Przecież wy znacie się od niedawna.

- Czas nie odgrywa roli. - Ryan otoczył Maggie ramieniem i przytulił ją do siebie. - Człowiek po prostu wie, że trafił na właściwą osobę.

- No... No, tak... - Lydia dla odmiany rozejrzała się po pokoju, jakby szukając jakiejś pomocy. - Może chce się pan czegoś napić? - Sięgnęła po stojącą na stoliku otwartą puszkę z colą i Maggie przez moment sądziła, że jej matka poda ją gościowi. Lydia jednak kurczowo przycisnęła puszkę do piersi. - Mamy colę, mleko i sok pomarańczowy. Nie! - Zmarszczyła brwi, zastanawiając się nad czymś głęboko. - Sok już się chyba skończył.

- Proszę nie robić sobie kłopotu z mojego powodu - rzekł uprzejmie Ryan.

W ciągu następnych dziesięciu minut wymuszonej konwersacji zaczął podejrzewać, że jego teściowa jest, niestety, niespełna rozumu. W porządku, nie bełkotała bez ładu i składu ani nie widziała w pokoju jakichś nieistniejących osób, ale zdecydowanie było z nią coś nie tak. Jej wodniste oczy nieustannie błędziły dookoła, najchętniej zatrzymując się na ekranie telewizora. Następową wtedy przerwa w rozmowie, a ponieważ telewizor był wciąż ściszony,

Lydia przytomniała, jakby porażona ciszą i z wyraźnym wysiłkiem wracała spojrzeniem do nich dwojga.

Spodziewał się, że zostaną zasypani gradem pytań. Czemu polecili do Vegas? Skąd taka nagła decyzja? Gdzie będą mieszkać? Jednak Lydii zdawało się to zupełnie nie interesować. Zamiast tego powtarzała, jak bardzo jest zaskoczona, opowiedziała też, jak raz wygrała w kasynie dwieście dolarów. Dawno nie była w Las Vegas. Słyszała, że jest tam jeszcze ciekawiej niż poprzednio. Czy Ryan lubi „Koło fortuny”? Kiedy usłyszała, że nigdy nie oglądał tego programu, ożywiła się po raz pierwszy i dokładnie wyjaśniła mu zasady gry, nie ukrywając przy tym swego podziwu dla prowadzącej, która zawsze wyglądała prześlicznie.

- Nawet kiedy była w ciąży, przyjemnie było na nią patrzeć. Nie o każdej kobiecie da się to powiedzieć. - Ton Lydii sugerował, że jeśli w ciąży wygląda się brzydko, nie powinno się mieć dzieci. - Ja miałam szczęście. Prawie do samego końca nie było widać, że spodziewam się dziecka, chociaż przy Maggie trochę przytyłam. - Rzuciła córce oskarżycielskie spojrzenie, po czym nagle coś jej przyszło go głowy i wykrzyknęła triumfalnie: - Jesteś w ciąży!

Ryan poczuł, jak Maggie drgnęła gwałtownie.

Zerknął na nią i ujrzał, że cała krew odpłynęła jej z twarzy. On też był zaskoczony, lecz bardziej zaskoczyła go myśl, że nie miałby nic przeciw temu, by Maggie spodziewała się jego dziecka. Nic a nic. Przeciwnie.

- Nie, nie jestem - wycedziła przez zaciśnięte zęby i poczuła jeszcze większe upokorzenie, gdy jej matka zrobiła rozczarowaną minę. Oczywiście nie dlatego, że chciała mieć wnuka, lecz ponieważ dalej nie rozumiała, z jakiego powodu taki przystojniak postanowił ożenić się z jej nieładną córką, która przynosiła jej wstyd. - Pójdę się spakować.

Wstała z fotela. Ryan, który siedział na jego poręczy, podniósł się również. Maggie wołała na niego nie patrzeć, gdyż obawiała się, że on też zaczął się zastanawiać, czemu w ogóle się z nią ożenił.

- Pomóc ci? — zatroszczył się.

Potrząsnęła głową.

- Dziękuję, nie trzeba. Nie mam nic ciężkiego.

Nawet gdyby miała, wołała nieść to sama. Chciała wyprawić Ryana z tego domu jak najszybciej, bo po kolejnych minutach spędzonych w towarzystwie jej matki, zapewne zażąda rozwodu.

Tym razem nie upierał się przy swoim. Było

mu zresztą na rękę znaleźć się na ranczu na długo przed Maggie i przygotować dziadka na jej przyjazd. Oczywiście Nathan nigdy nie zareagowałby równie dziwacznie jak Lydia, za to mógł zareagować znacznie gwałtowniej. Ryan nie zamierzał narażać żony na wysłuchiwanie jakichś nieopatrznych uwag, które mogłyby sprawić jej przykrość.

- Do zobaczenia - powiedział i pochylił się, by ją pocałować.

Ujrzał w szarych oczach błysk zaskoczenia, a potem skupił się na smakowaniu miękkich ust Maggie. Nie spieszył się z zakończeniem pocałunku. Jej włosy pachniały hotelowym szamponem. Rozpoznał ten zapach, gdyż użył tego samego szamponu i nagle wydało mu się cholericznie podniecające, że używali tej samej łazienki, tych samych kosmetyków. Jednocześnie pomyślał z lekkim rozbawieniem, że wyposzczonemu mężczyźnie wszystko wydaje się seksowne. A on naprawdę był porządnie wyposzczony. W końcu spędził noc poślubną w towarzystwie pilota od telewizora i hotelowej Biblii, bo nic innego mu nie pozostało.

Oderwał się wreszcie od Maggie, aczkolwiek bardzo niechętnie. Kiedy ujrzał nieco zamglony wyraz jej oczu, pożałował, że nie są sami. Zerknął w stronę teściowej z cichą nadzieją, że może

sobie poszła albo w ogóle rozpląnęła się w powietrzu, ale nie, stała i gapiła się na nich, nadal nic z tego nie rozumiejąc.

- Miło mi było panią poznać, pani Drummond - zełgał grzecznie.

- Tak - odparła, a on nie wiedział, czy zgadzała się, że było mu miło, czy chciała przez to powiedzieć, że jej też.

Nathan z irytacją odepchnął od siebie stertę papierów. Jak on nienawidził tych wszystkich dokumentów, formularzy, list płac, rejestrów bydła, zeznań podatkowych, podań, zezwoleń, pism urzędowych i diabli wiedzą, czego jeszcze! Jego zdaniem piekło musiało składać się z biurka zawalonych nieustannie napływającymi świstkami do wypełnienia, bo to właśnie jest najgorsza kara, jaką można sobie wyobrazić.

Najpierw papierkową robotą zajmowała się Mary Beth, lecz od ponad trzydziestu lat Nathan był pozbawiony jej pomocy. Kiedy Ryan się ożenił, przejął ten obowiązek, lecz po śmierci Sally Nathan znowu musiał radzić sobie sam z niecierpianym zajęciem. Owszem, Ryan zgłaszał chęć porządkowania papierów, gdy na krótko wracał do domu, i początkowo dziadek z ulgą przystawał na tę propozycję, lecz potem się zbuntował. Skoro chłopak nie chce mieć

z ranczem nic wspólnego, to nie! Łaski bez. Tak więc to swemu uporowi i dumie Nathan zawdzięczał, że znów cała dokumentacja była na jego głowie.

Ubiegłej jesieni dał się wnukowi namówić na kupno komputera i drukarki, ale odmówił nauczenia się ich obsługi, gdyż w skrytości ducha liczył na to, że dzięki temu Ryan zostanie na ranczu. Niestety, wnuk dalej nie poczuwał się do odpowiedzialności i pojechał na kolejne rodeo, a nieszczęsny sprzęt stał bezużytecznie na biurku, zajmując połowę blatu, co oczywiście jeszcze bardziej zwiększało frustrację Nathana.

Wstał i przeciągnął się, by rozprostować kości. Ochłodziło się i znów zbierało się na deszcz, czuł to w stawach. Rozprostował palce, a potem zwinął dłonie w pięści. Psiakrew, strzykało w nich coraz bardziej. Tak, czas uporządkować wszystkie sprawy, bo nie wiadomo, kiedy przyjdzie na niego pora.

Ponuro łypnął na wiszący nad kominkiem portret Quintina i Marilee Lassiterów. Skoro oni dali sobie radę z Indianami, to on da sobie radę z własnym wnukiem. Ryan musi zostać na ranczu i basta. Na razie nie wydawał się zachwycony perspektywą poślubienia Shelly i ustatkowania się, lecz to kwestia czasu. Kto by nie miał ochoty

na taką piękną kobietę? Shelly ewidentnie zrezygnowała z zamiaru robienia wielkiej kariery w Hollywood i wróciła do Wyomingu na dobre. Gdyby Nathan wierzył w przeznaczenie, uznałby za zrządzenie losu fakt, że wypadek Ryana zbiegł się w czasie z powrotem Shelly Taylor. Wspaniałe zrządzenie losu.

Zmarszczył brwi. Ryan zachowywał się nieodpowiedzialnie. Zamiast wreszcie pomyśleć o przyszłości i zakreślić się wokół urodziwej sąsiadki, nim ktoś go ubiegnie, on jakby nigdy nic znikł na całe dwa dni. Pojechał do miasta, a potem zadzwonił do Tuckera, żeby ten wziął Reggiego i odstawił na miejsce czyjs samochód. Upowiedział wtedy, że nie wróci do domu przez parę dni, ale nie podał żadnego wyjaśnienia, a jeśli podał, to Tucker zachował to dla siebie.

Pograżony w myślach Nathan drgnął nagle, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Zazwyczaj słyszał, gdy ktoś zbliżał się do jego gabinetu, ale tym razem został zaskoczony. Niech to diabli, naprawdę zaczynał się starzeć. Jego irytacja wzrosła.

- Co znowu? - warknął w kierunku uchylających się drzwi, a jego nastrój nie poprawił się zbyt na widok wnuka, ponieważ przyjazdu furgonetki też nie usłyszał.

- Masz chwilę? - spytał Ryan.

- Proszę, proszę, raczyłeś wrócić. - Głos dziadka nie brzmiał szczególnie zachęcająco.

Ryan był wściekły na siebie, że czuje się niepewnie jak nastolatek, który właśnie musi się przyznać do popełnionego głupstwa.

- Owszem, wróciłem. I chciałem z tobą porozmawiać - rzekł sztywno.

- Co za zbieg okoliczności! Wyobraź sobie, że ja też chciałem z tobą porozmawiać. - Nathana ucieszył powrót wnuka, lecz chyba prędzej by pękł, niż to okazał. Ba, nie miał ochoty przyznać się przed sobą samym, jak wielką poczuł ulgę. No, ale Ryan musiał się w końcu na coś zdecydować. Stary chłop, a zachowuje się jak szczeniak. Dosyć tego. - Tobie się wydaje, że co tu jest? Hotel? - zaatakował gniewnie. - Zjawiasz się, kiedy ci się podoba, potem znikasz, zostawiając tu tę swoją szkapę, która się do niczego nie nadaje, za to żreć, owszem, potrafi. To jest ranczo, a nie organizacja charytatywna, tu każdy człowiek i każde zwierzę musi zarabiać na swoje utrzymanie, inaczej dawno poszlibyśmy z torbami. Musisz wreszcie zrozumieć...

- Wczoraj wzięłem ślub - wszedł mu w słowo Ryan.

- Nie przery... - zaczął z rozpędu Nathan i nagle dotarło do niego, co usłyszał. Zamilkł z otwartymi ustami, nie wiedząc, o co najpierw

spytać, gdyż miał ochotę zadać dziesięć pytań naraz.

Ryanowi po raz pierwszy w życiu udało się tak skutecznie zbić dziadka z tropu i poczuł z tego powodu niekłamana satysfakcję. W porządku, było to dziecinne, ale jednak ogłupiała mina dziadka sprawiła mu przyjemność. Jeden jedyny raz Nathan nie wiedział, co powiedzieć - i dobrze mu tak!

- Możesz to powtórzyć? - spytał nieswoim głosem Nathan, jednocześnie macając za sobą wyciągniętą ręką. Znalazł brzeg biurka i oparł się o nie mocno.

- Wczoraj wziąłem ślub. W Las Vegas.

- Czyli jednak dobrze słyszałem... Znam ją?
- Ochłonał już z pierwszego szoku i znów mógł myśleć jasno. -- To na pewno nie Shelly, bo rozmawiałem z nią dziś przed południem i zaprosiłem ją na jutro na kolację. Gdybyście się właśnie pobrali, chyba coś by mi powiedziała. Kto to jest?

- Nazywa się Maggie Drummond. Pochodzi z Detroit, trzy lata temu przeniosła się do Willow Flat.

- Czyli znacie się już od jakiegoś czasu?

Bezpieczniej byłoby mruknąć coś niezobowiązująco albo wręcz zełgać, ponieważ to zaoszczędziłoby obu stronom sporo nerwów. Prędzej czy

później jednak prawda i tak wyszłaby na jaw, Ryan postanowił więc od razu postawić sprawę jasno. Zrobił, co wydawało mu się słuszne, nie będzie się teraz tego wstydził.

- Spotkałem ją tego dnia, gdy Doug mnie tu przywiózł. Podrzuciliśmy ją do miasta. - Zatknął kciuki w kieszenie spodni i czekał na wybuch gniewu dziadka.

Na policzkach Nathana błyskawicznie wykwitły ceglaste plamy.

- Pojechałeś do Las Vegas wziąć ślub z kobietą, którą znasz mniej niż miesiąc?

- Zgadza się - przytaknął, nie oferując przy tym żadnego wyjaśnienia.

- Chciałeś zrobić mi na złość?

Ryan zirytował się.

- Oczywiście, że nie! Co ja jestem? Idiota?

- Właśnie próbuję to ustalić - odparł podejrzenie uprzejmym tonem dziadek. - Poślubiłeś kobietę, której nie znasz. To nie świadczy o dużej inteligencji.

- Nie powiedziałem, że jej nie znam.

- No tak, przecież znasz ją całe dwa i pół tygodnia. To rzeczywiście wystarczająco dużo czasu, by się upewnić, że chce się z kimś spędzić resztę życia.

- Nie zawsze trzeba na to dużo czasu.

- Czy zrobiłeś to, ponieważ namawiałem cię

na ożenek z Shelly? - spytał gniewnie Nathan, zaciskając palce ma blacie biurka, aż mu knykie pobielały. - A może to sposób na udowodnienie mi, że jesteś dojrzały i możesz przejąć obowiązki na ranchu?

Ryan zeszytywniał. Milcząc, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Niebo zasnuło się chmurami, w każdej chwili mogło znowu zacząć padać. W szarym świetle widział wielkie stodoły i obory, przy nich szopy z narzędziami i inne budynki gospodarcze. Spory kawałek od domu stał drugi - mniejszy, z poszarzałego z biegiem lat drewna. Mieszkali tam McIntyre'owie. Jeszcze dalej, aż po horyzont, ciągnęły się pastwiska, na które wiatr przywiewał woń górskich sosen.

To było jego miejsce na ziemi. Jego dom. Jego dziedzictwo. Zrobiłby wszystko, by go nigdy nie utracić. Jednak małżeństwo z Maggie nie tylko nie miało niczego udowadniać Nathanowi, ale również nie miało wiele wspólnego z ukochanym ranchem Ryana. W ogóle o nim nie myślał, gdy jej się oświadczał. Wciąż jeszcze nie wiedział, czemu właściwie to zrobił. To znaczy, miał pewne podejrzenia, lecz wolał się do nich nie przyznawać nawet sam przed sobą. Jeszcze nie.

Odwrócił się od okna i spojrział na dziadka.

- Ożeniłem się z Maggie, ponieważ tego chciałem. Nie chodziło mi o to, żebyś wreszcie

przystał mnie swatać z Shelly. I nie zamierzałem ci niczego udowadniać. Po prostu chciałem, by Maggie została moją żoną.

Nathan oczywiście natychmiast zauważył, że wnuk nawet słowem nie zająknął się na temat uczuć. Nie powiedział, że kocha tę kobietę. Nathan, ukrywając desperację, przejechał palcami po siwych włosach. Nagle wyraźnie poczuł ciężar swoich siedemdziesięciu trzech lat. Co on miał począć z tym nieszczęsnym chłopakiem? Ożenił się, bo coś mu nagle strzeliło do głowy. Ta dziewczyna też nie lepsza, skoro poszła na takie wariactwo.

- Drummond... - rzekł w zamyśleniu, próbując skojarzyć to nazwisko. - Czy taka jedna Drummond nie pracuje przypadkiem w „Kropelce”? To ta sama?

- To jej siostra - przyznał niechętnie, ponieważ obawiał się, że nawet do jego dziadka dotarła opinia, jaką cieszyła się Noreen. - Maggie pracuje u Billa Martina.

- Czekał, czy ja jej przypadkiem kiedyś nie widziałem? Taka mała? Z wielkimi oczami? - dodał, przypominając sobie mgliście jedną z kelnerek. Z niepokojem ściągnął brwi, gdy Ryan potakująco skinął głową. - Nic o niej nie wiem, ale słyszałem co nieco o jej siostrze. Jeśli ona jest...

- Maggie nie jest taka, jak jej siostra. Nie przypomina jej pod żadnym względem - przewrwał mu ostro, rozgniewany tym uwłaczającym jego żonie podejrzeniem. Bezwiednie przyjął dość agresywną pozycję, jakby gotując się do wymiany ciosów. - Jak masz coś do powiedzenia na temat mojego wyboru, powiedz to mnie. Tu i teraz. Jedna nieprzyjemna uwaga w obecności Maggie, a zabiorę ją i wyjedziemy stąd, nim się obejrzysz. I więcej nas nie zobaczysz.

Nathan aż uniósł brwi ze zdziwienia, słysząc autentyczną pogroźkę w głosie wnuka. Ryan nie żartował. To dawało do myślenia, ponieważ od ładnych paru lat tego chłopaka nic aż tak nie ruszyło. Zaczynał przypominać dawnego siebie. Czyżby wreszcie odżył?

- Rozumiemy się? - naciskał Ryan.

Nathan powoli skinął głową.

- Tak.

- To świetnie. - Napięte mięśnie Ryana rozluźniły się nieco. Najgorsze miał już za sobą. Dziadek przyjął wiadomość lepiej, niż można się było spodziewać. Cóż, nie otwierał szampana i nie spieszył z gratulacjami, ale też nie urządził awantury. Zawsze coś.

Pozostawało omówić szczegóły.

- Maggie niedługo przyjedzie, miała tylko

spakować swoje rzeczy. Zamieszkamy w domku cioci Grace.

Kolejna niespodzianka, pomyślał Nathan. Po ślubie z Sally młodzi mieszkali pod jego dachem.

Z domku cioci Grace korzystali od lat tylko goście, sama właścicielka nie żyła już od ponad pół wieku. Nathan pamiętał ją dobrze. Była niezamężną siostrą jego ojca, który wybudował dla niej nieduży domek na terenie swojego rancha. Mieszkała w nim przez długie lata, uprawiając mały ogródek różany i całkiem spory ogród warzywny oraz pisząc setki, jeśli nie tysiące listów do niezliczonych przyjaciół, rozsianych po całym kraju. Nathanowi została w pamięci jako energiczna starsza pani o dość ostrym języku i zaskakująco rubasznym śmiechu.

- Czemu akurat tam? - zainteresował się.

Ryan oczywiście nie zamierzał tłumaczyć dziadkowi, że przyda im się trochę prywatności, ponieważ jego żona jeszcze nie do końca została jego żoną i trzeba ją dopiero do tego nakłonić - oby jak najszybciej!

- Po pierwsze, od jakiegoś czasu dom stoi właściwie nieużywany. Po drugie, Maggie dużo fotografuje, a tam jest dodatkowa łazienka, którą będzie można przerobić na ciemnię.

Nathan przyjął to wyjaśnienie i skinął głową, jakby żadna z czterech łazienek w głównym

domu nie nadawała się do przerobienia na ciemnię. Nadal nie rozumiał, co Ryanowi strzeliło do głowy z tym ślubem, w każdym razie wnuk robił wrażenie człowieka, któremu naprawdę na czymś zależy. Nie zachowywał się już jak ktoś, kto chce jechać na kolejne rodeo, żeby wreszcie dać się zabić, bo nie ma lepszego pomysłu na życie.

Nathan był ogromnie ciekaw kobiety, która dokonała tej sztuki.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Deszcz spływał kroplami po szybach, za którymi zapadła już noc. Na kuchennym stole stał biały fajansowy kubek z herbatą tak gorącą, że jeszcze unosiła się z niej delikatna para. Za stołem siedziała Maggie i wpatrywała się w prostokątny ślad na przeciwległej ścianie, odrobinę ciemniejszy od reszty tapety. Widać kiedyś musiał wisieć tam jakiś obrazek. Ciekawe, co mogła sobie powiesić na ścianie w kuchni stara panna, która lubiła uprawiać ogródek oraz pisywać listy? Martwą naturę z natką pietruszki i kałamarnicą?

Chyba już zupełnie zgłupiałam, pomyślała. Zamknęła oczy, próbując nieco oprzytomnieć, lecz zaraz otworzyła je z powrotem, gdyż zaczęło kręcić jej się w głowie. Za dużo przeżyć jak na jeden dzień. Stanowczo za dużo. Zdążyło wyda-

rzyć się tyle, jakby od przebudzenia się w pokoju hotelowym upłynął co najmniej tydzień. Była zaledwie dziewiąta wieczorem, a jeszcze rano Maggie znajdowała się w Las Vegas, na środku pustyni w Nevadzie. Potem przyleciała z powrotem do Wyomingu, wróciła do Willow Flat i wyprowadziła się z domu, ostatecznie zamykając za sobą bardzo ważny rozdział w życiu.

Podczas pakowania się i jazdy na ranczo miała dość czasu, by wreszcie wszystko przemyśleć. Dała się namówić na kompletne wariactwo. Jedyłą rozsądną rzeczą, jaką mogła w tej sytuacji zrobić, było oddanie Ryanowi obrączki - i to przez uchylone okno, bez wysiadania z samochodu - oraz przeproszenie go i wytłumaczenie mu, że jednak popełnili pomyłkę i nie mogą być małżeństwem. Następnie, bez wdawania się w dyskusję, musi szybko odjechać. Dokądkolwiek, byle natychmiast.

Przyjechała na ranczo i zatrzymała wóz przed domem, z którego natychmiast wyszedł Ryan. Wystarczył jeden rzut oka na jego szczupłą sylwetkę i na uśmiechnięte niebieskie oczy, by Maggie zrozumiała, że nigdzie dalej nie pojedzie. Do licha z ostrożnością, pomyślała impulsywnie. Skoro już weszła do gry o wysoką stawkę, nie wycofa się. Zaryzykuje.

Potem nastąpiło spotkanie z właścicielem

rancza, dziadkiem Ryana. Aż dostała gęziej skórki, gdy po raz pierwszy napotkała przenikliwe spojrzenie równie niebieskich oczu jak u wnuka. Speszyła się, nie wiedziała, co powiedzieć i w efekcie chyba wyszła w jego oczach na zupełną idiotkę. Niezależnie od tego, co o niej myślał, Nathan Lassiter potraktował ją uprzejmie. Nie okazywał wylewnie sympatii czy życzliwości, lecz podejrzewała, że on wobec nikogo nie zachowywał się wylewnie. Nie miała mu też za złe, że przyglądał jej się z wyraźną ciekawością. Pewnie zastanawiał się, czemu jego wnuk w ogóle się z nią ożenił. Nie dziwiła mu się. Ona też się nad tym zastanawiała.

Cóż, przynajmniej nie spytał, czy jest w ciąży... Przez jej twarz przebiegł grymas bólu na samo wspomnienie uporu, z jakim matka męczyła ją tym pytaniem. Gdy Ryan odjechał, a Maggie poszła się pakować, Lydia udała się za nią i znów upewniła się, czy aby jej córka nie spodziewa się dziecka. Nie pojmowała, jak ktoś taki jak Lassiter mógł ożenić się z jej młodszą córką. Gdyby czuł się do tego zobligowany, to co innego. Maggie zaprzeczyła podejrzewaniom, ale po pięciu minutach usłyszała to samo pytanie. Za trzecim razem nie wytrzymała.

- Czy naprawdę tak trudno uwierzyć w to, że spodobałam się atrakcyjnemu mężczyźnie? - rzu-

ciła gniewnie, mocno zaciskając dłonie na brzegu walizki.

Lydia aż zamrugła oczami, zaskoczona ostrym tonem głosu zazwyczaj ugodowo nastawionej córki.

- Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało...
- Nerwowo zaczęła kręcić guzikiem kardiganu.
- Po prostu wzięliście ten ślub tak szybko i w ogóle... No i przecież poznał Noreen, więc...

- Więc ja już nie miałam szans, tak?

- wcale tak nie twierdzę - broniła się Lydia.

- Ale Noreen powiedziała, że wpadła mu w oko i...

- Myliła się - ucięła zdecydowanie Maggie, próbując przekonać zarówno matkę, jak i siebie.

Lydia jednak nadal przyglądała jej się z niedowierzaniem i chociaż Maggie powtarzała sobie, że to nie powinno jej boleć, jednak bolało. A przecież od lat wiedziała, co sądzi o niej mama. Była nieudanym dzieckiem, nie dość ładnym, nie dość zgrabnym i nie dość byстрыm, by je pokochać. Mała, pulchna córka przynosiła Lydii wstyd. Co innego Noreen.

Na wspomnienie tamtej pożegnalnej rozmowy z matką łzy zapiekły ją pod powiekami, lecz zamknęła oczy i zabroniła sobie płakać. Nie będzie już nigdy płakać przez te dwie kobiety, które ani razu nie okazały jej czułości. Więcej ciepła miała herbata stojąca przed nią na stole.

Maggie otworzyła oczy i sięgnęła po kubek. Uświadomiła sobie, że znajduje się w domu, gdzie panuje miła cisza, nie gada telewizor, nie panoszy się półnaga siostra, wyzywająca ją od grubych dziewic. To należało do przeszłości. Była od nich wolna. Uśmiechnęła się na tę myśl, upiła łyk mocnej, słodkiej herbaty i poczuła, jak miłe ciepło spływa jej do żołądka. Tak, tego właśnie potrzebowała po długim, męczącym dniu pełnym wrażeń... Z lubością przytknęła powieki, napiła się ponownie.

I taką właśnie ujrzał ją Ryan, wchodząc do kuchni - błogo uśmiechniętą, rozmarzoną. Wyglądała, jakby przypominała sobie jakieś bardzo zmysłowe doznanie lub je sobie wyobrażała. Miał nadzieję, że to drugie i że to on jest bohaterem tych marzeń, bo któżby inny? O ile to nie ten kubek z herbatą doprowadzał ją do ekstazy, pomyślał z nagłym rozczarowaniem.

Nieświadoma niczego Maggie przycisnęła ciepły kubek do skroni, w której od paru godzin czuła bolesne pulsowanie. Pomogło. Jej usta rozchyliły się lekko, gdy westchnęła z ulgą, a Ryan poczuł natychmiast, jak jego dżinsy kurczą się co najmniej o dwa rozmiary. Nie miał pojęcia, na czym to polegało, ale w obecności Maggie jego ciało od razu stawało w pogotowiu. Za to ją ekscytował kubek z herbatą! Oczywiście

Ryan nie zamierzał być o niego zazdrosny. No, może trochę. Psiakrew, oddałby pół rancza, żeby to nim się tak rozkoszowała!

Z pewnością nie miało to nastąpić tej nocy, a może nawet i nie następnej. Tylko zupełnie nieczuły mężczyzna próbowałby uwieść kobietę, która chwilowo miała za sobą tyle stresujących przeżyć i wyglądała tak, jakby byle podmuch mógł ją przewrócić. Pomyślał przez moment z lekkim żalem, że w dawnych dobrych czasach mężczyzna mógł być nieczuły i nikt nie miał mu tego za złe, lecz potem przypomniał sobie, jak wiele lat mają jeszcze przed sobą, więc w sumie jeden czy dwa dni go nie zbawią. Proszę, rycerskie postępowanie zaczynało wchodzić mu w krew. Oby mu jej tylko nie napsuło, gdy potrwa to za długo...

- Maggie? - odezwał się łagodnie, lecz ona i tak drgnęła nerwowo, gwałtownie otworzyła oczy, a na jej twarz natychmiast powrócił niepokój. Widać ciągle nie potrafiła przywyknąć do jego obecności.

- Och, wybacz - zaczęła, czując nagle wyrzuty sumienia. Przecież było tyle do zrobienia, a ona siedzi i myśli nie wiadomo o czym. Tymczasem powinna rozpakować swoje rzeczy, trochę posprzątać, sprawdzić, gdzie co jest w tym domu. - Właśnie miałam...

- Co pijesz? Herbatę? - przerwał jej.
- Tak.
- A znalazłoby się trochę i dla mnie?
- Tak, jest jeszcze parę torebek. Zagotuję wody. - Odsunęła krzesło i zaczęła się podnosić, lecz Ryan już podszedł bliżej i sięgnął po stojący na kuchni rondel.

- Nie wstawaj. - Położył dłoń na ramieniu Maggie i łagodnie posadził ją z powrotem. - Kucharz ze mnie co prawda żaden, ale wodę potrafię zagotować.

Nalał wody z kranu do rondelka i postawił go na gazie. Po zewnętrznych ścianach spłynęło parę kropel, zasyczały w zetknięciu z błękitnym płomieniem. Za oknem wciąż szumiał deszcz, poza tym panowała cisza. Spokój tej chwili podziałał na Maggie kojąco. Napięcie, jakie odczuła na widok Ryana, zelżało nieco.

- Nie wiedziałam, że kowboje piją herbatę - zauważyła, gdy wrzucił torebkę do niebieskiego kubka.

- Bo nie piją. - Oparł się biodrem o szafkę, czekając, aż woda się zagotuje. - Jedynym gorącym napojem godnym kowboja jest kawa, tak mocna, że rozpuściłaby podkowę. Ja jednak przez parę miesięcy podróżowałem z pewnym Angolem, który też występował na rodeo, no i zaraził mnie tym wyspiarskim bakcylem. Rzadko sobie

pozwalam na picie herbaty, bo gdyby mnie ktoś na tym przyłapał, nie miałbym tu życia. Dlatego nie zdradzaj mojego sekretu nikomu, dobrze?

Maggie z powagą położyła dłoń na sercu.

- Będę milczeć jak grób.

Mrugnął do niej wesoło.

- Moje życie jest teraz w twoich rękach. Jeśli piśniesz komuś choćby słówko na ten temat, wywalą mnie z KKK. Krajowego Klubu Kowbojów - wyjaśnił, widząc jej zdziwione spojrzenie.

- Tego, którego członkowie rozpoznają się po tajemnym uścisku dłoni, a w nocy po świecących znaczkach? - upewniła się, przypominając sobie ich pierwszą rozmowę.

- Dokładnie. - Wziął ściereczkę, chwycił przez nią metalową rączkę rondelka i zalał wrzątkiem herbatę. Postawił kubek na stole i usiadł naprzeciw Maggie.

- Słodzisz? - spytała uprzejmie, podsuwając mu bliżej cukiernicę.

Przyglądała się z rozbawieniem, jak on wysypuje do herbaty trzy łyżeczki cukru, i to czubate.

- Herbata bez cukru to nie herbata - oznajmił zdecydowanie.

- Cukier to biała trucizna - zacytowała.

- A czy herbata przypadkiem nie jest używką?
- odparował.

- Chyba mamy remis - przyznała z uśmiechem, coraz bardziej odprężona. Przez te stresy co i rusz wylatywało jej z głowy, że tak naprawdę bardzo, ale to bardzo lubi człowieka, którego poślubiła. I nie ma powodu, by się go obawiać, gdyż jest jej z nim dobrze.

Uśmiech Maggie ucieszył Ryana. Gdy patrzyła na niego z niepokojem, czuł się jak Sinobrody, który zamordował siedem żon. Spochmurniał nagle. Nie miał nikogo na sumieniu, lecz wciąż nie powiedział jej o Sally. Naprawdę chciał to zrobić, i to ładnych parę razy. Miał jej to wyznać w drodze do Vegas. W drodze do kaplicy. Podczas kolacji w kasynie. W drodze powrotnej. W domu jej matki. Jednak za każdym razem moment nie wydawał się właściwy.

Zresztą jego przeszłość nie miała z nimi nic wspólnego. Oczywiście nie zamierzał utrzymywać przed nią w sekrecie, że był już kiedyś żonaty. Gdyby normalnie umawiali się na randki i mieli kilka miesięcy na poznanie się, Maggie wiedziałaby o Sally na długo przed jego oświadczeniami. Ale nie umawiali się, nie zdążyli się poznać w normalny sposób i dotąd nie powiedział jej wszystkiego, więc teraz wypadnie to jakoś niezręcznie. Niemniej trzeba to w końcu zrobić.

Otworzył usta, a potem zamknął je bez słowa,

gdyż Maggie spojrzała w kierunku drzwi i uśmiechnęła się z rozczeniem.

- Max - powiedziała pieszczotliwie, zaś Ryan próbował przekonać sam siebie, że nie upadł jeszcze tak nisko, by być zazdrosnym o kota.

- Chyba już się tu zadomowił.

Łypnął na kocura podejrzliwie.

- Czy w takim razie rano znajdę na poduszce martwą mysz?

Max usiadł, owinał ogon wokół łap i popatrzył na Ryana nieodgadnionym spojrzeniem.

- Nie, on raczej nie wybierze się dziś na polowanie. - Wstała i podeszła do szafki, na której postawiła kilka puszek z jedzeniem dla kotów. - Nie najlepiej zniósł jazdę samochodem.

To było mało powiedziane. Max nie ukrywał, co myśli o wsadzeniu go do hałasującego i trzęsącego się blaszanego pudła. Miauczał przeraźliwie przez całą drogę, jakby go żywcem obdzierano ze skóry, a Maggie nie była pewna, czy od tego nie ogłuchnie. I czy nie oszaleje.

- Słuchaj, czemu on mi się tak badawczo przygląda? - spytał Ryan, gdy kot nawet nie zwrócił uwagi na szykowane mu jedzenie, choć przecież musiał wyczuć jego zapach, gdy Maggie otworzyła puszkę.

- Jest ciekawy.

- Tak? A czy nie słyszał, że ciekawość to

pierwszy stopień do piekła? - mruknął, ponieważ czuł się nieco nieswojo, gdy złotozielone ślepia nadal wpatrywały się w niego, w ogóle nie mrugając.

- Max, przestań dręczyć Ryana i chodź na kolację - zakomenderowała Maggie, stawiając na podłodze miseczkę z jedzeniem.

Max pogapił się na niego jeszcze przez chwilę, wstał, przeciągnął się leniwie i godnym krokiem podszedł do miseczki. Maggie zabrała ze stołu swój kubek, żeby go umyć. Deszcz za oknem nie ustawał. Kiedy Ryan się oświadczał, też padało, przypomniawszy sobie. Podobnie jak wtedy szumiąca kurtyna deszczu zdawała się oddzielać niewielką, intymną przestrzeń, w której się znajdowali, od reszty świata.

Ryan poruszył się na swoim krześle, a Maggie uświadomiła sobie nagle z całą ostrością, że znajdują się zupełnie sami w domu i że przyszła pora na prawdziwą noc poślubną. Poprzedniego wieczoru była zbyt przerażona, tego zaś nie do końca wiedziała, co czuje. Na pewno obawę. Ale też i podekscytowanie. Naraz na pierwszy plan wybił się popłoch - czemu nie zatroszczyła się o wygląd? Tymczasem ona wciąż chodziła z włosami podpiętymi byle jak, ponieważ dzięki temu było jej wygodniej pakować rzeczy i przenosić je do samochodu. Do tego nadal miała na sobie

niecو znoszoną niebieską bluzkę i zwykłe džinsy. Nie wyglądała ani romantycznie, ani pociągająco. Trudno się spodziewać, by w takim stanie rozpałała Ryana do białości.

Powinna była wziąć prysznic, umyć włosy, poperfumować się, włożyć seksowną nocną koszulkę i... Nagle ją zastopowało. W myślach przejrzała zawartość swojej garderoby. Sypiała wyłącznie w bawełnianych piżamach, w zależności od pory roku z długimi lub krótkimi rękawami i nogawkami. Nie posiadała nic cieniutkiego i zmysłowego. Albo chociażby kobiecego i z falbanką...

Zmarszczyła brwi, wpatrując się w kubek, który wciąż machinalnie myła. Co w takim razie miała na siebie włożyć po wykapaniu się? Przecież nie wejdzie do sypialni w noc poślubną w piżamie w białe i niebieskie paski. Może jeszcze włoży do tego bambosze? I nawinie włosy na papiloty?

- Umyjesz go na wylot.

Pogrążona w rozważaniach Maggie nie zorientowała się, że Ryan wstał od stołu i też podszedł do zlewu. Drgnęła, zaskoczona i odsunęła się, gdyż nie zdążyła się wewnętrznie przygotować na jego bliskość.

- Przepraszam, nie chciałem cię przestraszyć.

- Opłukał swój kubek i odstawił na suszarkę.

Odkąd wszedł do kuchni, skrycie oczekiwał na jakąś oznakę pożądania ze strony Maggie. Niechby zrobiła cokolwiek, co wskazywałoby, że ona tylko czeka, aż on przystąpi do dzieła. Niestety, zawiódł się srodze. W najmniejszym stopniu nie przypominała kobiety spragnionej wspaniałego seksu. Nawet jej nie dotknął, a ona odskoczyła od niego, jak porażona prądem.

- Nie ma sprawy. Po prostu nie wiedziałam, że tu jesteś. - Zaśmiała się nerwowo i przycisnęła dłoń do mocno bijącego serca. - To znaczy, wiedziałam, że tu jesteś, ale nie, że jesteś tutaj. Myślałam, że jesteś tam. No, przy stole. - Dotarło do niej, jakie głupstwa wygaduje i zamilkła gwałtownie. Zawstydzona, wbiła spojrzenie w kołnierz Ryana, chwilowo nie czując się na siłach, by patrzeć mu w twarz.

Począł cierpliwie, aż ona znów podniesie na niego wzrok.

- Maggie, nie masz powodów do obaw - zapewnił ją łagodnym tonem. - Nie musimy niczego przyspieszać na siłę, mamy przecież mnóstwo czasu. Jeśli wolisz, przeniosę moje rzeczy do pokoju gościnnego.

I polubię zimne prysznice, dodał natychmiast ponuro w myślach.

Maggie przyglądała mu się z zaskoczeniem, próbując zrozumieć, co on jej naprawdę chce

powiedzieć i co ona ma na to odrzec. W pierwszym odruchu zamierzała zaoponować - nie, nie ma najmniejszej potrzeby, by Ryan przynosił swoje rzeczy gdzie indziej. Potem jednak opadły ją wątpliwości. A co, jeśli on wolał spać w innym pokoju? Co, jeśli w ciągu tej doby, która upłynęła od wzięcia ślubu, uświadomił sobie, że wcale jej nie pragnie? Co, jeśli już zastanawiał się nad tym, jak się z tego wyplątać i planował anulowanie małżeństwa? Właściwie kto anulował małżeństwa? A jeśli tylko papież? A jak ktoś nie był katolikiem?

Chwileczkę, czy ona przypadkiem nie dawała się zanadto ponieść wyobraźni? Może on chciał być taktowny i czekał, aż ona będzie gotowa? Gdyby miała więcej doświadczenia w kwestiach damsko-męskich, umiałaby dać mu do zrozumienia, że naprawdę docenia jego delikatność, ale Ryan może już przestać być taki szlachetny, bo ona bardzo chętnie zostanie uwiedziona. Niestety, nie wiedziała, jak mu to wszystko zasignalizować. Nie była doświadczoną kobietą, tylko przeciętną, niezbyt ładną, pulchnawą i dopiero początkującą w tych sprawach Maggie Drummond. Czy może Maggie Lassiter?

- Nie wiem, jak się nazywam.

Ryan właśnie dawał się ponieść wyobraźni, zastanawiając się, co by było, gdyby po prostu

wsunął jej ręce pod bluzkę. Może Maggie westchnęłaby wtedy przyzwalająco, stała się w jego rękach miękka jak wosk, dała się zanieść do sypialni i... Jej nieoczekiwane pytanie gwałtownie wytrąciło go z rozmarzenia.

- Co?

- Nie wiem, jak się nazywam - powtórzyła, odgarniając z twarzy niesforne pasmo włosów, które wymknęło się z niedbałego koczka i opadło jej na oczy.

- Maggie? - podsunął ostrożnie, obawiając się nie na żarty, czy jego żona nie zwariowała z nadmiaru stresu.

- Nie! To jest, tak. - Zaniepokojony ton głosu Ryana i jego podejrzliwe spojrzenie rozbawiły ją. - Nie chodziło mi o imię, tylko o nazwisko. Jestem Maggie Drummond czy Maggie Lassiter? Nie ustaliliśmy tego, nawet nie rozmawialiśmy na ten temat. - Westchnęła z lekką irytacją, ponownie odsuwając z czoła uparty lok. Odczuwała coraz większe zmęczenie po ostatnich dwóch dniach, więc była zadowolona... no, prawie zadowolona z tego, że Ryan ponownie odłożył ich noc poślubną na później. - W ogóle o wielu rzeczach nie zdążyliśmy jeszcze porozmawiać.

- Nie wiem, czy o wielu, ale o kilku na pewno.

Ponownie poczuł wyrzuty sumienia z powodu utrzymywania jej w niewiedzy co do swojego

pierwszego małżeństwa. Jutro, obiecał sobie. W tym momencie nie było sensu zaczynać długiej i niełatwej rozmowy. Robiło się późno, Maggie wyglądała na znużoną. Jutro.

- A jak wolałabyś się nazywać? - spytał, pilnując się, by nie wypalić, że jego żona nosi jego nazwisko, on innej możliwości nie widzi. Proszę, wystarczy odrobinę poskrobać po cieniutkiej warstwie ucywilizowania, a spod niej natychmiast wygląda atawistyczne męskie pragnienie, by od razu wszyscy wiedzieli, co jest „moje”. Moja kobieta, mój dom, moja ziemia - moje, i od tego wara!

- Sama nie wiem.

Znów odsunęła lok z twarzy, znów opadł, więc wreszcie dała za wygraną i wyciągnęła z włosów dwie szpilki, którymi je niedbale spięła podczas pakowania. Z westchnieniem zamknęła oczy. Niesfornie skręcone połyskliwe loki rozsypały się wokół jej twarzy, a Ryanowi zaschło w ustach z wrażenia. Do diabła ze szlachetnością, pomyślał gwałtownie i wyciągnął rękę, by zanurzyć palce w tym spletanym gąszczu, który od poprzedniego dnia należał przecież do niego.

- Chwilowo w ogóle nic już nie wiem - dodała Maggie, nieświadoma jego gestu. Powiedziała to tak zmęczonym głosem, że Ryan, już niemal dotykający jej włosów, zastygł.

Przyjrzał się żonie uważniej i zauważył bladeść jej twarzy oraz cienie pod oczami. Skoro dziewczyna, która zawsze sprawiała wrażenie krzepkiej i odpornej, wyglądała mizernie, to rzeczywiście musiała być wykończona. Mamy czas, przypomniał sobie i z wysiłkiem cofnął rękę. Mamy dużo czasu.

Gdyby Maggie wiedziała, jak niewiele brakowało, by Ryan kochał się z nią na kuchennym stole, zdecydowanie poprawiłby się jej humor. Niestety, nawet tego nie podejrzewała, więc poszła sama do sypialni, cokolwiek rozczarowana. Ryan mógłby przynajmniej jakoś okazać, że wolałby spędzić tę noc z nią...

Cierpliwości, przykazał sobie w duchu. Cierpliwość to bardzo szlachetna cecha. Warto się nią wykazać. To w końcu wielka satysfakcja wiedzieć, że ma się silną wolę. I tak sobie tłumaczył, bezwiednie przyglądając się Maksowi, który starannie mył sobie pyszczek jedną łapą. Do licha, wszystkie te argumenty były do niczego. Ryan nie czuł najmniejszej satysfakcji, za to aż go skręcało z pragnienia.

Usłyszał, jak w łazience na piętrze zaczyna lecieć woda i z jękiem zamknął oczy. Natychmiast wyobraził sobie Maggie pod prysznicem - zupełnie naga, zupełnie mokra. Szybko otworzył oczy, by przegnać ten obraz. Jeszcze tylko

dzień czy dwa, pomyślał. Wytrzyma. W końcu nie był już napalonym nastolatkiem. Mógł odrobinę poczekać ze skonsumowaniem małżeństwa.

Ale nigdzie nie było powiedziane, że musiało mu się to podobać.

- I jak ci się żyje w małżeństwie? - zagadnęła Bonnie, gdy Maggie podeszła do lady z pełnym wózkiem i zaczęła z niego wyjmować zakupy.

- Jak dotąd całkiem dobrze - odparła wymijająco Maggie.

Postawiła na ladzie karton soku pomidorowego i zastanowiła się, czy jednak nie zacząć jeździć do sklepu do innego miasteczka, które było oddalone o godzinę drogi od rancza. Musiałyby przez to poświęcać więcej czasu na zakupy i więcej wydawać na benzynę, ale przynajmniej uniknęłyby tego życzliwego przesłuchania, jakie za każdym razem urządzała jej Bonnie.

- Ile to już? Ze dwa tygodnie, co? - Bonnie sprawnie wbijała ceny jedną ręką, jednocześnie drugą odsuwając na bok podliczone towary.

- Coś koło tego.

Dwa tygodnie, trzy dni i dwanaście godzin, uściśliła w duchu.

- Myślałam, że padnę trupem ze zdziwienia, gdy dowiedziałam się o waszym ślubie w Las Vegas! - oznajmiła Bonnie, ważąc banany.

- Pewnie wszyscy byli trochę zaskoczeni.

A już ja najbardziej, dodała w myślach.

- Ale pasujecie do siebie. No i każdy widzi, jak Ryanowi się podobasz. Zauważyłam to od razu tego dnia, kiedy tu przyszedł po zakupy, a niedługo potem ty weszłaś. Pamiętasz?

- Mhm - mruknęła Maggie i okrasiała to mruknięcie uśmiechem, by zadowolić Bonnie.

Jak mogłaby zapomnieć? Tamtego dnia Ryan pocałował ją po raz pierwszy. I niemalże po raz ostatni, pomyślała z nagłą irytacją i z tej frustracji tak gwałtownie postawiła na ladzie torbę z jabłkami, że musiała je niezłe poobijać.

- I udało wam się do końca utrzymać wszystko w sekrecie! - Bonnie aż pokręciła głową ze zdziwienia. - Nikt nie wiedział, co się święci. Nawet ja niczego nie podejrzewałam, chociaż niewiele się przede mną ukryje - rzekła z nieskrywaną dumą.

- Po prostu chcieliśmy uniknąć plotek i zamieszania.

Maggie nie umiałaby policzyć, ile już razy udzielała tego wyjaśnienia. W ciągu minionych dwóch tygodni chyba wszyscy z całej okolicy szukali okazji do spotkania jej. Niektórzy nawet wpadali do knajpy „U Billa” tylko po to, by wyrazić swoje zdumienie i samym ślubem Maggie z Ryanem, i tym, że do ostatniej chwili nikt nie

wiedział o ich związku. Dopiero by się zdziwili na wieść, że żadnego związku nie było - ani przed ślubem... ani po! Maggie w odpowiedzi uśmiechała się grzecznie i wygłaszała przygotowaną formułkę. A może powinna zamówić sobie koszulkę z nadrukowanym napisem: „Tak, Ryan Lassiter ożenił się ze mną, ale ja też nie wiem, dlaczego”? Zaoszczędziłaby sobie i innym kłopotu. Tym razem prawie walnęła o ladę solidnym kawałkiem bekonu.

- To wam się udało. I to w stu procentach!
- Bonnie zaśmiała się i podliczyła pół kilo żółtego sera. - Właściwie czemu jeszcze pracujesz u Billa? Mogłabyś dzielić czas między świeżo poślubionego męża a twoje ukochane zdjęcia. Przecież nie potrzebujesz zarabiać. Lassiterowie mają wystarczająco duży dochód.

- W dzisiejszych czasach wiele kobiet pracuje poza domem - odparła Maggie, oczywiście nie zamierzając zdradzać prawdziwego powodu. Otóż praca była jedyną rzeczą, która nie zmieniła się w jej życiu, więc wydawała się czymś pewnym i rzeczywistym, podczas gdy wszystko inne stało na głowie. Trzymała się jej kurczowo, by nie zwariować. Ona, która tak niedawno marzyła o tym, by już nie być kelnerką!

- To prawda. Ale zabij mnie, nie wiem, dlaczego. Co innego, kiedy ktoś ma pracę, którą

kocha. Ale taka zwykła harówka? Rzuć ją szybko, dobrze ci radzę i wykorzystaj te trochę czasu, które teraz będziesz miała. Jak przyjdą dzieci, to dopiero sobie urobisz ręce po łokcie! - Nabiła cenę ostatniego produktu i zerknęła na Maggie z zaciekawieniem. - Planujecie mieć dzieci od razu?

Czy Bonnie aby nie chciała w ten sposób subtelnie zapytać, czy Maggie jest w ciąży? To przecież wyjaśniałoby, czemu Ryan ją poślubił... Jednak na twarzy Bonnie widniało jedynie życzliwe zainteresowanie kobiety, która sama ma czwórkę pociech.

Mój Boże, chyba zaczynam popadać w paranoję, pomyślała Maggie. Od niedawna doszukiwała się dwuznaczności nawet w najbardziej niewinnych uwagach.

- Właściwie jeszcze się nie zdecydowaliśmy.

- My z Jackiem też nie byliśmy zdecydowani, a potem nagle mieliśmy już dwójkę, no i wtedy zrozumieliśmy, że tak, chcemy mieć dzieci.

- Bonnie zachichotała i sięgnęła po dużą papierową torbę, by włożyć do niej zakupy Maggie.

- Czasem natura decyduje za człowieka.

Tak, ale nie ucieka się przy tym do cudów, pomyślała ponuro Maggie. Robi to w naturalny sposób, jak to natura. Najpierw seks, potem dzieci. Nie ma seksu, nie ma dzieci. Właśnie.

- Tę decyzję wolelibyśmy jednak podjąć sami
- odparła, starając się nie myśleć o tym, jak by to było mieć dziecko z Ryanem. Nie, lepiej się nad tym teraz nie zastanawiać. Bezpieczniej będzie zmienić temat. - Masz może dobry przepis na szarlotkę?

Bonnie wybuchnęła śmiechem.

- Jak ostatnim razem zrobiłam szarlotkę, to nawet nasze kozy nie chciały jej jeść, a przecież żrą wszystko, również metalowe puszki! Jack ożenił się ze mną pod warunkiem, że nigdy nie będę go zmuszać do jedzenia moich ciast.

- Aż tak? - spytała rozbawiona Maggie.

- Gorzej! - Bonnie zaczęła napełniać sprawkami drugą dużą torbę. - Moje własne dzieci proszą, żebym nie piekła im więcej ciastek. Jeśli więc szukasz przepisu na szarlotkę, to trafiłaś pod zły adres, bo z czym jak z czym, ale z piekarnikiem to mi nie po drodze. - Mrugnęła wesoło.
- Chcesz upiec ciasto, żeby uwieść Ryana? Podobno droga do serca mężczyzny prowadzi przez żołądek. Jego serce już zdobyłaś, teraz pora na żołądek, tak?

Jeśli chodzi o Ryana, to Maggie jak dotąd zdobyła tylko obrączkę i nazwisko. Żadna z tych rzeczy nie czyniła jej samotnych nocy przyjemniejszymi.

- Akurat to nie dla niego. A raczej nie tylko

dla niego. Dziś jemy kolację u jego dziadka, obiecałam Sarze przygotować deser. Przyjdzie też przyjaciółka rodziny, Shirley Taylor. Miała wpaść z wizytą dwa tygodnie temu, ale ze względu na nasz ślub wszystko się trochę przesunęło.

- Shelly - poprawiła Bonnie. - Nie Shirley, tylko Shelly Taylor. Jej ojciec przyjaźnił się z Nathanem. Od razu po szkole wyjechała do Hollywood, grała w filmach. Zdziwiło mnie, że wróciła na ranczo, gdy zmarł jej ojciec.

- To ona jest aktorką?

Ryan nic jej nie powiedział na temat gościa, którego dziadek zaprosił na kolację. Maggie spodziewała się ujrzeć starszą panią, do której być może Nathan zamierzał uderzyć w konkury.

- Tak, chociaż nigdy jej nie widziałam w żadnym filmie. No, ale kiedy ja byłam w kinie? Nawet już nie pamiętam. Telewizji też nie mam czasu oglądać przy tej czwórce utrapieńców, a raczej piątce, bo Jack też jest czasem jak duże dziecko, więc mogłam sporo przeoczyć. - Skończyła pakować zakupy i oparła się wygodnie o ladę. - Nie widziałam jej jeszcze, odkąd wróciła, ale z tego, co słyszałam, świetnie się trzyma i nadal robi duże wrażenie. Wiesz, była najładniejszą dziewczyną w całej szkole średniej.

Maggie znów przeżyła zaskoczenie. Owa

Shelly była więc nie tylko utalentowana, ale też młoda i atrakcyjna.

- Chodziłyście razem do klasy?

- Nie, ona była rok wyżej, w klasie Ryana. Nawet prowadzali się z sobą przez jakiś czas...

- Urwała nagle, gdyż dotarło do niej, komu to mówi. Zaczerwieniła się. - Oczywiście to stare dzieje.

- Pewnie miał niejedną sympatię - rzuciła doskonale obojętnym tonem Maggie.

- Naturalnie - przytaknęła Bonnie, zadowolona, że jej rozmówczyni nie poczuła się dotknięta.

- Z Shelly chodził w ostatniej klasie, ale jak tak sobie o tym myślę, to wydaje mi się, że ulegli, jak się to mówi, presji otoczenia. Rozumiesz, ona najładniejsza, on najprzystojniejszy, wszyscy uważali, że powinni zostać parą, no to nią zostali. W dodatku jej ojciec i jego dziadek też tego chcieli.

- Naprawdę? - wyrwało jej się.

Uradowana, że ma świetny pretekst, by trochę poplotkować, Bonnie usadowiła się na stołku, który miała za ladą, oparła na niej łokcie i pochyliła się ku Maggie. Innych klientów w sklepie nie było, więc mogły rozmawiać zupełnie swobodnie - czyli tak, jak Bonnie lubiła najbardziej.

- Jak już ci mówiłam, ci dwaj bardzo się przyjaźnili. Leland Taylor ożenił się późno, jego żona szybko zmarła, mieli tylko jedno dziecko.

Kiedy więc niedawno zmarł i Leland, Shelly odziedziczyła po nim wszystko. Całe to wielkie ranczo, które sąsiaduje z waszym, wiesz.

Nie wiem, bo skąd mam wiedzieć, skoro Ryan nic mi nie mówi, pomyślała Maggie. Nie powiedział jej nawet, czemu się z nią ożenił, więc co dopiero wspominać o drobiazgach.

- Gdy Ryan zamieszkał u dziadka, pojawił się pomysł, że dobrze by było, gdyby wnuk Nathana i córka Lelanda pobrali się kiedyś. Oboje ładni, w jednym wieku, w przyszłości właściciele sąsiadujących ze sobą wielkich rancz, rozumiesz. Ale nie wiem, czy oni sami myśleli o tym poważnie, chociaż, jak wspominałam, przez jakiś czas spotykali się z sobą. W końcu nic z tego nie wyszło. Shelly...

Zadzwoił telefon, przerywając Bonnie w pół zdania. Spojrzała na niego z niezadowoleniem - w odróżnieniu od Maggie.

- Licho nadało! Przez cały dzień nikt nie dzwonił.

- Nic nie szkodzi, i tak muszę już iść - zapewniła Maggie i szybko zabrała z lady torby z zakupami. wcale nie miała ochoty słuchać o dawnych związkach Ryana. Zwłaszcza że jej samej wydawało się nic z nim nie łączyć, chociaż wzięli ślub.

- Życzę udanej szarlotki! - zawołała za nią Bonnie i odebrała telefon.

Przystając kupować jedzenie, zdecydowała Maggie, wkładając sprawunki do samochodu. Miała serdecznie dość podobnych rozmów, podczas których Bonnie wypytywała ją życzliwie i udzielała jej dobrych rad. Nie, nie zniesie tego więcej. No tak, ale unikanie Bonnie też niewiele pomoże, ponieważ całe mnóstwo innych ludzi nadal będzie zadawać Maggie pytania o jej małżeństwo. Usiadła za kierownicą i trzasnęła drzwiczkami. Jedyłą osobą, która niczemu się nie dziwiła, był Bill.

- Czuję się jak kobieta z brodą - mruknęła pod nosem. - Może powinnam zacząć występować w cyrku?

Zaczął się nieprzyjemny ucisk w skroni i wiedziała, że zaraz rozboli ją głowa. W ciągu ostatnich dwóch tygodni zdarzało jej się to dość często. Najchętniej oparłaby czoło o kierownicę i siedziała tak, dopóki wszystko się jakoś nie ułoży i nie nabierze sensu. Nie, parking przed sklepem Bonnie nie był najlepszym miejscem na przeżycie załamania nerwowego. Westchnęła i przekręciła kluczyki w stacyjce.

Ponieważ po tych dwóch tygodniach drogę na Ranczo Szczęściarzy znała praktycznie na pamięć, Maggie pozwoliła myślom bujać w obłokach. Oczywiście myślała o swoim małżeństwie z Ryanem, bo o czymże by innym? O ile to w ogóle zasługiwało na miano małżeństwa.

W ciągu minionych dwóch i pół tygodnia Ryan nawet jej nie pocałował. Na początku myślała, że on nakazuje sobie cierpliwość ze względu na jej brak doświadczenia, że chce dać jej czas, by oswoiła się z nową sytuacją i przywykła do niego. O ile pierwszego wieczoru tego autentycznie potrzebowała - i dlatego sama poprosiła o przełożenie nocy poślubnej na później - o tyle potem nie ponawiała swojej prośby. Owszem, doceniała jego delikatność, lecz nie musiał być aż tak delikatny...

Kiedy jednak upływały kolejne dni i noce - zwłaszcza noce - a Ryan nadal nie przejawiał najmniejszej ochoty na przeprowadzenie się z powrotem do sypialni, którą mieli dzielić, Maggie zaczęła utwierdzać się w przekonaniu, że już nie robiła na nim żadnego wrażenia.

Na samym początku pragnął jej z całą pewnością. Pewnych rzeczy mężczyzna nie może ukryć lub udąć, więc tamtego pamiętnego dnia, gdy jej się oświadczył, Maggie wiedziała doskonale, że Ryan jej pożądał. I mógł mnie wtedy mieć, pomyślała, rumieniąc się na samo wspomnienie tego, co działo się w furgonetce. Nie zaprotestowałyby w żaden sposób, gdyby chciał ją wziąć na siedzeniu swojego samochodu, gdzieś na bocznej drodze, kiedy dookoła szalała burza.

On jednak tego nie zrobił, a Magie nie po-

jmowała dlaczego. Przerwał pieszczoty, chociaż musiał wyczuć jej przyzwolenie. Zamiast kontynuować, znienacka zaproponował jej małżeństwo i nie chciał słuchać żadnych protestów. A kiedy w końcu uległa i pobrali się, mieszkali pod jednym dachem, ale w oddzielnych pokojach, zupełnie jak współlokatorzy, a nie jak mąż i żona.

Maggie zawsze miała się za rannego ptaszka, lecz już pierwszy dzień na ranczu zachwiał tą opinią, ponieważ tam wszyscy wstawali jeszcze przed świtem. Pewnie w ich oczach ktoś taki jak ona był zwykłym śpiochem. Obudził ją zapach świeżo zaparzonej kawy, więc ubrała się i poszła do kuchni, gdzie okazało się, że Ryan zdążył już przygotować śniadanie. Trochę się obawiała, czy ten pierwszy prawdziwie wspólny poranek nie wypadnie jakoś niezręcznie, lecz Ryan rozwiął jej obawy pogodnym uśmiechem i pytaniem, czy woli jajka na twardo, czy na miękko, bo na wszelki wypadek ugotował takie i takie. Śniadanie upłynęło w miłej atmosferze i Maggie zaczęła wtedy myśleć, że małżeństwo to w gruncie rzeczy całkiem prosta sprawa.

Po śniadaniu poczuła jednak lekkie rozczarowanie, gdyż Ryan wyszedł, nie pocałowałwszy jej na pożegnanie. Trochę cierpliwości, przykazała sobie w duchu. Kiedy ludzie zaczynają mieszkać razem, potrzebują nieco czasu, by dopasować się do siebie.

Jednak w ich przypadku okres adaptacji przebiegał zupełnie inaczej, niż Maggie sobie wyobrażała. W odróżnieniu od tego pierwszego dnia Ryan wychodził z domu, nim ona się obudziła, więc spotykali się dopiero na obiedzie. Rozmowa zazwyczaj się nie kleiła, zapadały długie chwile niezręcznego milczenia. Natychmiast po posiłku Ryan zamykał się w malutkim pokoiku na parterze, który przeznaczycyli na jego domowe biuro albo wychodził, żeby sprawdzić „jak się sprawy mają” z bydłem, paszą, jego koniem i czym tam jeszcze.

Ewidentnie unikał Maggie. Ale dlaczego? Żałował swojej pochopnej decyzji? A może sądził, że ona żałuje? A może niepotrzebnie podejrzewała najgorsze, bo on tylko zwyczajnie czekał, aż ona wykona pierwszy ruch? Skoro pierwszej nocy wprost odmówiła seksu, to może teraz równie jasno powinna dać mu do zrozumienia, że jest chętna? Jeśli o to mu chodziło, to się przeliczył, ponieważ Maggie nawet nie wiedziała, jak się zabrać do uwodzenia mężczyzny.

Skreśliła z szosy w drogę prowadzącą do rancza, cały czas zastanawiając się, co właściwie ma z tym wszystkim począć. A gdyby kupiła sobie seksowną koszulkę i mocne, zmysłowe perfumy? Ale jako nieduża i dość kraglodka kobietka nie nadawała się do odgrywania roli

wampa, a od perfum zawsze kręciło ją w nosie i zaczynała kichać. Wyobraziła sobie samą siebie w przejrzystym jedwabnym negliżu, w którym wyglądałaby jak parówka w różowej folii. W dodatku od kichania miałyby czerwony nos i żółtawione oczy. Coś pięknego! Ledwie ujrzała ten obraz oczyma wyobraźni, wybuchnęła niepomowanym śmiechem.

Boże, chyba zupełnie upadła na głowę, skoro zaczynała rozważać zakup czegoś zupełnie nie w swoim stylu. Tym, co naprawdę należało zrobić w ich sytuacji, było przeprowadzenie spokojnej, rzeczowej rozmowy z Ryanem. W końcu byli dorośli, prawda? Potrafili więc chyba wyjaśnić sobie, czego oczekiwali od swojego małżeństwa.

Jasne. Już widziała, jak siada przed Ryanem i spokojnie, rzeczowo pyta go, czemu jeszcze się z nią nie kochał.

Zakręciła gwałtownie, stanęła przed ich domem, wyłączyła silnik. Co za szczęście, że miała to ciasto do upieczenia, przynajmniej zajmie czymś umysł, bo inaczej zwariuje od tego wszystkiego. Wysiadła, wyjęła torby i ruszyła ku drzwiom. Jak tylko zrobi szarlotkę, weźmie prysznic i wyszykuje się jakoś na kolację z piękną młodą aktorką, bez wątpienia smukłą i długonogą, która kiedyś była dziewczyną jej męża. Jakby jeszcze tego było mało, by zepsuć jej

humor, należało w dodatku wziąć pod uwagę, że zapewne owa śliczna Shelly Taylor sypiała kiedyś z Ryanem, podczas gdy Maggie nie mogła powiedzieć tego o sobie.

Nie zniosę dłużej tej dziwacznej sytuacji, muszę wreszcie coś z tym zrobić, postanowiła. Otworzyła drzwi i nastrój nieco jej się poprawił, gdyż z pokoju dziennego natychmiast wybiegł truchtem Max, miauczając pytająco.

- Tak, mam dla ciebie jedzenie - odpowiedziała, gdy tymczasem on kręcił ósemki między jej nogami.

Koty to wspaniałe stworzenia, pomyślała, idąc do kuchni. Nie trzeba się zastanawiać, co naprawdę sobie myślą i łamać sobie głowy nad tym, jak je do siebie przekonać. Jak długo przynosiła Maksowi puszki z sardynkami, pozwalała mu spać na fotelu i od czasu do czasu drapała go za uchem, miał ją za najwspanialszą pod słońcem. Gdyby relacje z ludźmi mogły układać się równie prosto!

- Coś się wreszcie musi zmienić, Max. - Postawiła torby na szafce i zaczęła je rozpakowywać, podczas gdy jej rozmówca pomiaukiwał z dużym zaangażowaniem. Oczywiście mogło mu chodzić o jedzenie, ale Maggie wolała myśleć, że chciał wyrazić swoje poparcie. - Nie mogę pozwolić, by to dłużej tak trwało.

Kot miauknął głośniej, gdy sięgnęła po jego miseczkę.

- Jak to zrobię? Cóż, nie powinno to być takie trudne - odparła, wyjmując z szuflady otwieracz do puszek. - Po prostu muszę wreszcie z Ryanem poważnie porozmawiać, zapytać go spokojnie, czego oczekuje od naszego związku. A jeśli powie, że już mnie nie pragnie...

Zamarła w połowie otwierania puszek. Wyobraziła sobie, jak Ryan, patrząc jej w oczy, mówi, że mu przeszło i nie jest nią zainteresowany. Max grzecznie odczekał trzydzieści sekund, po czym głośno wyraził niepokój, czy aby dostanie coś do jedzenia. Miauknięcie wyrwało Maggie z odrętwienia. Pospiesznie skończyła otwierać puszkę, wrzuciła sardynki do miseczki i ku wielkiej uldze Maksa postawiła ją wreszcie na podłodze.

Maggie wyprostowała się powoli. A może jednak lepiej niczego nie zmieniać? Może nie było wcale najgorzej?

Ryan zastanawiał się, co by wołał - kolację w towarzystwie dziadka i Shelly, czy leczenie kanałowe zęba bez znieczulenia - i nie potrafił zdecydować. Najchętniej wyłgałby się jakoś od tego obowiązku, lecz wiedział, że Nathan mu nie popuści. Już zdążył wnukowi przypomnieć o tym, jak długo się znają, przez jak trudny okres Shelly

przechodzi i w ogóle jak człowiek powinien się zachowywać wobec najbliższych sąsiadów. Oczywiście dziadek miał rację, ale wcale to nie poprawiało Ryanowi humoru, przeciwnie.

Westchnął z żalem, wspominając czasy, gdy występował na rodeo, ponieważ taki tryb życia umożliwiał unikanie różnych sytuacji towarzyskich, na które nie miało się ochoty. Praktycznie dawało się ograniczyć kontakty z innymi do płacenia razem rachunku za obiad w przydrożnym lokalu i do prowadzenia na zmianę wozu, by pozostali mogli się zdrzemnąć. Całkiem mu to odpowiadało i kto wie, czy nie udałby się znowu w drogę, by zwać przed tą nieszczęsną kolacją, gdyby nie miał na miejscu wszystkiego, czego potrzebował do szczęścia. No, prawie wszystkiego, pomyślał, pochmurniejąc.

Mieszkał na ukochanym ranczu, którego był dziedzicem, miał tu przyjaciół, rodzinę i miał Maggie. No właśnie. Nie do końca.

Wszystko inne układało się dobrze, tylko w tej jednej kwestii nie udawało mu się... prawie nic. A z jakichś powodów czuł, że akurat to jest najważniejsze. Nawet nie przejmował się już tak bardzo relacją z dziadkiem, zresztą tak jakby troszeczkę się między nimi poprawiło. Nathan rzadziej na niego powarkiwał, a kiedy dwa dni wcześniej Ryan zaproponował, że uruchomi

komputer i przejmie prowadzenie papierkowej roboty, zgodził się bez jednego uszczypliwego komentarza.

Wzięcie ślubu z Maggie miało więc przynajmniej ten skutek, że uspokoiło Nathana - wnuk zostanie na ranczu, nie ma już powodu jeździć na rodeo i kusić losu. Był jeszcze drugi skutek. To małżeństwo doprowadziło Ryana prawie na krawędź obłądu.

Od ponad dwóch tygodni męczył się co noc na za krótkim jak dla niego łóżku, podczas gdy jego ponętna, apetyczna żona spała po przeciwnej stronie korytarza w ich małżeńskiej sypialni. Sama.

Z frustracją otworzył szafę, wyszarpnął z niej koszulę, zrzucając przy tym wieszak na podłogę. A niech leży w cholere. Zaczął się ubierać, wciąż myśląc o Maggie. To wszystko jego wina. Najpierw niemal siłą zaciągnął ją do ołtarza, a potem poczuł wyrzuty sumienia i uznał, że musi dać jej tyle czasu, ile będzie potrzebowała.

Tak, tylko jak długo to jeszcze mogło trwać? Tak długo, jak jej nie powiesz o Sally, odpowiedziało sumienie, jak to ono nie owijając niczego w bawełnę. Na razie nie miałem kiedy, tłumaczył sam sobie, chociaż wiedział doskonale, że jest to najbardziej żalosny wykręt, jaki można sobie wyobrazić. Spojrzał na swoje odbicie

w lustrze, skrzywił się. W porządku, nie czasu mu brakowało, tylko odpowiednich słów. Jak człowiek ma powiedzieć swojej żonie, że wcale nie jest jego pierwszą żoną? Normalnie kobieta dowiaduje się o takich rzeczach przed ślubem, ale ich związek zdecydowanie nie przebiegał w typowy sposób.

Byli więc mężem i żoną już od dwóch i pół tygodnia, a Maggie wciąż nie wiedziała o Sally, gdyż on nie potrafił zdobyć się na tę rozmowę. Dlatego musiał wciąż spać w pokoju gościnnym. Prawie odchodził od zmysłów, gdy każdego wieczoru widział, jak Maggie wychodzi z łazienki z zaróżowioną od kąpieli skórą i znika w ich sypialni, do której on z własnej winy nie miał wstępu. Każdego wieczoru długo nie mógł zasnąć, ponieważ zastanawiał się, w czym ona śpi i jak szybko udałoby się to z niej zdjąć. Dwa i pół tygodnia podobnej udręki to było stanowczo za dużo jak na jego możliwości. Jego silna wola mogła lada moment prysnąć jak bańka mydlana.

- Jesteśmy małżeństwem, do licha - mruknął wściekle, kończąc się ubierać.

Gdyby ona dała chociaż najmniejszy znak! Gdyby ujrzał choć jedną oznakę podobnej frustracji, jaką sam przeżywał. Nic z tego. Za każdym razem, gdy się widzieli - a zdarzało się to coraz rzadziej - Maggie zachowywała się bardzo przy-

jaźnie, lecz nie sprawiała wrażenia kobiety, która marzy o tym, by on się wreszcie na nią rzucił.

Ścięgnął brwi. Tak dłużej być nie mogło. Musieli porozmawiać. To był chyba właściwy sposób rozwiązywania małżeńskich problemów, prawda? Spokojna, rzeczowa rozmowa, podczas której ludzie mówią sobie, czego nawzajem od siebie oczekują.

Tak, porozmawia z nią. A potem z czystym sumieniem wreszcie się na nią rzuci.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Shelly Taylor okazała się jeszcze niebezpieczniejsza, niż Maggie się spodziewała. Była wysoka, szczupła, bardzo piękna, a do tego naprawdę miła. Głos miała przyjemnie niski, starannie modulowany. Jej jedwabna zielona bluzka i znakomicie skrojone szare spodnie odznaczały się elegancką prostotą. Maggie natychmiast poczuła się przy niej jak Kopciuszek. Nawet zęby ma idealnie równe, pomyślała, gdy Shelly zaśmiała się z jakiegoś żartu Nathana.

Maggie zerknęła ponad stołem na Ryana, który właśnie uśmiechał się do sąsiadki i zastanowiło ją, czy aby nie myślał o tym samym, co ona, mianowicie czemu ją poślubił, skoro na wyciągnięcie ręki znajdowała się tak atrakcyjna i błyskotliwa kobieta? Chyba że Shelly dała mu kosza.

Ta myśl wcale nie pocieszyła Maggie. Zresztą jaka kobieta przy zdrowych zmysłach mogłaby nie chcieć Ryana? Nie tylko szalenie atrakcyjnie wyglądał, ale też był dobry, bystry i miał cudowne poczucie humoru. Do tego lubił zwierzęta.

A gdyby jednak tamta z jakiegoś powodu go nie chciała? To by znaczyło, że wybrał Maggie, bo nic lepszego nie nawinęło mu się pod rękę. Stała się czymś w rodzaju nagrody pocieszenia. Ale przecież wiedziała, że on jej nie kocha, gdy zgadzała się wyjść za niego, więc nie mogła mieć pretensji do losu. Tak, lecz co innego, gdy ktoś nas nie kocha, a co innego, gdy nas nie kocha, za to kocha kogoś innego. Wbiła wzrok w talerz.

Oczywiście mogła się kompletnie mylić, w końcu nic nie świadczyło o tym, by Ryan pałał gorącym uczuciem do Shelly. To nie z powodu pięknej aktorki nie czuł nic do Maggie - ani miłości, ani pożądania. Tak się po prostu złożyło. Podobała mu się, lecz krótko, a potem mu przeszło.

Ryan z grzeczności brał żywy udział w rozmowie, jednak przez cały czas myślał o swojej żonie i o tym, co się między nimi działo, czy też raczej o tym, co się nie działo. Przez cały wieczór Maggie prawie się nie odzywała. Do Nathana nie przyszli razem. Gdy Ryan brał prysznic, zostawiła mu kartkę, że idzie pomóc

Sarze i wymknęła się z domu. Jego zdaniem wcale nie chodziło o Sarę, tylko Maggie skorzystała z pretekstu, by uniknąć jego towarzystwa. Teraz zaś siedziała z pochyloną głową i nawet na niego nie patrzyła.

Tak, koniecznie musieli porozmawiać. Nie przepadał za poważnymi dyskusjami o związku, połączonymi z dogłębną analizą, co i dlaczego jest nie tak. Wolał poczekać, aż sprawy jakoś same się ułożą. Jednak w tym przypadku jakoś nic nie chciało się samo ułożyć, a przez to tracili coś bardzo ważnego.

Nie chodziło tylko o seks, chociaż Ryan uczciwie przyznawał się sam przed sobą, że diabelnie mu na tym zależy. Ale równie mocno brakowało mu uroczego uśmiechu Maggie, sposobu, w jaki marszczyła nos, gdy coś ją rozbawiło, blasku jej oczu, gdy była czymś podekscytowana. Tak, chciał się z nią kochać, ale potrzebował też zasypiać z nią w ramionach i budzić się przy niej rano. Potrzebował tego wszystkiego, co prawdziwe małżeństwo mogło człowiekowi zaoferować - a Ryan przecież doskonale wiedział, jak wiele tego jest.

Nathan obserwował wnuka i jego żonę, jednocześnie słuchając barwnej opowieści Shelly o kręceniu pewnego westernu, w którym występował jeden z jej znajomych. Z tego, co

mówiła, Nathan wysnuł wniosek, że w całym Hollywood nie dałoby się uświadczyć ani jednego dorzecznego człowieka. No tak, ale to właśnie dzięki temu zarabiali ciężkie miliony. Życie jest pełne niespodzianek. Ot, wystarczy choćby wziąć Ryana i Maggie. Jedno ma marsa na czole, a drugie smutek w oczach, chociaż dzielnie starają się robić dobrą minę do złej gry.

Pobrali się błyskawicznie, jak to młodzi ludzie, którzy żyć bez siebie nie mogą. Nathan to rozumiał i niczemu się nie dziwił. Dziwić zaczął się dopiero potem. Od ślubu Ryan chodził tak rozdrażniony, jakby go kto kłuł igłami, zaś jego żona snuła się z żałobną miną. Nathan wolałby, żeby młodzi wreszcie się dogadali i rozwiązali swój problem, cokolwiek to było, ponieważ autentycznie polubił Maggie od pierwszej chwili. Jeszcze nim ją poznał, czuł do niej sympatię za przywrócenie jego wnuka do normalnego życia, a potem polubił ją dla niej samej. Tak, to była dobra żona dla Ryana. Niech tylko wreszcie dojdą ze sobą do ładu.

Na zakończenie opowieści Shelly wszyscy wybuchnęli śmiechem, toteż uznała ich za lepszych aktorów niż ludzie, z którymi pracowała, ponieważ miała poważne podejrzenia, że wcale jej nie słuchali. Ale cóż, nie za każdym razem udaje się rozruszać publiczność.

Ukroiła kawałek soczystego steku, polanego pysznym sosem i jakoś wcale nie przejęła się liczbą kalorii. Liczyła je codziennie przez kilkanaście lat, żywiła się sałatą i starała się polubić pozbawione smaku ryżowe ciasteczka. Co za przyjemność wbić znowu zęby w porządne jedzenie! I mogła nie obawiać się o figurę. Co rano musiała zrywać się bladym świtem, gdyż Ray Wellman już na nią czekał i przez cały dzień dawał jej taki wycisk, dosłownie przeganiając ją przez całe ranczo w tę i z powrotem, że mogła jeść wszystko, na co miała ochotę, a i tak nie przytyłaby ani grama. Żadna hollywoodzka siłownia nie mogła się z tym równać.

Zarządca wyraźnie planował ją jak najszybciej zaznajomić z obowiązkami, ponieważ nie chciał dla niej pracować. Ona również nie czuła się komfortowo w roli jego pracodawcy. Oboje pamiętali doskonale, jak Ray wsadził ją po raz pierwszy na kucyka, ona zleciała, a on ją potem otrzepywał z kurzu. Pamiętali też, jak dostała od niego kilka naprawdę mocnych klapsów, gdy przyłapał ją i swojego syna Andy'ego palących papierosy za stodołą. Złoił im obojgu skórę nie za samo palenie, lecz za palenie tak blisko siana. Trudno potem wydawać polecenia komuś, kto kiedyś przetrzepał człowiekowi tyłek.

Rozmowa przy stole zesłała naturalną kolejną rzecz na sprawy związane z hodowlą bydła i pracą na ranchu. Shelly starała się słuchać wszystkiego uważnie i wyciągnąć odpowiednie wnioski, gdyż wiele jeszcze musiała się nauczyć. Nie była pewna, czy da sobie radę. Wellman niedługo odejdzie i zostanie sama. Przez jakiś czas myślała, że może Ryan... On jednak się ożenił, więc ta opcja upadła.

Shelly nie żałowała tego zbytnio, ponieważ wbrew temu, co powiedziała Tuckerowi, między nią a Ryanem w rzeczywistości nigdy nie było nic specjalnego - no, może z wyjątkiem złości. Naprawdę niesamowicie działali sobie na nerwy. Jednak po upływie tylu lat to się zmieniło, odnosili się do siebie całkiem życzliwie i byłoby jej na rękę, gdyby zaczęli jeszcze raz. Nie musiała to być od razu miłość, wystarczyłaby namiętność.

- Czasy się zmieniły, teraz sama hodowla bydła przestaje być taka dochodowa. Trzeba, jak to się mówi, rozszerzać ofertę - tłumaczył Nathan. Zerknął na wnuka, po czym rzekł do Shelly: - My na przykład zamierzamy to zrobić.

- Tak? A o czym myślicie? - spytała z nieudawanym zainteresowaniem. Ray Wellman powtórzył jej do znudzenia, że przyszłość należy do tych, którzy postawią na różnorodność. Jej ojciec nawet nie chciał o tym słuchać, więc ranczo

Taylorów wciąż działało tak samo jak trzy dekady wcześniej.

- O hodowli koni tresowanych specjalnie do pracy przy bydle. Ryan to wymyślił. - Nathan wciąż patrzył na gościa, ignorując zaskoczoną minę wnuka. - Na początek przywiózł z Teksasu klacz. Sama nie jest co prawda ułożona, za to po ojcu czempionie ma dobrą krew.

Shelly uśmiechnęła się do Ryana.

- Musisz się świetnie znać na koniach.

- O, tak. Spadłem z tyłu, że wiem o nich wiele.

Za to chyba nie wiem nic o ludziach, pomyślał. Próbował kiedyś przedstawić dziadkowi swój pomysł, ale ten za nic nie chciał się zgodzić na wprowadzanie na ranchu podobnych innowacji.

- Parę dni temu rozmawiałem z Benem Rayczkiem w sprawie ogiera dla naszej klaczy. Ben ma takiego, który by się nadawał. - Wygłosiwszy to, Nathan spojrzał na wnuka z błyskiem wyzwania w oczach.

Dziadek powiedział „naszej klaczy”? On, który dotąd tylko się na nią zżymał? Ryan zdumiał się, lecz powiedział tylko:

- Na pewno chodzi ci o tego gniadosza. Jeden z najlepszych ogierów w okolicy. Jeśli Ben zechce go sprzedać, zaśpiewa za niego słoną cenę.

- Skoro już chcemy zakładać stadninę, zrób-

my to porządnie - oznajmił niezwykle zdecydowanie Nathan.

Chcemy? Zróbmy? My? Wściec się na dziadka za jego sposób załatwiania spraw? Najpierw nie chce z Ryanem gadać na ten temat, a potem, gdy wreszcie się przekonał do pomysłu, zaczyna załatwiać coś poza jego plecami, jakby wszystko było już ustalone? Ryan zirytowałby się nie na żarty, gdyby nie chodziło o realizację jego marzenia. Owszem, mógł unieść się honorem, mógł odmówić i zakładać stadninę sam. Ale jednak faktycznie lepiej zrobić to razem.

- Tak, weźmy się do tego obaj, jak należy
- zgodził się, kładąc lekki nacisk na słowo „obaj”.

- Pewnie, inaczej w ogóle nie ma o tym mowy
- odpowiedział mu równie znacząco dziadek, a w jego oczach zamigotały wesołe iskierki.

Shelly nie siedziała długo u Lassiterów, przeciwnie, pożegnała się tak szybko, jak było to możliwe bez obrażania gospodarzy. Przygnębił ją ten wieczór. Po pierwsze, kiedy patrzyła na Ryana i jego dziadka, boleśnie odczuwała brak ojca. Po drugie, kiedy patrzyła na Ryana i jego żonę, boleśnie odczuwała brak bliskiej osoby. Uświadomiła sobie bardzo jasno, że jest już parę lat po trzydziestce i ani nie ma rodziny, ani nie

udało jej się zrobić kariery. Przedtem w samotne noce towarzyszyły jej myśli o przyszłej sławie, a teraz co?

Powoli schodziła z werandy, zastanawiając się, czy nie popełniła błędu, wracając do Wyomingu. Może lepiej byłoby zostać w Los Angeles? Już nie jako aktorka, ale na przykład jako czyjś impresario czy agent. Wielu aktorów, którym nie powiodło się na ekranie, imać się tego zajęcia.

Wiedziała, że to on. Nie dostrzegła go, lecz poczuła dym z papierosa. Dopiero gdy zeszła z ostatniego stopnia, wychodząc z kręgu światła rzucanego przez lampę nad wejściem, zobaczyła stojącą przy rogu werandy ciemną sylwetkę.

- Witaj, Tucker.

- Cześć, Shel.

Tylko on jeden ją tak nazywał i w czasach szkolnych strasznie się za to na niego wściekała, lecz teraz nie miała nic przeciw temu, gdyż zabrzmiało znajomo, dzięki czemu poczuła się w Wyomingu jakoś bardziej w domu.

- I jak było na kolacji?

- Miło. Twoja mama ugotowała naprawdę pyszne jedzenie.

- Tak, mama potrafi gotować.

Przez kilka chwil stali w milczeniu, lecz Shelly nie czuła się z tego powodu zakłopotana. Tucker

miał tę szczególną cechę, że dobrze się z nim milczało. Po spędzeniu kilkunastu lat wśród niezliczonej ilości ludzi, którzy nie potrafili znieść chwili ciszy, więc albo czegoś słuchali, albo namiętnie gadali, jakby chcieli zagłuszyć swoje myśli - a może ich brak - Shelly potrafiła docenić tę zaletę Tuckera.

- Zostajesz?

Wiedziała, o co mu chodziło. Pytał, czy małżeństwo Ryana zmieniło jej plany osiedlenia się na stałe w Wyomingu. Normalnie pewnie by go czymś zbyła, ponieważ nie lubiła wtajemniczać innych w swoje sprawy, lecz panująca wokół ciemność sprzyjała szczerości. Nie widziała jego twarzy, więc czuła się niemal, jakby mówiła do siebie.

- Tak. Właściwie nie bardzo mam wybór.
- Westchnęła. - Aktorka ze mnie dość marna, nie oszukujmy się. Oczywiście ogromnie pomaga uroda, ale ona też wszystkiego nie załatwi. Mój wygląd zdobył mi kilka rzeczy, ale więcej nim nie ugram.

- Czeka cię więc nielecha zmiana w życiu.

Tucker nie bawił się w uprzejme protesty i zapewnianie, że na pewno jest dobrą aktorką, a jej uroda pozwoli jej zabłysnąć w jakimś głośnym filmie. Shelly zastanawiała się przez moment, czy właściwie nie powinna poczuć się urażona.

- Mam ochotę na zmianę. - Wsunęła dłonie w kieszenie spodni. - Jeszcze przed śmiercią taty odczułam taką potrzebę. No i proszę, wylądowałam na ranczu, którym nie wiem, jak się zajmować, mój zarządca lada moment odejdzie, zrobić kariery mi się nie udało, za to chciałabym...

- Urwała.

- Co byś chciała?

Ponieważ był tylko głosem w ciemności, powiedziała coś, do czego ledwo odważała się przyznać sama przed sobą:

- Mieć dzieci. - Zaśmiała się z zakłopotaniem. - Ja i dzieci! Kto by pomyślał?

Popatrzyła na niewielki dom McIntyre'ow, w którego oknach świeciło światło. Tucker wróci do domu, w którym ktoś na niego czeka, a ona? Westchnęła smutno.

- Oczywiście nie liczyłam na wybuch gorącego uczucia między mną a Ryanem, ale tak sobie myślałam, że gdybyśmy się jakoś dogadali, to moglibyśmy oboje dobrze na tym wyjść. To pewnie brzmi, jakbym była okropnie wyrachowana.

- Trochę tak.

- Nikt cię nie pytał o zdanie - parsknęła, tym razem jednak urażona.

- Jak to nie? Sama to zrobiłaś - skwitował chłodno. Rzucił niedopałek na ziemię i przydep-

tał go czubkiem buta. - Czyli szukasz zarządcy do swojego rancza, który przy okazji lubiłby dzieci, tak? Dobrze mówię?

Shelly zachnęła się.

- To się nazywa liczyć na twoje zrozumienie. Cóż, zapomniałam, z kim rozmawiam.

- A namiętność? A pożądanie? - spytał, jakby nie słyszał jej ostatnich słów.

Nie zauważyła, jak się poruszył, lecz nagle stał tuż przed nią. Przesunął dłonią po policzku Shelly, a ją przebiegł charakterystyczny dreszcz — dreszcz wyczekiwania.

- Namiętność i pożądanie nie wystarczą, by zbudować związek - odparła, lecz zabrzmiało to bardziej jak pytanie.

- Za to wystarczy jakoś się dogadać? - spytał z humorem.

Pochylił głowę.

- Tucker, nie...

Zgniótł jej wargi w namiętym pocałunku, a Shelly dokończyła w myślach: „Nie przestawaj”.

Nie musiała go o to prosić. Całował ją tak długo, aż uległa zupełnie. Kiedy wreszcie podniósł głowę, ramiona Shelly oplatały jego szyję, a jej smukłe ciało mocno tuliło się do niego. Z trudem otworzyła oczy.

- Odwiozę cię do domu - rzekł Tucker, przesuwając kciukiem po jej wargach.

Wiedziała, co oznacza ta propozycja. Gdyby była bardziej rozważną kobietą, odsunęłaby się i powiedziała, że nikt nie musi jej odwozić, poradzi sobie sama. Gdyby była bardziej rozważną kobietą, uprzedziłaby go, by nie wyciągał zbyt pośpiesznych wniosków. Gdyby była bardziej rozważną kobietą, nie postawiłaby wszystkiego na jedną kartę i nie zostałaby aktorką.

- Kluczyki są w stacyjce - odpowiedziała.

Poszli do jej samochodu, trzymając się za ręce.

- To był dobry wybór. - Nathan spojrział w kierunku kuchni i uniósł szklaneczkę w geście toastu. - Naprawdę lubię Maggie.

Ryan stał przy kominku, opierając dłoń o gzyms i wpatrując się w zimny popiół. Shelly już poszła, a Maggie natychmiast zaczęła sprzątać po kolacji. Zaofiarował się z pomocą, lecz odmówiła, udał się więc z dziadkiem do jego gabinetu. Cały czas prześladował go smutny wyraz oczu żony, która przy tym uśmiechała się dzielnie i starała się sprawiać wrażenie zadowolonej z życia. Niezbyt jej to jednak wychodziło.

Tak, koniecznie muszą porozmawiać. Jeszcze tego wieczoru.

Wyrwany z zamyślenia słowami dziadka, podniósł na niego wzrok.

- Cieszę się, ale nie wybrałem sobie żony po to, żeby sprawić ci przyjemność.

- Wiem. - Nathan zakręcił porcją brandy w swojej szklaneczce. - Przez chwilę myślałem jednak, że ożeniłeś się z nią, żeby zrobić mi na złość.

- Moja decyzja nie miała nic wspólnego z tobą. Wziąłem ślub z Maggie dla niej samej - oświadczył Ryan.

Niewykluczone, że te nieustanne dziadkowe nalegania, by się ożenił, podsunęły mu myśl o powtórnym małżeństwie, jednak oświadczając się Maggie, w ogóle nie pamiętał o dziadku.

- Tak, teraz to widzę... - Nathan pociągnął łyżeczek brandy, zastanawiając się nad czymś i ściągając przy tym brwi. Gdy się wreszcie odezwał, zabrzmiało to tak szorstko, jakby słowa przychodziły mu z dużym trudem: - Nie miałem racji, swatając cię z Shelly, ale jeśli to jakoś natchnęło cię do ożenku z Maggie, to nie żałuję.

Ryan aż zakrztusił się kawą.

- Czy ja dobrze słyszałem? Przyznałeś, że nie miałeś racji?

- Wypraszam sobie - obruszył się Nathan.

- Zawsze się przyznaję do popełnionych błędów.

- Przez całe dwadzieścia trzy lata nigdy mi się nie zdarzyło tego usłyszeć.

- Bo tak rzadko się myślę - uciał ostro Nathan,

lecz kiedy wnuk wybuchnął śmiechem, po chwili wahania on również się uśmiechnął. - Ty w ogóle nie potrafisz okazywać szacunku - przygadał mu przyjaźnie.

- Jak ktoś zasłuży, to potrafię - odparł podobnym tonem Ryan, przyjemnie zaskoczony tym, że jest między nimi tak, jak dawniej. Trwający od kilku lat konflikt został zakończony. - Poważnie mówiłeś o kupnie ogiera od Bena Rayczeka?

- Jeśli koń ci się podoba. - Nathan znów zaczął w zamyśleniu kołysać swoją brandy. - Przywykłem do decydowania o wszystkim sam. Tymczasem powinienem powoli zacząć ustępować ci miejsca.

- Nie chcę, żebyś to robił - rzekł najzupełniej szczerze Ryan.

- Któregoś dnia to wszystko będzie twoje. Powinieneś mieć tu coraz więcej do powiedzenia.

Ryan nawet nie chciał myśleć o tym dniu.

- Mamy jeszcze mnóstwo czasu - oświadczył z przekonaniem, mając ogromną nadzieję, że się nie myli.

Przez chwilę milczeli z zakłopotaniem, ponieważ rozmowa zaprowadziła ich w słabo im znane rejony dotyczące uczuć. Żaden z nich nie czuł się bezpiecznie na tym gruncie. Nathan odchrząknął głośno.

- No, to kiedy wreszcie dogadasz się z żoną?

- Kiedy wreszcie przestaniesz wtrącać się w moje sprawy? - odpalił z irytacją Ryan.

- Kiedy wreszcie zaczniesz sobie z nimi radzić - warknął Nathan.

Zmierzyli się gniewnym wzrokiem, zadowoleni, że znów wiedzą, na czym stoją.

Gdy Maggie zajrzała do gabinetu parę minut później, zastała ich kłócących się zażarcie o cenę, jaką są gotowi zapłacić Benowi Rayczekowi za jego gniadego ogiera. Przyglądała im się przez moment, myśląc, że muszą być nawzajem bardzo pewni swoich uczuć, skoro spierają się aż tak ostro. Ona zawsze bardzo starała się zasłużyć na miłość, rezygnując przy tym ze swoich praw i swojego zdania, a tymczasem Ryan pozwalał sobie nawet podnosić głos na dziadka, bo wiedział, że tamten i tak go kocha.

- Ben nie jest idiotą i za tyle go nie odda - dowodził Ryan. - Chcesz dobrego konia, to i musisz odpowiednio zapła... - Urwał, ujrawszy Maggie.

Wyraz jego twarzy zmienił się raptownie - złągodniał, lecz jednocześnie stał się bardziej nieprzenikniony. To zabołało Maggie. Wobec dziadka swobodnie wyrażał emocje, do niej nie czuł nic. Teraz wiedziała to już z całą pewnością.

- Co prawda nie jest jeszcze późno, ale czuję się trochę zmęczona, więc chyba wrócę do domu.

Dziękuję za wspaniałą kolację. Ryan, nie musisz iść ze mną - zaproponowała, gdy odstawił filiżankę z niedopitą kawą i wstał. - Nie zgubię się przecież. - Udało jej się roześmiać, choć musiała w to włożyć dużo wysiłku.

- Ja też chcę już wracać do domu - oznajmił.

O, nie, nie pozwoli, by wróciła tam sama i zamknęła się w sypialni, nim on zdaży z nią porozmawiać. Był zdeterminowany. Tak zdeterminowany, że gdyby poszła bez niego, po powrocie chyba wyważyłby te cholerne drzwi. Gdyby jednak to zrobił, przestraszyłby ją i już pewnie w ogóle nie chciałaby go słuchać, tylko uciekłyby od niego jak najdalej.

- Musimy porozmawiać - rzekł, ledwo zeszli z werandy domu Nathana.

Ciemności dodały Maggie odwagi.

- Tak, wiem. Popełniliśmy błąd. - Chciała się roześmiać, by pokazać, jak bardzo nic sobie z tego nie robi, lecz wymuszony śmiech mógł łatwo zmienić się w szloch, więc poprzestała na wzruszeniu ramionami, zapominając, że Ryan pewnie tego nie widzi. - Cóż, zaryzykowaliśmy i nie wyszło. Zdarza się. Tak więc bez urazy możemy się ro...

Złapał ją za ramię i zmusił do zatrzymania się. Dopiero to jej uświadomiło, że szła coraz szybciej i szybciej, lada moment chyba zaczęłaby biec.

Obrócił ją ku sobie. Jego oczy połyskiwały w świetle księżyca.

- Ja bym miał o to dużą urazę.

- Co takiego?

Maggie spodziewała się, że Ryanowi jej propozycja sprawi ulgę, więc skorzysta z niej natychmiast i bardzo chętnie.

- Według mnie nie popełniliśmy żadnego błędu, przynajmniej biorąc ślub. Za to potem tak. To znaczy, ja popełniłem - uściślił, wciąż mocno trzymając ją za rękę. - Jest tyle rzeczy, których ci nie powiedziałem... - Zastanawiał się, jak to ubrać w słowa, po czym postanowił powiedzieć to prosto i krótko. - Byłem już kiedyś żonaty, Maggie. Powinienem być ci o tym powiedzieć, ale...

- Wiem o tym - rzekła spokojnie.

- Wiesz? - Patrzył na nią, zdumiony własną niedomyślnością. Nie wpadło mu do głowy, że w tak małym miasteczku jak Willow Flat nic nie uchowa się w sekrecie.

- Bill opowiedział mi o tej tragedii. To musiało być dla ciebie straszne.

- O... owszem - wyjąkał z trudem, gdyż w głosie Maggie zabrzmiało tak gorące współczucie i zrozumienie, że coś ścisnęło go w gardle. - Powinienem być sam powiedzieć ci o Sally, ale jakoś... Było mi jakoś niezręcznie.

Maggie wołała nie pytać, czemu było mu niezręcznie. Właściwie chyba znała odpowiedź. Ryan nie miał ochoty opowiadać niekochanej żonie o tej, którą kochał.

- To już bez znaczenia. Teraz, kiedy wiemy, że popełniliśmy błąd...

- Przestań to powtarzać. - Mocno zacisnął dłoń na jej rękę. - To nie był żaden błąd!

Słyszając gniew w jego głosie, Maggie prawie poczuła nadzieję.

- Ale zrobiliśmy to za szybko - zasugerowała.

- Dopóki działaliśmy szybko, wszystko szło dobrze. Zaczęło się psuć, kiedy nagle zaczęliśmy być ostrożni i rozważni. - Obrócił ją ku sobie, ujął za oba ramiona i przyciągnął nieco bliżej do siebie, starając się przy tym w złudnym świetle księżycy odczytać wyraz jej twarzy. - Czemu za mnie wyszłaś?

Drgnęła gwałtownie i chciała się odsunąć, lecz nie pozwolił jej na to.

- A może w takim razie chcesz wiedzieć, czemu ja ożeniłem się z tobą? - podsunął, gdy milczała.

- Wiem. Działałeś pod wpływem impulsu. Nie musisz mi niczego wyjaśniać. Wiem, że popełnili...

- Jak jeszcze raz powiesz, że popełniliśmy błąd, potrząsnę tobą tak mocno, że ci zęby zadzwonią o siebie jak kastaniety!

Maggie gwałtownie wciągnęła oddech, zaskoczona nieoczekiwaną groźbą i tylko patrzyła na Ryana oczami wielkimi jak spodki.

- Ożeniłem się z tobą, ponieważ nie wyobrażałem sobie żadnej innej możliwości. Kiedy Sally umarła, było dla mnie jasne, że drugi raz nie dostanę takiej samej szansy i że już nigdy nie będę kochał nikogo równie mocno.

- Rozumiem. Nie mam...

- Cicho bądź! - zażądał, przyciągnął ją do siebie i pocałował gwałtownie, nie bawiąc się w żadne subtelności.

Kiedy jakiś czas potem wyprostował się, Maggie miała kolana jak z waty i kręciło jej się w głowie.

- O rety... - wyrwało jej się.

- Nic nie rozumiesz - oświadczył surowo.

Nie czuła się na siłach, by się z nim spierać, gdyż serce jej waliło nieprzytomnie.

- W porządku. Nic nie rozumiem.

Uśmiechnął się.

- No, to lubię. Miła, uległa żona. Tak, jak powinno być.

Otoczył ją ramieniem i poprowadził w stronę ich domu. Nad gankiem paliło się zostawione przez Ryana światło i rzucało jasnożółty blask na ścieżkę.

- Próbuję ci powiedzieć, że cię kocham.

- Przygarnął ją mocniej do siebie, gdyż nogi się pod nią ugięły. - Powiedziałbym ci to wcześniej, ale do mnie samego dopiero to dotarło.

- Tak? - spytała bez tchu, zastanawiając się przy tym, czy można umrzeć ze szczęścia.

Doszli pod dom, przystanęli. Ryan znów obrócił Maggie ku sobie. Jej oczy lśniły mocniej niż księżyc nad nimi. Widział w nich tyle miłości, że nie pojmował, jak mógł nie dostrzec jej wcześniej. Ależ był durniem! To jednak nieważne, najważniejsze, że był cholernym szczęściarzem. Dwa razy w życiu spotkał go prawdziwy cud.

Ujął w dłonie twarz Maggie.

- Nasz ślub nie był żadną pomyłką, choć była to najbardziej zwariowana rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem. No, może z wyjątkiem tego, kiedy w wieku szesnastu lat upiłem się do tego stopnia, że dałem się Tuckerowi namówić na ujeżdżanie byka w samym środku nocy.

Maggie parsknęła śmiechem i był to najmiłszy odgłos, jaki Ryan słyszał od dwóch i pół tygodnia.

- Nie wiem, czy to porównanie to dla mnie komplement.

- To był bardzo duży byk - zapewnił natychmiast, bo chciał znów usłyszeć, jak ona się śmieje.

Przesunął kciukiem po jej dolnej wardze,

a wtedy Maggie spoważniała, na jej twarzy pojawiło się oczekiwanie.

- Co by pani powiedziała, pani Lassiter, na noc poślubną?

Maggie zarumieniła się, lecz nie oderwała spojrzenia od jego oczu.

- Powiedziałabym, że bardzo chętnie. - Wzięła go za rękę i lekko pociągnęła w stronę drzwi.

- Chodź.

EPILOG

Sześć miesięcy później

- Chyba zaczyna mnie lubić - stwierdził Ryan, opierając nogę na dolnej żerdzi ogrodzenia.

- Czemu tak myślisz? -. Virgil Mortenson pogładził chrapy klaczy, która stała w zagrodzie.

- Bo już nie zawsze krzywi się szyderczo, kiedy na mnie łypie.

Ryan trzymał ręce w kieszeniach, gdyż klacz wciąż nie pozwalała mu się dotknąć. Tolerowała już jego obecność, lecz na widok wyciągniętej ręki natychmiast odbiegała.

- Nigdy nie widziałem, żeby koń krzywił się szyderczo - zaoponował Virgil.

- Bo ona to robi, kiedy nie patrzysz - wyjaśnił i zmienił pozycję, obracając się przodem do

Mortensona i opierając ramieniem o ogrodzenie. Klacz łypnęła na niego wyraźnie i parsknęła niechętnie. Ryan z dezaprobatą pokręcił głową.

- Ma szczęście, że zgodziłeś się z nią pracować, bo inaczej naprawdę już bym ją oddał do rzeźni.

Była to tylko czcza pogrożka i Ryan wiedział o tym doskonale. Virgil też o tym wiedział. Ba, pewnie nawet klacz o tym wiedziała.

- wcale się nie zgodziłem - wycedził Virgil.
- Twoja żona kazała mi się nią zająć. W ogóle nie pytała, co ja na to.

Ryan uśmiechnął się szeroko.

- Mała kobietka, a twarda z niej sztuka.
- Oj, twarda.

Przez chwilę stali w milczeniu. Z baraku, w którym mieszkali kowboje, dolatywał czyjś śpiew.

- To musi być Jim - ocenił Ryan. - Nikt inny tak nie fałszuje.

- I nikt inny nie śpiewa z takim zaangażowaniem. - Virgil cofnął rękę, klacz zarżała i truchtem odbiegła w przeciwny róg zagrody. Patrząc za nią, powiedział: - Mało kto chciałby mnie zatrudnić po tych kilku latach. Doceniam, że zdecydowałaś się zaryzykować.

- Niczym nie ryzykowałem - odparł spokojnie Ryan. - Jesteś najlepszym specem od układania koni w całej okolicy.

- Byłem... kiedyś. - Virgil zerknął na niego, lecz szybko odwrócił wzrok. - Nie wiedziałem, czy jeszcze odróżniam jeden koniec konia od drugiego.

- Ja tam nie miałem żadnych wątpliwości.

Ryan przyglądał mu się z zadowoleniem. Poprawa była zauważalna na pierwszy rzut oka - zdrowsza cera, jasne, przytomne spojrzenie. Virgil od sześciu miesięcy nie wziął do ust kropli alkoholu. Oczywiście, nie oznaczało to jeszcze wygrania wojny z nałogiem, lecz Mortenson miał spore szanse na uporanie się ze swoimi demonami. Zwłaszcza że Maggie nie dopuszczała innej możliwości. To ona wymyśliła, by zatrudnić byłego ranczera w nowo powstającej stadninie Lassiterów. Ryan uznał to za dobry pomysł, lecz Virgil - czy to powodowany dumą, czy niepewnością - odrzucił propozycję.

- Nie można człowieka zmusić do tego, żeby dla ciebie pracował, skoro tego nie chce - oznajmił Ryan żonie, wróciwszy do furgonetki, w której na niego czekała.

Maggie miała na ten temat inne zdanie, wyskoczyła z samochodu i zdecydowanie pomaszlowała do mieszkania Virgila. Ryan nie miał pojęcia, co mu powiedziała, jednak kiedy wyszła, tamten potulnie szedł za nią z taką miną, jakby nie miał pojęcia, czemu to robi. Od tamtej pory

mineęło parę miesięcy i okazało się, że Mortenson nadal miał znakomitą rękę do koni.

Ryan uśmiechnął się na wspomnienie owej sceny.

- Wiesz, co? Nawet gdybym nie był pewien, czy cię zatrudnić, to i tak nie przyznałbym się do tego przed Maggie. Jak ona coś sobie postanowi, to koniec.

- Czyżbyś miał pietra przed żoną?

- A żebyś wiedział!

Na samo wspomnienie o Maggie poczuł nagłą potrzebę zobaczenia jej. Miał ochotę obrócić się i spojrzeć na ich niewielki domek, w którym właśnie szykowała obiad albo siedziała w ciemni, zapomniawszy o całym świecie. Virgil coś powiedział, lecz Ryan nawet nie wiedział, co, gdyż myślał już o czymś innym.

- Mhm - mruknął niezobowiązująco, po czym spojrzał na stojącą opodal klacz. - Naprawdę świetnie ci z nią idzie.

Mortenson ze zrozumieniem pokiwał głową. Mineęło już wiele lat, lecz on doskonale pamiętał, jak to jest, gdy człowieka ciągnie do domu, do żony.

- Muszę już wracać do miasta, pora coś zjeść - rzekł i ukrył uśmiech, gdy Ryan natychmiast skorzystał z podsuniętego pretekstu.

- Tak, ja też wracam, Maggie pewnie czeka z obiadem.

Virgil z uśmiechem zrozumienia patrzył przez chwilę, jak Ryan szybkim krokiem idzie do domu. Pewnie gdyby nikogo nie było w pobliżu, pędziłby susami do swojej ukochanej żony. Twarz Virgila posmutniała nagle. Odwrócił się plecami do małego domku i machinalnie potarł dłonią w okolicy serca, jakby mogło go od tego przestać boleć.

Zagryzając dolną wargę, Maggie ostrożnie wyciskała krem ze szprycy do dekorowania tortów. Z ponacinanej końcówki wysuwał się równomiernie karbowany wałeczek jasnej masy, układając się w słowa „Sto lat”. Napis wyszedł odrobinę krzywo, ale tylko odrobinę. Maggie wypuściła wstrzymywany oddech, wyprostowała się i przyjrzała się swemu dziełu krytycznym spojrzeniem.

Nie najgorzej, oceniła. Nie jest to arcydzieło sztuki cukierniczej, ale nie wyszło aż tak źle.

Odsunęła z czoła opadający lok, wzięła kolejny głęboki oddech i znów pochyliła się nad tortem, by dodać jeszcze jedno słowo, starając się zrobić to jak najrówniej. Chciała, by wszystko wyszło jak najpiękniej, to w końcu była specjalna okazja. Na myśl o tym, jak bardzo specjalna, ogarnęło ją przyjemne ciepło.

Wieczorem świętowali w głównym domu uro-

dziny Ryana. Na kolacji mieli być oni dwoje, Nathan, McIntyre'owie, Tucker z Sally. Tylko najbliższa rodzina -jak powiedział Nathan. Maggie uśmiechnęła się. Tak, po raz pierwszy w życiu miała prawdziwą rodzinę i nie posiadała się z radości. I co z tego, że z żadną z tych osób nie była spokrewniona? Dobrze się z nimi czuła. Tu nikt nie wznosił żadnych murów, tu wszyscy byli razem.

Zawsze myślała, że to z nią jest coś nie tak, skoro nie potrafi zasłużyć na miłość rodzonej matki. Dopiero dzięki małżeństwu z Ryanem ujrzała sprawy w innym świetle. Problem nie leżał po jej stronie.

Lydia i Noreen przeniosły się do Los Angeles za pieniądze uzyskane ze sprzedaży domu po cioci Margaret. Kiedy wyjechały, Maggie uświadomiła sobie, że być może już nigdy więcej nie ujrzy ani matki, ani siostry. Nie odczuła z tego powodu większego żalu.

Z satysfakcją postawiła kropkę pod wykrzyknikiem i wyprostowała się. Przyjrzała się tortowi ponownie i uśmiechnęła się. Jak na pierwszy raz, wyszedł jej całkiem nieźle. Nie zanieś go na kolację do Nathana, ten tort był tylko dla nich. Wieczór spędzali z rodziną, a potem będą świętować we dwoje.

Podeszła do zlewu, żeby umyć szprycę. Szum

wody zagłuszył inne odgłosy, więc nawet nie zorientowała się, kiedy Ryan wszedł do kuchni. Nagle poczuła, jak otacza ją silne ramię, z zaskoczenia aż podskoczyła i rozchlapała wodę na wszystkie strony.

- Jak miło, że mój dotyk działa na ciebie tak elektryzująco - ucieszył się.

- Zawału przez ciebie dostanę, jak będziesz mnie tak straszył! - zganiła go, po czym zapiszczała i próbowała się wywinąć z jego objęć, gdy wtulił twarz w jej szyję. - Aj, jesteś lodowaty!

- Zimno jest, jak nie wiem. Pewnie jutro spadnie śnieg. - Obrócił ją ku sobie i przygarnął mocno. - Pomyśl, możemy zostać zasypani na całe tygodnie. Wycie wichru, śnieg do połowy okien, a my tu w środku, zupełnie sami... - Sugestywnie poruszył brwiami i z aktorskim talentem przybrał minę wytrawnego uwodziciela. - Ciekawe, co będziemy robić przez tyle czasu? Masz może jakieś interesujące sugestie?

- Owszem. Weźmiesz łopatę i wszystko odśnieżysz - odparła, udając powagę. - Trochę ci to zajmie.

Na twarzy Ryana odbiło się teatralne rozczarowanie.

- Myślałem raczej o grze w rozbieranego pokera.

- Rozbierany poker, gdy dookoła leży śnieg, a za oknami wyje wiatr? To chyba mało logiczne.

- A czy zawsze trzeba postępować logicznie?

- wymruczał i zerknął ponad jej ramieniem.

- Hej, czy to jest tort?

- Nie. - Wysunęła się z jego objęć, by stanąć między nim a stołem i zasłonić ciasto. Zamierzała je schować i podać Ryanowi dopiero po powrocie z kolacji, udekorowane płonącymi świeczkami.

- To znaczy tak, to jest tort, ale jest na później.

- Moje urodziny będą dopiero jutro. Czy nie mógłbym dostać kawałka tortu już teraz? Rozumiesz, w ramach... zapowiedzi? - Przechylił się, starając się zapuścić żurawia za jej plecy. wcale nie chodziło mu o to ciasto, chociaż Maggie piekła coraz pyszniejsze rzeczy, po prostu lubił, jak próbowała udawać surową. Wyglądała wtedy jeszcze bardziej uroczo niż zwykle.

- Niedługo idziemy do dziadka na kolację, a nie je się słodczy przed głównym posiłkiem - oznajmiła, robiąc poważną minę. - Idź się umyć albo co.

- Myć się nie muszę, bo nie ubrudziłem się aż tak bardzo, za to umieram z głodu. - Posłał jej spojrzenie, które w dzieciństwie opanował do perfekcji i dzięki któremu zawsze udawało mu się wycygnąć od Sary dodatkowe ciastka. - Tylko jeden malutki kawałeczek...

Rozbroił ją tym kompletnie, ale jeszcze się wahała. Zupełnie inaczej to sobie zaplanowała - wróć od Nathana, ona włoży coś ładnego, bardziej kobiecego, nakryje do stołu w pokoju, zapali świece, wniesie tort... Tymczasem miała na sobie zwykle dżinsy i bawełnianą niebieską koszulkę, zamiast świec paliła się świetlówka, a zamiast pięknie nakrytego stołu był stół obsypany mąką, bo nie zdążyła go wytrzeć. Z drugiej jednak strony nie mogła się już doczekać reakcji męża. Odsunęła się na bok.

Ryan zerknął na ozdobione kremem ciasto, a potem na żonę i uśmiechnął się szeroko.

- Czyli dostanę tort i dziś, i jutro? Czy można mieć większe szczęście?

- Można, mam nadzieję. To znaczy, mam nadzieję, że również twoim zdaniem to będzie większe szczęście. Bo według mnie będzie. A nawet już jest.

Ryan przyglądał jej się z pełnym czułości rozbawieniem.

- Chyba trochę się zgubiłem. Czy mogłabyś powiedzieć to jeszcze raz?

Maggie zarumieniła się leciutko, sięgnęła po paterę z tortem i przysunęła ją bliżej, by Ryan mógł się dokładniej przyjrzeć.

- Udekorowałam go.

- Widzę. Napisałaś „Sto lat”... - Głos na

chwilę zamarł mu w gardle. - „Tatusiu!” - Podniósł wzrok na Maggie.

Ujrzała w oczach męża taką radość, że w jednej chwili znikł lekki niepokój, jaki odczuwała przez cały dzień. Oczywiście spodziewała się, że Ryan się ucieszy, lecz póki nie miała stuprocentowej pewności, nie mogła znaleźć sobie miejsca.

Patrząc na nią pytająco, chwycił ją mocno za rękę. Maggie ze wzruszenia nie mogła wydobyć z siebie głosu, więc tylko uśmiechnęła się drżącymi wargami i bez słowa skinęła głową. Ryan jeszcze silniej zacisnął palce na jej dłoni.

- Kiedy?

- Test zrobiłam dziś rano. Według moich obliczeń zostaniemy rodzicami za jakieś siedem miesięcy.

Gdyby ktoś zapytał Ryana jedynie pięć minut wcześniej, czy mógłby być jeszcze szczęśliwszy, zaprzeczyłby. W ciągu minionego pół roku Maggie odmieniła jego życie, napełniając je radością, o której istnieniu zdążył już zapomnieć. Otrzymał więcej, niż się mógł spodziewać. I na pewno więcej, niż na to zasługiwał.

Ujął jej twarz w dłonie.

- Czy mówiłem ci ostatnio, jak bardzo cię kocham?

- Wspomniałeś o tym chyba dziś rano - odparła, a oczy jej błyszczały. - Ale słyszałam, że

czyny są więcej warte od słów - zasugerowała z niewinnym uśmiechem, opierając dłonie na torsie męża.

Ze śmiechem porwał ją na rękę.

- Dobrze słyszałaś, mała.

- Już niedługo będziesz mógł do mnie mówić „mała”. W ciągu najbliższych miesięcy zrobię się dwa razy taka - uprzedziła, nagle zaniepokojona, czy dalej będzie mu się podobać.

- Przez co będziesz dwa razy piękniejsza.

Pocałował ją chciwie, a ona zapomniała zaprotestować, że wcale nie jest piękna.

Zresztą czy potrzebna jeszcze uroda, skoro ma się w życiu takie szczęście, pomyślała, otaczając ramionami szyję Ryana, który wyszedł z kuchni i szybko wspiął się po schodach na piętro, niosąc Maggie do sypialni.

KONIEC